MIESIĘCZNIK
5(56) MAJ 1987 CENA 100 ZŁ

Fantastyka

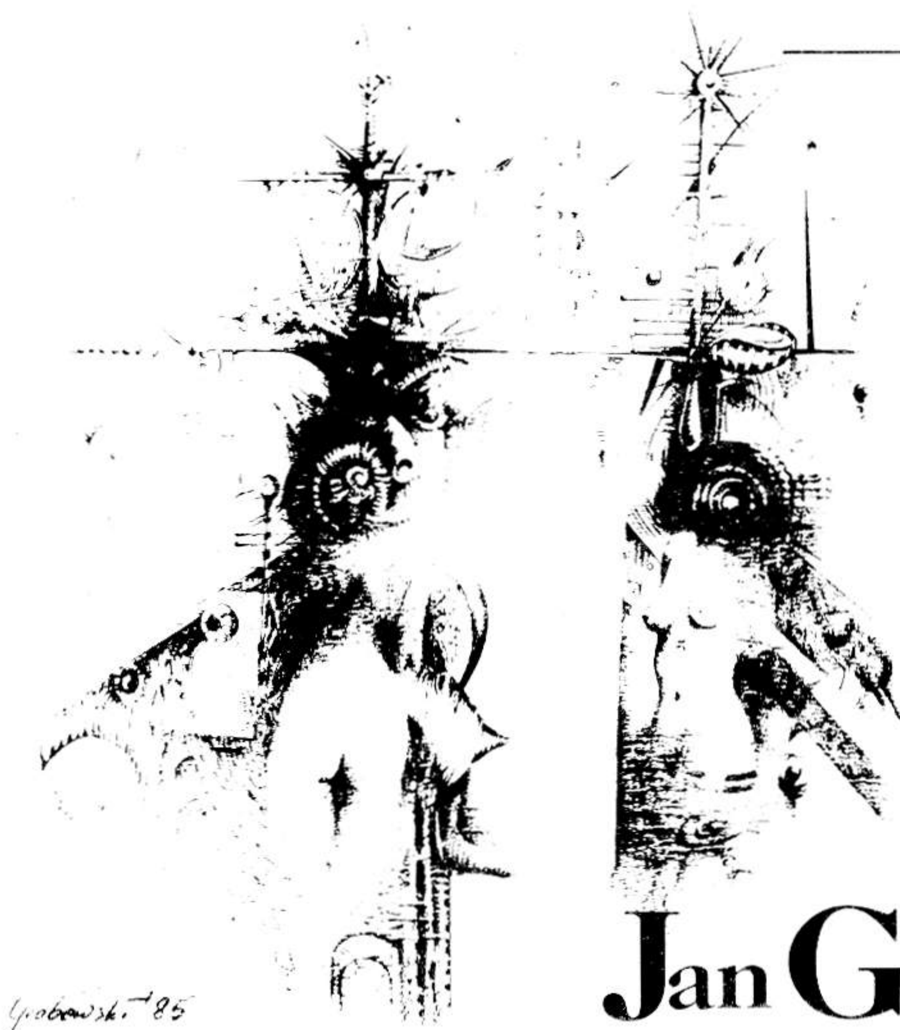
ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839

Nowa powieść:

Arkadij i Borys Strugaccy

FALE TŁUMIĄ WIATR

JAN GRABOWSKI



JAN GRABOWSKI urodził się w 1955 r. w Warszawie. W latach 1974–1979 studiował na Wydziale Malarstwa Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku w pracowni prof. Kazimierza Ostrowskiego. Wystawy indywidualne: Gdynia (1979), Sopot (1982), Gdańsk (1984), Tulle (Francja, 1985). Uczestniczył też w wielu wystawach zbiorowych, m.in. w Gdyni, Szczecinie, Warszawie, Sopocie, a także w RFN, Francji, Grecji i Finlandii.

Jan Grabowski

Pochodzący z Belgii JEAN-CLAUDE SMIT LE BÉNÉDICTE po trzech latach pracy w teatrze dla dzieci rozpoczął pracę rysownika. Jego grafiki były wielokrotnie eksponowane w Belgii i za granicą.
W latach 1974–1975 był redaktorem naczelnym czasopisma komiksowego „Magorie" oraz kierownikiem galerii sztuki. Od roku 1975 do 1979 zorganizował pięć konwencji science fiction w Brukseli, gośćmi których byli m.in. A.E. Van Vogt, Thomas Owen, Harry Kumel.
W roku 1976 pod wpływem sugestii Gian Lhassy rozpoczął pracę literacką i napisał we współpracy z nim ponad 150 opowiadań oraz kilka powieści. Jednocześnie pisał scenariusze komiksów rysowanych przez Marca Hardy'ego, Didiera Conrada, Grzegorza Rosińskiego i innych.
Pisał również powieści, opowiadania i scenariusze komiksowe we współpracy z innymi autorami. (S.K.)



Jean Claude Smit le Bénédicte



Eugeniusz Józefowski

23

Kammerer – nazwisko to zapewne wzbudzi natychmiastowy odzew u wielbicieli twórczości braci Strugackich. Umożliwiamy kolejne spotkanie z bohaterem „Przenicowanego świata" i „Żuka w mrowisku" (tę drugą powieść drukowaliśmy w „Fantastyce" 1–3/82). Tym razem Maksym Kammerer, 89-letni naczelnik wydziału Nadzwyczajnych Wydarzeń Komisji Kontroli KOMKON-2, przedstawia swoje pamiętniki, w których opisuje tajemnicze wydarzenie sprzed 30 lat.
Arkadij i Borys Strugaccy: „Fale tłumią wiatr".

Opowiadania i nowele

Powieść

Z polskiej fantastyki

Krytyka

Nauka i SF

Parada wydawców

Film i fantastyka

...3...2...1...



No i widzicie Państwo co się wyprawia na rynku księgarskim? Teraz już nie tylko chłam zalega półki i wala się po ladach, leży również mnóstwo faktycznie dobrych tytułów, a nawet najbardziej pasjonująca literatura fantastyczna przestaje znikać pod ladami, świecąc na co dzień w oczy potencjalnym nabywcom, bezczelnie łatwa do nabycia, towar jak każdy inny, już nie wyjątkowy. Co dzieje się ku zgrozie wydawców!

Tak długo traktowali rzeczy fantastyczne jako narzędzie do wyciągania czytelnikom pieniędzy z kieszeni, tak windowali ceny, aż się popiekli. W epoce rozpowszechnienia telewizji i rozrastania się liczby odtwarzaczy wideo w naszym kraju, to znaczy wtedy, kiedy należałoby ratować książkę, będącą przecież najpełniejszym nośnikiem najwartościowszych humanistycznych treści, jak gdyby zapomniano o tych walorach, o kulturotwórczej misji literatury pisanej i tak doszło do swoistego harakiri wydawnictw.

Książka przez nie wypuszczana na rynek droga, za bardzo, coraz bardziej, a nędznie wykonywana, nietrwała, pozbawiona ilustracji, atrakcyjnych okładek (z treściami także różnie bywa) – ledwo się gnieździ na półkach, rozsadza je, leżakuje dniami, tygodniami, miesiącami, oczekując prawdziwego miłośnika. W takich warunkach wzrasta walka konkurencyjna, lepsze, ciekawsze – naprawdę wypiera gorsze i słabsze. Zaczyna się jak gdyby prawdziwy rynek księgarski.

Nie ma więc tego, co by na dobre nie wyszło? Prawda nareszcie wypływa na wierzch, ukazując zarysy autentycznej hierarchii wartości?

Chwileczkę, bez galopu, bez zafałszowanej radości. Po pierwsze zjawisko sprzedaży spod lady różnych tytułów wcale nie zginęło – przeciwnie, ma szanse stania się szatańską wprost metodą manewrowania wartościami, igrania z gustami czytelników.

Biedni wydawcy nie tylko sami wpadli we własne sidła windowania zysków, lecz ulegli także niezwykłej przebiegłości księgarzy. Ja tu oczywiście nie mówię, że przywara ta – przebiegłość – dotyczy wszystkich ludzi handlujących książką, ale nawet jeśli ogranicza swój zasięg do pewnych tylko grup księgarzy, już może stwarzać duże niebezpieczeństwo dla książki, dla jej autorów i nabywców.

Oto panuje ciągle praktyka, a nawet się nasila – dostosowywania nakładów książki do zamówień tych, którzy książką handlują. I dzieje się coś niezwykłego: okazuje się (nie chcę tu cytować nazwisk ani tytułów, aby nie stwarzać jakichś konkretnych afer), okazuje się mianowicie, że księgarze stali się niezwykle ostrożni. I zamawiają murowane bestsellery (np. fantastyczne) w przesadnie niskich nakładach. Kierują się podobno w tej sprawie obawą przed długim leżakowaniem drogich bardzo książek. Już dawno odzwyczaili się przecież od normalnej działalności, normalnego rynku, na którym autorzy i ich dzieła powinni czekać na prawdziwych miłośników, boją się tej zwyczajności panującej na prawie całym świecie. Inna sprawa, że może być ta normalność i solą w oku, czy raczej pustką w ich kieszeni. Książka pod ladą jest cenna, na ladzie zaś tylko tyle warta, ile za nią ewentualny nabywca zechce zapłacić. Jeżeli bowiem rzecz nie pójdzie za cenę (tę wysoką), przygotowaną na okładce przez wydawcę, księgarz będzie zmuszony do dokonania przecen, poza tym rosnąć będą remanenty w magazynach, spadną obroty. Normalny rynek to po prostu rynek nie do zniesienia!

Zawsze byłem przeciwnikiem zawyżania nakładów książek, bo one właśnie przy ograniczonej puli papieru powodowały wydawanie małej liczby tytułów, zubożały ofertę kulturalną. Jednakże zbyt niskie nakłady to w naszych warunkach dowód braku rozeznania potrzeb przez księgarzy. Widać, coraz mniej pośród nich tych, którzy dobrze orientują się w polityce wydawniczej oraz zainteresowaniach i potrzebach czytelników. W dziedzinach, w których książka bywa szczególnie poszukiwana (do takich na pewno należy fantastyka) niskie nakłady stworzą ogromny głód książki, wzmogą spekulację. A ponieważ o „dodrukach" w panującej u nas sytuacji poligraficznej nie ma prawie mowy, powiększą się odległości między autorami a ich potencjalnymi czytelnikami. Jest to zjawisko kulturowo szkodliwe, o którym już zresztą wspominałem na tych łamach, więc się nie będę powtarzał.

Jestem pewien, iż musi się skończyć wreszcie bezsensowna pogoń czytelnika za książką, którą pragnie przeczytać, musi się także skończyć ślepota autorów, którzy czekając wiele lat na swoje pozycje na rynku, wskutek opóźnień i poślizgów wydawniczych i drukarskich tracą z oczu swego czytelnika, tracą z nim kontakt.

Ciesząc się więc, że na razie drogie książki czekają na swoich nabywców po długich latach wylęgania się w wydawnictwach i drukarniach, nie traćmy z oczu proporcji. Nie przechodźmy do porządku dziennego nad zaniżaniem nakładów na skutek żądań słabo zorientowanych lub wygodnych księgarzy, którym ciągle marzy się sprzedaż pseudobestsellerów spod lady. Przestrzegam wydawców przed ślepym polowaniem na duże zyski z książki; przed polityką i samobójczą dla nich samych, i kulturobójczą. Nie rozkupione książki znajdują się pod groźbą unicestwienia, przemiału na papier. Być może papier ten zostanie w dużej mierze wykorzystany do zbożnych celów, na przykład na różnego rodzaju encyklopedie, poszukiwane szczególnie przez amatorów rozwiązywania krzyżówek, a tu i ówdzie także przez młodzież szkolną, kształconą w systemie encyklopedycznym, to znaczy: mnóstwo, za bardzo, i po łebkach. Ale śmiem zapytać, czy jest to prawdziwy cel wydawania książek, ten najgłówniejszy?

Bardzo niepokoi więc, w sumie bardziej niż cieszy, to co się w księgarniach dzieje i to jak widać z różnych powodów. A swoją drogą ciekawi nas, redaktorów „Fantastyki", co nasi Czytelnicy sądzą o ruchu wydawniczym w interesującej ich dziedzinie. Jeśli można prosić o listy w tej jakże ważnej sprawie – to ich z niecierpliwością będziemy oczekiwać i postaramy się przedyskutować zawarte w nich treści i uwypuklone problemy. Ciekawią nas opinie o rodzimym edytorstwie, autorach, o tym co się w ostatnim okresie najbardziej podobało, a co nie, i co z przekładami.

Do następnego orbitowania!

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6.
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek. **Zespół redakcyjny:** Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy, tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Zam. 1109/87, K-9.
Nakład 150 000.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 28 stycznia 1987 r.

Czytelnicy i „Fantastyka”

LĄDOWANIE LI

Nowa porcja listów ostatnio otrzymanych od Czytelników. Mimo że opóźnienie od chwili redagowania pisma do jego dotarcia do Państwa wynosi aż 3–4 miesiące, żyjecie tymi samymi problemami co redaktorzy. Wielokrotnie Wasze słowa są jak gdyby wyjęte z naszych ust. Zastanawiam się skąd bierze się ta identyczność. Na pewno z dobrej znajomości tematyki, którą w „Fantastyce” poruszamy, ale to nie tylko to... Zresztą niech przemawiają listy.

Jeszcze o zakłamaniu

... Chciałbym jeszcze o zakłamaniu, w którym tkwią tzw. krytycy literaccy. Nie dopuszczają oni myśli, iż utwór literacki z gatunku SF może być dobry. Jeśli im się taki trafi, zaraz zaczynają pleść – „mimo pozornej przynależności do SF...” itd., itd. Postawa wydawców jest podobna. Wiele znaczących pozycji SF na naszym rynku ukazuje się poza seriami i często są one opatrzone podobnym do wyżej wspomnianego komentarzem. Przykładów wiele, choćby „Wyspa” J.G. Ballarda czy „Salamandra” P. Berroety. Należałoby podjąć działania, aby położyć kres okradaniu SF ze wszystkiego co najlepsze.

Zdzisław Gryglel z Jarocina

... Nieznajomość znaczeń wielu słów utrudnia lub wręcz uniemożliwia niekiedy rozumienie treści. Bardzo często nie ma tych wyrazów w żadnych słownikach. Proponuję, by na końcu felietonów, esejów itp. wyjaśniać znaczenie rzadko używanych, trudniejszych wyrażeń. (...) Uważam, że pierwsze numery „Fantastyki” były dużo lepsze, ciekawsze. Nie jest ważna jakość papieru, lecz zawartość. I temu powinna Redakcja poświęcić więcej uwagi.

Piotr Banyk z Gorlic

Marzy mi się wydawnictwo książkowe firmowane przez „Fantastykę” oraz program telewizyjny poświęcony w całości „Fantastyce”.

Sławomir Ronkowski z Sopotu

Jakież to zakłamanie, jak niskie działania. Fantastykę traktuje się, nie tylko u nas, jako narzędzie do wyciskania pieniędzy. A nikt się nie liczy z tym, że my, młodzi, tę fantastykę naprawdę szanujemy i kochamy, że ona bywa naszym przewodnikiem po dobrym i złym. A tu nagle książki, które mają kupować młodzi, ci najbiedniejsi, bo jeszcze nie dorobieni, kosztują ponad trzy stówy, jak na przykład Wasza „Trzecia brama”. Niech wydawcy przestaną żerować na młodych, niech wysoko wyceniają książki, które tak lubią dorośli: jakieś „Isaury” i inne. A nie fantastykę.

Janusz Godyń z Wrocławia razem z grupą studentów

Mało jest prozy

Sondaż organizowany przez Was uważam za rzecz potrzebną, lecz stawiającą miłośnika „Fantastyki” przed problemem podjęcia decyzji, który z numerów pisma jest najlepszy, który zaś najmniej ciekawy, który autor lepszy, a który gorszy itd. Zastanawiałem się przez około 10 dni nad odpowiedziami na poszczególne pytania. I... praktycznie czytuję „Fantastykę” od deski do deski, gdybym miał oceniać Was, jak to się czyni w niektórych dyscyplinach sportu w skali 1-6, dostalibyście same 6.

K. Spurek

Doceniam, że takie pismo w ogóle istnieje. Wydaje mi się jednak, że mało jest tu prozy. Przecież to miesięcznik literacki, a nie polemiczny. Można zwiększyć objętość prozy, rezygnując z innych, mniej ciekawych rzeczy. Drukowanie dłuższych opowiadań (np. Donaldson, Martin) uważam za bardzo dobry pomysł. Niech poezja zostanie. Bez niej to już nie jest to. Przecież wiersze Anne Sexton czy Karela Sýsa są świetne, nie rozumiem czego od nich chcą przeciwnicy. Więcej klasyków.

Tomasz Bielenda z Warszawy

Główne grzechy „Fantastyki”: za samą „Galerię” brawo, ale jej rozmieszczenie pozostawia wiele do życzenia. Rysunki „Galerii”, zamieszczane wewnątrz opowiadań, pozbawiają ich ilustracji bezpośrednio do nich się odnoszących. Według mnie „Galeria” winna być umieszczona w środku numeru, jak komiks, co umożliwiałoby także kompletowanie rysunków.

Grzech drugi – „pożółkłe kartki”. Na miejsce tej rubryki należałoby wstawiać comiesięczną, całostronicową rubrykę „komu, komu”. „Poezja i fantastyka” dumnie brzmi, ale z fantastyką nie ma nic wspólnego, co za sens więc drukować? Może mylę się, mówiąc o zastoju, ale w „Fantastyce” od dłuższego czasu nie było żadnej rewelacji wśród opowiadań polskich. Co do wartości najnowszych polskich książek SF nie mogę się tu wypowiadać, gdyż nie udało mi się kupić żadnej pozycji napisanej w ubiegłym roku.

Michał Kluka z Łodzi

Za 200 – 300 złotych ta „Fantastyka”

Nie należę niestety do szczęśliwców, którym udało się zaprenumerować „Fantastykę”. Zaopatruję się w nią głównie w antykwariatach, na bazarach, czasem u znajomego kioskarza (normalnie w kiosku udało mi się kupić tylko kilka numerów). Niemal w każdym wypadku za cenę 200–300 złotych, a nawet 500 za egzemplarz. W tej chwili brakuje mi tylko 3 egzemplarzy – 1/82, 4/83, 7/86 (...) Z przykrością muszę stwierdzić, że dobór tekstów oraz szata graficzna z każdym rokiem gorsze. Za mało Zelazny'ego, Harrisona, MacAppa, Barbeta, Clarke'a i Aldissa. A przecież to wielcy twórcy. Z polskiej SF więcej winno być debiutantów. Czy nie udałoby się zwiększyć nakładu pisma?

M.G.

Dziewięćdziesiąt osiem procent czytelników „Fantastyki” do krytyki nie zagląda, chcą czytać SF i fantasy, a czy jest ona uznana czy potępiona przez prześwietnych znawców to NIKOGO nie obchodzi. Zrozumcie wreszcie, że wszelkie poświęcanie stron „Fantastyki” na co innego niż druk i przedruk światowej SF i fantasy w ich różnych postaciach jest jak najgorzej widziane. Mody i trendy jak przychodzą, tak odchodzą. A tracić kilkanaście stron na dętą brechtę to zbyt dużo. Lubimy „Fantastykę” i chcemy czytać w niej fantastykę w całości, od a do zet.

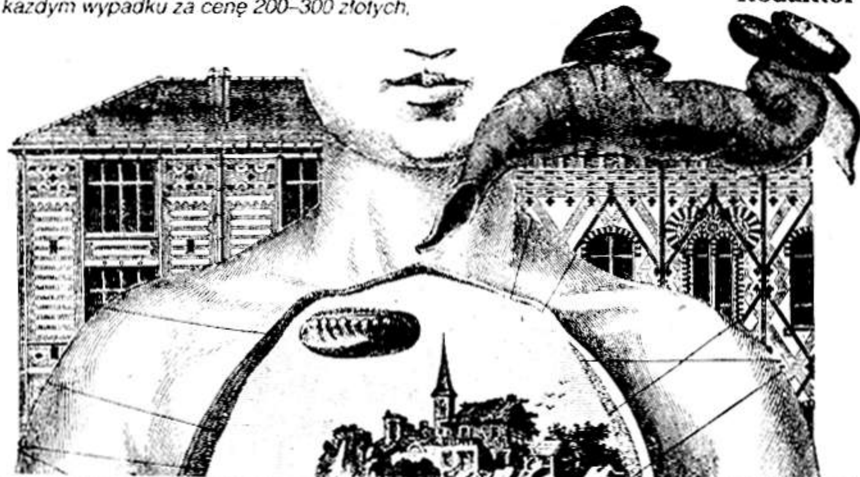
Jolanta i Anka

No i jest znowu dyskusja. Ostra, bezkompromisowa, jak na miłośników fantastyki przystało. Pożeracze tekstów literackich czy pseudoliterackich, dobrych czy złych, ponurych czy śmiesznych – wszystko poza tymi tekstami wywaliliby z numerów naszego pisma. Z ocen jednak czytelniczych wcale nie wynika, że tych pożeraczy jest aż 98 procent! To prawda, że oni nie wiedzą, iż to co piszą jest po prostu nieprawdą, a nie wiedzą ponieważ nic innego prócz tekstów powieści i nowel nie czytają i nie chcą czytać. Są straszliwie nietolerancyjni.

Z sondaży jednakże wynikają całkiem inne proporcje i całkiem inne apetyty czytelnicze, co udowodniliśmy publikacją wyników dwóch takich badań na naszych łamach.

Trzeci sondaż w toku. Ale nie kładziemy tamy w ocenach nikomu, nawet nietolerancyjnym. Są ich wypowiedzi kijem włożonym w mrowisko. Zaś mrowisko fantastów lubi ugryźć, czy odgryźć się. Na co oczekuję.

Redaktor



Eugeniusz Józefowski

UWAGA!
Nastąpiła zmiana terminu Ogólnopolskiego Konwentu Klubów SF „POLCON 87”. Odbędzie się on w Warszawie w dniach 20–23 sierpnia br. Reszta informacji dotyczących tej imprezy zawarta w poprzednich numerach „Fantastyki” nie ulega zmianie.

Jaroslav Veis

Kto się śmieje ostatni

(Kdo se směje naposled)

W szatni było cieplej niż na korytarzu. Z początku suche i przesycone wonnymi emulsjami powietrze wydawało się przyjemne, lecz już po paru minutach Natalii zaczęło się źle oddychać.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Pomiędzy drzwiami łazienki a wielkim, pustym ekranem dostrzegła płytę z kilkoma guziczkami. Wstała z twardego, niewygodnego fotela, przeszła przez pokój i próbowała znaleźć przycisk wyłączający ogrzewanie.

Mały, szczupły człowieczek, o nieproporcjonalnie dużej głowie zamrugał powiekami i odezwał się zaskakująco głębokim głosem:

– Właśnie sobie pomyślałem, że moglibyśmy włączyć telewizor. Żeby było wiadomo, kiedy mecz się skończy.

Czoło też miał jakby o numer za duże, kończące się przy ciemieniu i zroszone kropelkami potu. Natalia wzruszyła ramionami.

– Czemu nie?

– Drugi z lewej, w górnym rzędzie – poradził człowieczek.

Spełniła jego życzenie i nacisnęła guzik. Mentolowy upał wypełnił się rykiem dwudziestu tysięcy głosów. Nie udało jej się zorientować, w jaki sposób wyłączyć ogrzewanie, więc tylko z rezygnacją spojrzała na świecący ekran i wróciła do fotela.

– Foty: fiftyn – rozległ się mechaniczny głos automatycznego sędziego. Stał na pajęczych nogach tuż przy siatce i strzelał wokół siebie promieniami laserowymi. Nie przeoczył ani jednego ruchu wszystkiego co żywe i nieżywe na korcie.

– Proszę o spokój – wyrecytował automat. Ryk zmienił się w oklaski, lecz po chwili zapadła cisza.

Natalia pomyślała, że chyba musi znać łysego człowieczka, ale nie wiedziała skąd. Zauważyła go w holu centrum sportowego, jak pytał o szatnię Johna Hartla i bez trudu uzyskał informację. Zdecydowała się i ruszyła za nim. Doprowadził ją aż tutaj, a teraz oboje siedzieli i czekali na czempiona.

Odwróciła się w stronę ekranu. John Hartl był nawet jak na tenisistę bardzo wysoki i mocno zbudowany. Głowę okrywał mu wielki hełm z rysunkiem węża plującego ogniem. Ramiona przykrywały ochraniacze z lekkiej masy pancernej; podobny pancerz osłaniał jego klatkę piersiową, brzuch i uda. Elastyczne nakładki na łokciach i kolanach oraz wielkie, kuliste rękawice dopełniały stroju czempiona. Na wszystkim, co miał na sobie widniały napisy SCIENTIFIC oraz ICM. Podobne napisy zdobiły czarną matową rakietkę.

Hartl stał nieruchomo na linii końcowej, a nogi – chronione przez pancerne buty – miał mocno zaklinowane w blokach, z których serwował. Uderzył dwukrotnie piłką o ziemię i za każdym razem, gdy ciężka, sprężysta kula załomotała o stalową nawierzchnię kortu, rozlegało się pełne napięcia westchnienie tłumu.

– Proszę o spokój – oświadczył automat.

Chudy człowieczek wysunął język i przygryzł go, jakby się bał, że wpadnie mu do gardła i udusi go. Natalia spróbowała go naśladować. Było to okropne uczucie.

Piłka wzbiła się wysoko ponad głowę Hartla. Rakieta opisała łuk i po chwili dało się słyszeć mały wybuch, gdy wystrzeliła piłkę na drugą stronę siatki. W ułamek sekundy później huknęła o nawierzchnię kortu. Co działo się dalej, to można już było widzieć tylko na zwolnionych replayach.

Piłka odbiła się od stali i nim gracz z przeciwnej strony zdołał zareagować, ugodziła go dokładnie między obojczyki. Po ciosie prosto w serce miejsce to jest najwyżej oceniane – na sylwetce treningowej widnieje przy nim liczba 11.

Wybuch wzniósł przeciwnika w powietrze, a rakieta wyleciała mu z ręki gdzieś wysoko, pod dach hali. Natalia instynktownie schowała głowę w ramionach.

Mężczyzna uderzył plecami w żółtym pancerzu o ściankę ochronną za linią końcową kortu i powoli osunął się na ziemię. Znieruchomiał.

– Łan, tu, sri, for, fajf, siks, sewen – liczył automat. Na widowni panowała absolutna cisza i dwadzieścia tysięcy widzów wstrzymało oddech. Rakieta opadła spod sufitu i stuknęła o schody między sektorami.

Mężczyzna w żółtym pancerzu drgnął i uniósł się na rękach. Wydawało się, że ma jeszcze trochę siły i że spróbuje wstać albo przynajmniej uklęknąć, aby walka mogła się toczyć dalej.

– Ejt, najn – beznamiętnie kontynuował sędzia.

Na czole człowieczka wystąpiły krople potu, które łączyły się w strumyczki i zaczęły ściekać wzdłuż brwi. Natalia skrzywiła się z obrzydzeniem. Ludzie nie powinni się pocić, kiedy oglądają telewizję.

– Odwali kitę, na miejscu odwali kitę – szeptał człowieczek. – To będzie czysty as.

Ręce się załamały i żółty hełm zadudnił o stal. Z orła na hełmie pozostała tylko jedna noga ze szponami.

– Ten – wyrecytował automat. – Proszę o spokój.

Dwadzieścia tysięcy widzów ryknęło na całe gardło. Do leżącego ciała podbiegło dwóch sanitariuszy z noszami. Trzeci szybko wielką gąbką wycierał z krwi miejsce, w którym przed chwilą spoczywała głowa.

Człowieczek odetchnął z ulgą i wierzchem dłoni otarł czoło.

– Jeśli nie wyciągnie kopyt na miejscu, to do wieczora z pewnością już nie zipnie – stwierdził z zadowoleniem.

– Gem, set, mecz Hartl – powiedział automat głosem wyższym o jedną skalę. Jego wysokość zbliżała się już prawie do granicy ultradźwięku. – W trzecim secie John Hartl pokonał Sama Hawkinsa przez k.o.

– John jest bezkonkurencyjny – krzyknął człowieczek i rozpromieniony popatrzył na Natalię.

Ona spoglądała na niego w milczeniu. Śmieszył ją. Teraz zrozumiała, że wydał się jej znajomy dlatego, że był absolutnie przeciętny. W korytarzach miasta codziennie spotyka kilka tysięcy takich facetów. Wyrób seryjny, bez żadnej wartości.

– Zawsze był świetny – ciągnął dalej człowieczek. – Już od małego. Jak tylko ojciec po raz pierwszy przyprowadził go na korty, od razu wyczułem, że ten szczeniak ma dryg. Miał to wypisane na czole.

Natalia podniosła się z twardego fotela i przeciągnęła się, prostując zdrętwiałe mięśnie. – Można to wyłączyć? – spytała.

– Był jeszcze takim szczeniakiem. – Człowieczek pokazał ręką nisko nad ziemią.

– To ja wyłączę – oświadczyła Natalia.

Człowieczek popatrzył na nią błędnym wzrokiem i wzruszył ramionami.

Podeszła do ekranu akurat w chwili, gdy kamera pokazywała zbliżenie Johna Hartla, stojącego obok krzesła, na którym wisiał wielki ręcznik. Jak wszystko inne zdobiły go napisy SCIENTIFIC i ICM, a ponadto można było na nim dostrzec smugi krwi. John Hartl stał już bez hełmu. Miał szczupłą twarz z prostym nosem i ciemnymi gładkimi włosami. Widać było, że są teraz mokre od potu. Jego oczy – wąskie i brązowe – wydawały się zimne. Zresztą cała jego postać sprawiała dziwne wrażenie; był chłodny i opanowany jakby nie dotyczyło go to wszystko, co się działo wokół. Na obu rękach miał wciąż jeszcze rękawice z napisami i Natalia pomyślała, że hasła SCIENTIFIC i ICM powinny również zdobić jego czoło.

– No, to niech pani wyłączy – mruknął człowieczek; wyprostował się na krześle, a potem, nie patrząc na nią dodał: – Pani jest asystentką od kontroli antydopingowej, nie?

– Nie – odparła Natalia.

W drodze do szatni John Hartl sięgnął ręką do potylicy i oderwał aparat. Na korcie nigdy go nie zdejmował, choć robiło tak wielu zawodników. On jednak chciał pozostać skoncentrowany również po walce, a aparat pozwalał mu nie zwracać uwagi na to, co działo się dookoła.

Ryk trybun i nieprzyjemny świst ultradźwięków zaatakowały go głośniej niż wtedy, gdy stał na korcie. Poczuł się tak, jakby wyjmował zatyczki z uszu. Męczące ultradźwięki zdawały się być coraz potężniejsze.

Odwrócił się do młodego człowieka z naszytą na klapie odznaką Federacji Nowoczesnego Tenisa. Był to szef tutejszego turnieju Grand Prix, który po każdej walce odprowadzał zwycięzcę do szatni. – Czy te ultradźwięki muszą tak ryczeć?

Młodzieniec uśmiechnął się usłużnie. – No oczywiście... byłoby lepiej, gdyby... Tylko że w ten sposób szybciej wyganiamy ludzi z sali i szybciej możemy wpuścić nowych. Poza tym biją się już na zewnątrz.

– Mhm... – Hartl kiwnął głową. – Też niezły wynalazek. Niedługo na świecie zamiast ludzi będą same wynalazki.

– Słucham? – Wydawało się, że facet nie zrozumiał, o czym John mówi.

– E, nic. Są już wiadomości ze szpitala, jak to wygląda z Hawkinsem?

– To było wspaniałe uderzenie, panie Hartl. Coś takiego można zobaczyć tylko w telewizji. Założę się, że otrzyma pan nominację do nagrody „Bomby Roku".

– Co jest z Hawkinsem – przerwał mu Hartl.

– O ile mi wiadomo, szpital się jeszcze nie odezwał. Zazwyczaj dzwonią od razu, jak tylko stwierdzą śmierć mózgu. Ale jeśli pan sobie życzy, to spróbuję dla pana zdobyć jakieś wstępne informacje...

– Dobrze. Będę w szatni.

– W porządku, załatwię to panu. – Młody człowiek skłonił się lekko i wskazał ręką białe drzwi z prawej strony korytarza. Potem przyśpieszył kroku.

John Hartl nacisnął klamkę i wszedł do szatni.

– Serwus, John – krzyknął chudy człowieczek z za dużą głową i wyciągnął dłoń.

– Dzień dobry – powiedziała dziewczyna w krótkim białym fartuchu.

John przerzucił torbę z rakietami do drugiej ręki i uścisnął wyciągniętą prawicę. – Dzień dobry – wymamrotał, patrząc przy tym na dziewczynę.

Nie była to żadna piękność przykuwająca natychmiast wzrok, ale miała w sobie coś interesującego. Wpatrywały się w niego granatowe, trochę egzotyczne oczy; czarne włosy zaczesała gładko do tyłu, a na lewym policzku ciemniało wyraźne brązowe znamię. Nie była ani bardzo wysoka, ani specjalnie szczupła, ale jednak potrafiła zwrócić na siebie uwagę.

– Pani jest od kontroli antydopingowej? – spytał John. – Tylko się czegoś napiję i zaraz z panią idę.



Andrzej Brzezicki

Miała wydatne usta, a jej włosy prowokowały, by się w nich schować, zanurzyć.

– Nie – odparła. – Czemu każdy myśli, że jestem z kontroli antydopingowej?

– Aleś mu przyłożył świetną fangę! – stwierdził z uznaniem człowieczek.

– Ano dlatego, że jeśli w szatni czeka na kogoś taka panienka ubrana w biały fartuch, jak pani, to jest z pewnością od kontroli antydopingowej i chce wiedzieć, czy mam zaplombowany aparat, a potem żąda, żebym nasikał do probówki. Chce pani się przekonać, czy mam zaplombowany aparat? Mam nasikać do probówki? – Otworzył dłoń, na której widać było czarną soczewkę wielkości przeciętnej monety, którą przed chwilą oderwał z potylicy.

– Fartuch dali mi w kuchni. Ja myję talerze w restauracji tego klubu tenisowego.

– I zapomniała tu pani kilku talerzyków...

– A jak, John! Jasna sprawa! Zapomniała tu kilka talerzyków – zarechotał człowieczek.

Dziewczyna spokojnie pokręciła głową. – Nie. Potrzebuję pana zmierzyć. Pańskie bioprądy i szybkość ich regeneracji po dużym wysiłku fizycznym.

– I polecili to pani w kuchni, kiedy dawali pani ten fartuch?

– Nie, piszę pracę roczną na ten temat. W kuchni tylko sobie dorabiam.

– Jasne. – John pokiwał palcem wskazującym i kciukiem.

Drgnęła, a potem wyraźnie zaczęła się czerwienić.

– Nie miałem nic złego na myśli – powiedział szybko Hartl. – Ale dlaczego chce pani zmierzyć właśnie mnie?

– Odpowiada mi pan jako typ. Zmienia pan sytuacje napięcia i rozluźnienia, przechodzi pan od jednego stresu do drugiego. Jest pan agresywny, zdrowy.

– Aha. Odpowiadam pani jako typ.

Ktoś zapukał do drzwi. Człowieczek usłużnie je otworzył. Do szatni wszedł młodzieniec z odznaką na klapie.

– Jest na oddziale intensywnej opieki, panie Hartl. Rozległy hematotorax. Fraktura drugiego i trzeciego kręgu, prawdopodobnie naruszony również rdzeń. Na razie nie odzyskał przytomności i lekarze nie dają mu więcej niż pięć procent szans.

– W porządku. – Hartl skinął głową.

Młodzieniec popatrzył na Natalię. – Co pani tu robi? O ile wiem, nikt z personelu restauracji nie ma prawa wstępu do pomieszczeń dla zawodników?

– Spokojnie, przyjacielu – odezwał się Hartl. – Ta pani jest od kontroli antydopingowej i czeka tutaj na mnie.

– Przepraszam, myślałem... – przerwał zmieszany. – Najmocniej przepraszam... – Wycofał się tyłem do drzwi.

– Więc na czym skończyliśmy? Przyszła pani do mnie, bo jestem odpowiednim typem, czy tak?

– Myśli pan, że umrze?

– Kto? Hawkins? Chyba tak, pięć procent szans to niewiele. Ale przecież na tym polega ryzyko gry i każdy, kto wychodzi na kort, jest tego świadomy. Wyłącznie jeden z nas może wygrać. Albo ja, albo on.

– Tylko obłudnicy mogą gadać o technicznym tenisie – stwierdził mały człowieczek. – Ludzie po prostu żądają krwi. Chcą widzieć porządne nokauty, a nie jakieś tam poszturchiwanie.

– A zaznacza pan liczbę swoich ofiar? – spytała dziewczyna kąśliwie. – A może robi pan sobie nacięcia na rakiecie?

– Co pani stale z tymi ofiarami? Hawkins na razie jeszcze żyje. I proszę posłuchać, laleczko, ja chcę wygrywać mecze, jasne? Ani mniej, ani więcej. To dla mnie najważniejsze, bo z tego żyję. Czasami się zdarza, że ten drugi musi za to płacić. Ale czy pani myśli, że on wychodzi po to, żeby mi dać buzi na dobranoc? On też chce wygrać, nawet gdyby mnie musiał zabić. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni – to jeszcze wciąż obowiązuje! Zresztą powinna się pani cieszyć, że to się tak skończyło. Co by pani zrobiła, gdyby to on mnie trafił? No, słucham? Nie miałaby pani kogo mierzyć.

Uśmiechała się przez chwilę, a potem mruknęła: – Zmierzyłabym Hawkinsa. Przecież panu powiedziałam, że przyszłam, bo jest pan odpowiednim typem.

John Hartl odwrócił się, otworzył szafę i wyciągnął ogromny ręcznik. – Jak panu leci, panie trenerze? – powiedział dobrodusznie. – Kopę lat się nie widzieliśmy, co? Nie wyskoczyłby pan ze mną i z tą panienką na jakąś kolacyjkę? Ja tylko wezmę szybki prysznic...

– Mam na imię Natalia – oświadczyła dziewczyna.

Ściana wyglądała tak, jakby za nią otwierał się Wszechświat. Ciągnęła się wzdłuż całej sali i umożliwiała spojrzenie na nieskończoną przestrzeń z nieruchomymi punkcikami gwiazd. Planety świeciły, a obok błyskały kropeczki sztucznych satelitów i międzygwiezdnych pojazdów transportowych. Kiedy człowiek wpatrywał się zbyt długo, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że za chwilę zniknie gdzieś w Kosmosie. Sala jednak znajdowała się sześćset metrów pod ziemią, a tuż za nią były dwa metry betonu i lita granitowa skała.

Właśnie skończyli jeść. Kelner odsunął wózeczek z pustymi naczyniami, a inny podjechał z małym barkiem.

– Niech pan jeszcze coś opowie, trenerze. – W mętnym, żółtawym świetle zajaśniały białe zęby Hartla. – Ja już niewiele z tego pamiętam, byłem wtedy zupełnym szczeniakiem. O ile to pani nie nudzi, pani Natalio – zwrócił się do dziewczyny.

– Nie, skąd! Przecież mogę to wykorzystać w swojej pracy.

– Widzi pani, ja już prawie o tym zapomniałem – roześmiał się Hartl.

– Ja zawsze wiedziałem, że w tobie coś jest – opowiadał człowieczek. – Od razu, od pierwszej chwili. Już kiedy tłukłeś piłeczką o ścianę było widać, że się nauczysz zwyciężać i pokonywać innych. A potem zacząłeś za mną łazić i wiercić mi dziurę w brzuchu: trenerze, daj mi pan „Agresin", ja go strasznie potrzebuję, niech mi pan go zapisze. Ja się śmiałem: na to masz jeszcze czas, ale ty wciąż byłeś taki napalony i tłumaczyłeś mi, że na tej ścianie zawsze wyobrażasz sobie McGregory'ego – to był wtedy numer jeden na świecie – i że uczysz się go nienawidzieć, żebyś, jak zaczniesz grać, potrafił z nim wygrać. No, a ja ci mówiłem: chłopie, kiepska sprawa, ty się go nigdy nie nauczysz nienawidzieć, choćbyś nawet co dzień zeżarł beczkę „Agresinu". Bo ja wiedziałem, że ty go uwielbiałeś, że chciałeś być takim samym cwaniaczkiem, jak on. A ty się na mnie gapiłeś i miałeś w oczach takie ciepłe ogniki, które potem gasiły ci łzy, a w ręku trzymałeś zeszyt, do którego wklejałeś wszystkie jego zdjęcia, jakie tylko udało ci się znaleźć i w którym zapisywałeś wszystkie wyniki jego spotkań. I potem znowu widziałem ogniki w twoich oczach, ale tym razem zimne, jak lód z azotu, którym się wtedy szprycowało i krzyczałeś, że mnie nienawidzisz, że kiedyś rozwalisz mi łeb rakietą. No i ja już wiedziałem, że ty masz szwunk, że kiedyś daleko zajdziesz.

Natalia spojrzała Johnowi w oczy. Były wąskie i stale zimne, nawet gdy się śmiał. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktoś mógł cokolwiek wyczytać z jego wzroku.

– A wie pan, panie trenerze, że ja zawsze myślałem, że mnie pan chce wywalić ze szkółki? Wydawało mi się, że wszyscy pozostali są lepsi ode mnie.

Człowieczek pogłaskał się po łysinie i powoli upił z kieliszka. – No więc, jeśli chodzi o technikę, to nie byłeś żaden macher. Wielu chłopakom nie mogłeś nawet podskoczyć. Tylko, że oni nie mieli twojej twardości, twojej odporności, jakiej potrzebuje każdy zwycięzca. No i nie mieli twojego szczęścia.

– A co, od szczęścia tak dużo zależy? – spytała Natalia.

– Jak kiedy, proszę pani – odparł człowieczek. – John miał wielkie szczęście. Choćby i dlatego, że wtedy nie przepisałem mu jednak tego „Agresinu". Czy wie pani, że wszystkie chłopaki, które to brały, wylądowały u czubków albo już w ogóle nie oglądają tego świata? Nadmierny rozrost tkanki hypothalamu. Ale wtedy, czy ktoś mógł to podejrzewać? Wszyscy tylko piali z zachwytu, jak to fantastycznie działa na zawodników, że kto tego używa, ten zostawi swoją duszę na korcie. No i faktycznie zostawili. Na szczęście z Johnem nikt nie robił takich prób. Jedyne co z nim robiłem, to od początku chemoterapeutycznie wzmacniałem mu system nerwowy. To było konieczne, żeby móc używać aparatu. Postawiliśmy wtedy na dobrego konia, John!

– Ja myślałam, że wtedy się jeszcze nie produkowało aparatów. – Natalia spojrzała na Johna. – Przecież na turniejach wprowadzono je dopiero dwa czy trzy lata temu.

– Trzy lata, panienko – basował człowieczek. – Ale wtedy to był właściwie dopiero sam pomysł, bo cały aparat trzeba było nosić na plecach jak worek. A i tak nie było to nic nadzwyczajnego, najwyżej trochę drażniło podkorowe części mózgu. No wiecie: popędy, żądze, agresywność – to wszystko, czego pozbawia nas cywilizacja i każdy prawdziwy facet musi się potem faszerować prochami i różnymi aparatami. I tutaj znowu John miał szczęście, bo trafił od razu we właściwe ręce; tam, gdzie robi się najlepsze rzeczy.

– W wieku siedmiu lat wybrali mnie do neuroprogramu International Calculating Machines – wyjaśnił Hartl

– Jak to sobie przypomnę... – roześmiał się człowieczek. – Byłeś siedmioletnim szczawikiem, a odstawiałeś takiego gieroja, że nie wiedziałem, czy nie powinienem ci się pierwszy kłaniać. Ale ICM jest w porządku; to najlep-

Jan Grabowski

GALERIA

Reprodukcje: Eugeniusz Pawłowski





sze, co cię mogło spotkać. Masz umowę na następny rok?

– Tak – potwierdził Hartl. – Nawet na pięć lat. Chyba już u nich dotrwam do emerytury, bo ich komputer bardzo mi odpowiada. Chyba trudno byłoby mi się przyzwyczaić do innego.

– Trzymam za ciebie kciuki – powiedział człowieczek. – Pięć lat to kupa zawodów.

– Bardzo bym nie chciała, żeby ten aparat wpłynął jakoś na wyniki moich pomiarów – stwierdziła Natalia. – Czy istnieje jakaś korelacja?

– Pewnie tak – odparł Hartl. – Ale na sto procent znajdzie to pani w programie centralnego komputera. – Rozsiadł się wygodnie i popatrzył na Natalię, a ona odniosła wrażenie, że mówi z ożywieniem. – Właściwie to tylko zwielokrotnia motywacje: trzy, maksymalnie cztery razy. Poza tym przyśpiesza zdolność oceny sytuacji. Tak to jest, panno Natalio; sport od dawna nie jest wyłącznie sprawą mięśni. Człowiek musi też mieć i tu – poklepał się dłonią w potylicę.

– A czy w ogóle da się grać bez aparatu? – spytała.

– Może jakiś tam wiejski turniej weteranów, bo w rankingu bez niego nikt nie ma żadnych szans. W dodatku musi to być dobry aparat: ICM, Heribert, może jeszcze Callus i to wszystko.

– Jaka jest ta nowa Wega? – wtrącił się człowieczek.

Hartl tylko wzruszył ramionami.

– Czyli właściwie zależy od tego, jaki kto ma w głowie aparat. – Natalia się skrzywiła.

– A ponieważ laboratoria robią najlepsze aparaty dla najlepszych zawodników, więc jest to zupełnie sprawiedliwe – roześmiał się John.

– Słyszałem, że całkiem niezła – ciągnął swoje człowieczek.

Natalia z zaciekawieniem pochyliła się do przodu.

– Nosi pan ten aparat tylko podczas zawodów czy stale? Czy na przykład ma go pan teraz?

– Nie. Ale mogę założyć. – John Hartl sięgnął do kieszonki koszuli i wyciągnął małą czarną soczewkę. Umieścił ją dwoma palcami z tyłu głowy. – No, gotowe.

– I teraz w trzech setach pokona pan trenera i mnie – stwierdziła Natalia.

John odstawił pusty kieliszek na stół i gestem oddalił kelnera, który natychmiast chciał podejść. – O co panu chodzi, trenerze? Kto pana przysłał? A może sam pan czegoś chce?

– Ja? – wybełkotał człowieczek.

– Niech się pan nie obcyndala. Przecież czegoś pan ode mnie chce, niezależnie od tego, czy to pański pomysł czy Wegi. Do kogo należy ta firma?

– Nie wiem, John – tłumaczył się trener. – Ja od ciebie niczego nie chcę. Po prostu przypadkiem znalazłem się w mieście, w którym masz mecz i powiedziałem sobie, że warto byłoby na ciebie popatrzeć. Nic więcej.

– Czyżby, trenerze? – Hartl zrobił ironiczny grymas. – Poważnie wydaje się panu, że mnie pan w taki sposób załaduje? Przez dwanaście lat mnie pan olewa, nie wart jestem dla pana paru groszy na list czy telefon, a teraz nagle pakuje mi się pan do szatni i obiera mnie z różnych tajemnic jak jajko ze skorupki. Jest pan akurat ostatni, który robiłby coś z czystego sentymentu. Więc czego pan chce? Szmalu? A może obiecali, że go pan dostanie, jeśli podpiszę umowę z Wegą?

Zdezorientowany człowieczek rozejrzał się po restauracji i wreszcie zatrzymał wzrok na Natalii – Ale ja naprawdę nic od niego nie chcę, proszę pani.

Odwróciła oczy i popatrzyła na kosmiczną ścianę. Wydawało jej się, że jest nieco ciemniejsza, jakby ubyło gwiazd.

– Jeśli pan nie chce rozmawiać przy niej, to możemy na chwilę wyskoczyć. Dama z pewnością nam wybaczy. – John Hartl wstał. – Znajdzie mnie pan przy telefonie, trenerze.

– Jesteś sukinsynem, John. Takim samym kiepskim, pieprzonym sukinsynem, jak dawniej.

Mistrz uśmiechnął się lekko. – Przecież zawsze mnie pan tak uczył, nie? Że mam być twardy wobec siebie, ale przede wszystkim wobec innych. Inaczej nie da rady wygrać. – Ruszył do drzwi.

Człowieczek siedział bez ruchu. Mogłoby się wydawać, że w sali jest tylko jego ciało, a myśli błądzą przynajmniej z pięć pięter wyżej. Wreszcie powoli wzniósł rękę i podrapał się po brodzie. Rozległ się cichy szelest włosów.

– To kawał sukinsyna – powiedział po chwili. – Sukinsyna ze złotą rączką.

– Może to przez ten aparat? – wtrąciła Natalia. – Jak tylko go założył, to od razu się na pana rzucił.

– Może masz rację, dziecko, ale tylko częściowo. Ja go znałem od takiego. – Pokazał ręką. – Właściwie należało się tego spodziewać.

Siedzieli na wprost siebie i milczeli. Kiedy trwało to zbyt długo, Natalia spytała: – Co pan miał na myśli mówiąc o tych ognikach w oczach?

– Nie ma żadnych ogników i nigdy ich nie miał. To było tylko głupie gadanie. – Człowieczek podniósł się energicznie od stołu i zrobił dwa szybkie kroki, a potem tak samo gwałtownie stanął, odwrócił się, jakby chciał jeszcze coś dodać, lecz najwyraźniej się rozmyślił, bo machnął ręką i odszedł.

Natalia patrzyła na niego, gdy wchodził po schodach do wind, ale dopiero gdy zniknął uświadomiła sobie, że przez ten czas gwiazdy, planety i statki kosmiczne na ścianie zupełnie zgasły. Pozostało czarne lśniące szkło.

Kabina pędziła w górę. Za przezroczystymi ścianami migały cyferki oznaczające piętra pod ziemią. Kiedy winda zbliżała się do powierzchni, zaczęła łagodnie wytracać szybkość.

– Albo wie pani co? Zrobimy sobie wycieczkę na samą górę. – John odwrócił się do Natalii.

– To jest strasznie kosztowne.

Wzruszył ramionami: – I tak za to zapłaci klub tenisowy.

– Ma pan przyjemne życie, skoro klub za wszystko panu płaci. Ja już jestem od trzech lat w tym mieście, a tylko raz byłam na górze. W zorganizowanej grupie turystycznej.

– Więc zgadza się pani? – Nacisnął guziczek. Winda znów zaczęła nabierać prędkości. Po chwili znaleźli się w paśmie smogu, ciągnącym się niemal do połowy wysokości miasta. W anatomicznych fotelach prawie wcale nie czuło się przeciążenia z powodu szybkiego ruchu.

– Czemu zrobił pan taką scenę po kolacji? – spytała Natalia. – Dzięki temu mogłam się przekonać, że jest pan nie tylko okazjonalnym zabijaką, ale również awanturnikiem. Co on panu zrobił?

– Trener? Co mi zrobił trener? – parsknął Hartl. – Ten cwaniaczek i oszust?

Wzruszyła ramionami. – W każdym razie nauczył pana jedynej rzeczy, jaką pan potrafi. Grać w tenisa.

– No tak, zaczynałem u niego. Po prostu mieszkałem w mieście, w którym on prowadził szkółkę tenisową. Ale nic więcej. A jeśli rzeczywiście czegoś mnie nauczył, to tylko nienawiści. Jak ja go chciałem zabić! Nie w walce, ale tak, normalnie. Gdzieś się na niego zaczaić i trzasnąć go w łeb. I myśli pani, że tylko ja jeden? Czy pani wie, ilu chłopaków wykończył tymi swoimi świństwami? Rozdzielał prochy i zastrzyki, robił zespoły kontrolne, obserwował co się przyjmie, a co nie. Początkujący zawodnicy, to przecież był najlepszy materiał doświadczalny. Jak mu się coś udało, to natychmiast odpalał ten nowy preparat jakiejś wschodzącej gwieździe. „Agresin"... to była tylko jedna z bardzo wielu rzeczy. A najgorsze, że nikt mu tego nie bronił. Tatusiowie zgadzali się na wszystko, uważając, że trzeba trochę wycierpieć, żeby potem zdobyć sławę, pieniądze; o ile naturalnie przypadkiem coś z tych

prób wyjdzie. Dzisiaj gadał, że mnie wybrali do tego neuroprogramu, ale w rzeczywistości sprzedał mnie w charakterze królika doświadczalnego! Za trzy boksy do treningu! A mój tata tak przytakiwał, że omal nie wywiercił sobie brodą dziury w piersiach.

Natalia wyciągneła do niego rękę. – Czyli chyba powinno mi być pana żal.

– Albo te jego aluzje do Wegi. Przecież jest to tak przejrzyste, jak ta szyba. Wysłali go do mnie i obiecali jakąś prowizję, jeśli uda mu się mnie namówić. A za forsę on jest gotów iść na koniec świata.

Kabina znalazła się nad górną powierzchnią smogu. Mętny, błękitno-czarny, nocny firmament w porównaniu z jego podziemną imitacją wyglądał jak ubogi krewny. Natalia pogłaskała Johna po ciemnych włosach. Potem jej ręka znieruchomiała. – Można?

Uśmiechnął się i lekko skinął głową.

Dotknęła czarnej soczewki pod włosami, delikatnie ją oderwała i przyłożyła sobie do potylicy. Aparat przylgnął do skóry jak magnes do płytki żelaznej.

W pierwszej chwili całe jej ciało przeszył bolesny skurcz, ale trwało to tylko ułamek sekundy. Potem ból zmienił się w pragnienie, w pożądanie, przed którym nie potrafiła i nie chciała się bronić. Tętniło w jej żyłach zamiast krwi i przenikało do najcieńszych naczyń włoskowatych; przesycało powietrze, które wdychała i płynęło rdzeniem kręgowym aż do mózgu.

Kabina windy stanęła. Byli na górze, na dachu miasta – dwa i pół tysiąca metrów nad powierzchnią ziemi i półtora tysiąca nad warstwą smogu.

John wziął Natalię za rękę i wyprowadził z windy. Małe drzwiczki zatrzymały ich na chwilę, lecz po chwili znaleźli się w ogrodzie, w którym nie było nikogo prócz nich i nocy. Stąpali w gęstej trawie i lawirowali między drzewami, których koron można się było tylko domyślać. Pod jednym z takich drzew zaczęli się kochać.

Natalia wpatrywała się w ciemność nad głową. Spomiędzy rzadkich liści prześwitywały drobne, ukryte kropeczki gwiazd. Były tak realne, że wyciągnęła rękę, aby je dotknąć. Znajdowały się jednak znacznie dalej niż John.

Przytuliła się do niego, wzięła jego rękę i prowadziła wzdłuż swego ciała, w górę, ku szyi, a potem zanurzyła ją we włosach z tyłu głowy.

– John, oni cię zabiją – szepnęła. – W końcu i tak cię zabiją.

Uniósł się na łokciu i popatrzył na nią. Wpatrywała się w jego oczy szukając ciepłych ogników, lecz zamiast nich zobaczyła nagły błysk, po którym zapadła w gęstą, zimną ciemność.

Miał uczucie, jakby ktoś skleił mu powieki i przytroczył do nich wielkie głazy. Gdyby mógł, spróbowałby otworzyć oczy palcami, ale nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Leżał bezwładny na trawie, a wiatr studził jego nagie ciało.

– Co z nią jest? – usłyszał czyjś głos.

– Nieprzytomna – powiedział ktoś inny.

– A golem? – spytał ten pierwszy.

– Też. Ale dla pewności trzymam go pod napięciem. Nie ruszy nawet palcem.

– To co z nią robimy?

– Chyba na dół – zaproponował drugi głos.

Napiął wszystkie mięśnie. Wydawało mu się, jakby podnosił całe miasto. Kiedy udało mu się je oderwać od ziemi, otworzył oczy.

Facet w czarnym kombinezonie, który stał nad nim, niewyraźnie majaczył w mroku. Drugi właśnie się prostował trzymając na rękach dziewczynę. Po chwili zniknął w ciemnościach.

– Co... – wydusił z siebie John. – Dokąd ją...

Czarny mężczyzna popatrzył na niego przez chwilę. – Zostanie deportowana z rezerwatu, panie Hartl – powiedział z westchnieniem. – Proszę zrozumieć, że pan, jako zaproszony uczestnik turnieju Grand Prix, ma oczywiście prawo wstępu do tego obszaru, ale ona nie. Przykro mi, jednak trzeba ją było wyrzucić.

Wokół była cisza i pachniała trawa.

– Proszę się nie obawiać, panie Hartl, to całkowicie bezbolesna sprawa. Nawet gdyby przypadkiem się ocknęła zanim przeleci przez warstwę smogu, to i tak znów zaśnie jak aniołek. To podobno działa jak gaz rozweselający.

John próbował wstać, ale nie dał rady i zaledwie uniósł się na rękach. W taki sposób podnosił się Sam Hawkins, przemknęło mu przez głowę. Tylko że to było na korcie, w walce i obaj wiedzieli, co ich może spotkać.

– Dlaczego to zrobiliście – wyszeptał z wysiłkiem.

– Dostaliśmy meldunek, panie Hartl. Ta dziewczyna najprawdopodobniej pracowała dla Wegi. Rozumie pan, chciała pana w ten sposób zwabić. To sprawa stara jak świat. Wie pan ile historycznych wydarzeń miało swój początek pomiędzy babskimi nogami? Na szczęście pański pierwszy trener się w tym skapował i natychmiast dał cynk do firmy.

John myślał o Hawkinsie, o bezgłośnym, rozpaczliwym wysiłku, z jakim tamten próbował się podnieść z kortu. Gdyby tak chociaż udało mi się uklęknąć, to miałbym szansę chwycić tego faceta za gardło.

– W windzie czeka już na pana sekretarz turnieju. No, muszę panu powiedzieć, że dziś po południu miał pan niezłe kopyto...

John rzucił się naprzód. Chwycił szczupłą szyję z wydatną grdyką i ścisnął, jednak w połowie uścisku jego palce zwiotczały. Poczuł na plecach tysiące drobnych igiełek i znów zwalił się w trawę.

– Widziałeś go, jaka cwana gapa? – powiedział drugi głos. – Najpierw wygląda, jakby miał wypuścić parę, a potem na ciebie skacze. Ciekawe, czy ma na łbie tę swoją maszynkę? Niektórzy podobno nawet z nią śpią.

Facet pochylił się i grzebał Johnowi we włosach.– Nie ma... to co go nagle tak wzięło? Przecież te zakapiory z aparatami tylko wtedy są do czegoś zdolne, jak sobie przylepią ten instrumencik.

Pierwszy facet wyprostował się masując sobie szyję, a potem spróbował parę razy przełknąć ślinę: – Dobra, w porządku...

– No, to bierzemy klienta i odsyłamy do firmy – odezwał się drugi. – Muszą go trochę odpicować, bo jutro gra w finale.

Kiedy wykręcali mu rękę wbijając w kaftan bezpieczeństwa, John słabo jęknął. Wzięli go pod pachy i powlekli do windy. Nim bezszelestnie zasunęły się drzwi, gdzieś na drugim końcu dachu zaskrzeczał budzący się ptak. Zabrzmiało to, jakby się śmiał...

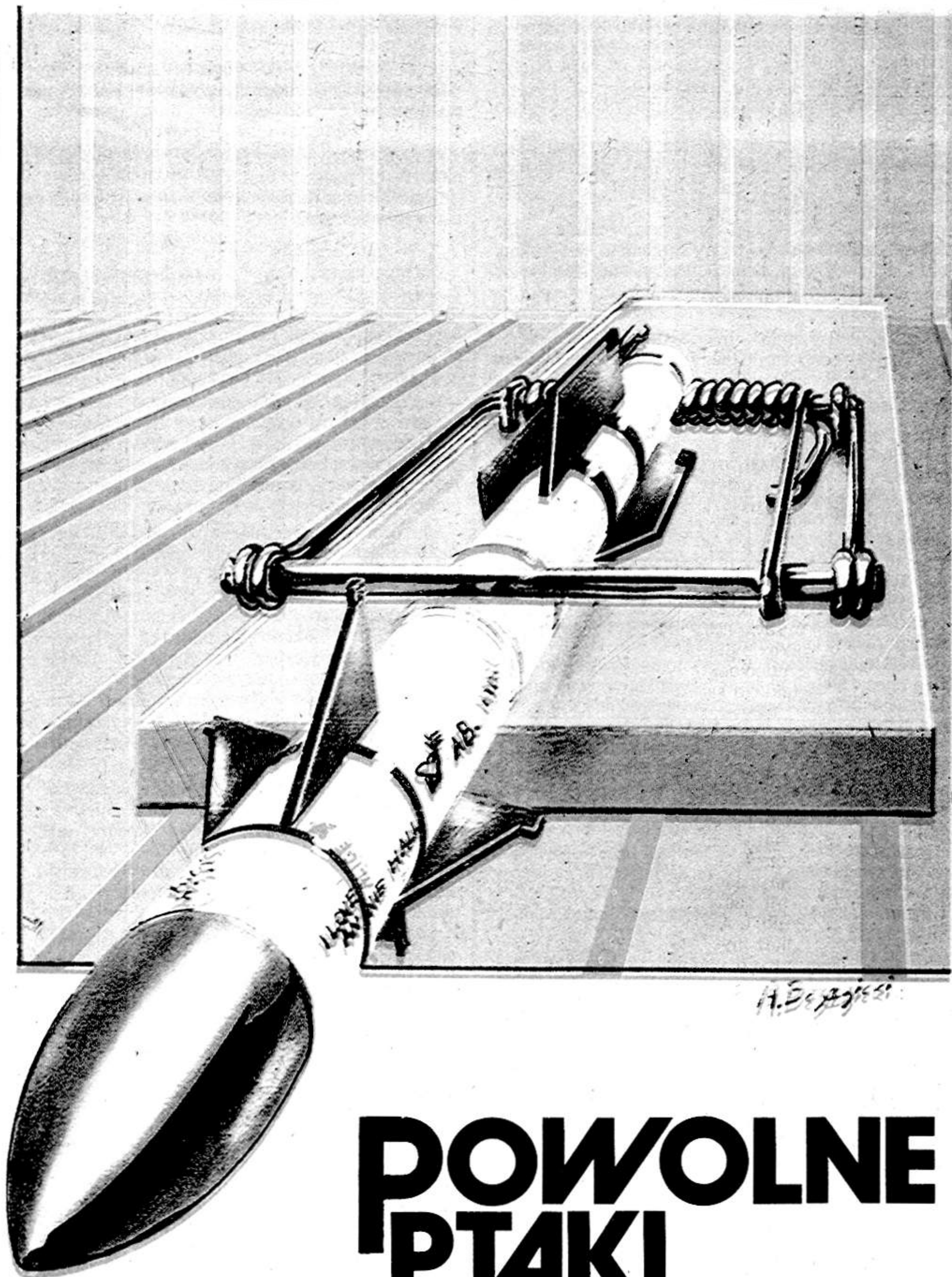
Przełożył
Andrzej Sławomir Jagodziński

Jaroslav VEIS

Z zawodu dziennikarz – popularyzator nauki, wyrósł na ciekawą i oryginalną postać w europejskiej fantastyce. Wiedząc dużo o możliwościach nauki i techniki ma jednocześnie wyrobiony pogląd na naturę człowieka i jego wizje przyszłości są zaprawione sarkastycznym humorem, który w ogóle wydaje się charakteryzować współczesną czeską SF. W „Fantastyce" nr 1/87 ukazało się krótkie opowiadanie Veisa „Na zdrowie". Czytelnicy pamiętający opowiadanie innego Czecha, Ondřeja Neffa, „Największy szajbus w dziejach swangu" („Fantastyka" nr 5/86) zwrócą zapewne uwagę na pewne podobieństwo stylu i nastroju do prezentowanego tu utworu Veisa.

Opowiadanie „Kto się śmieje ostatni" pochodzi ze zbioru Jaroslava Veisa „Moře času" (Mlada Fronta, Praha 1986).

L.J.



Andrzej Brzezicki

POWOLNE PTAKI

Ian Watson

(Slow Birds)

Tego roku majowy festiwal, którego głównym punktem były zawody łyżwiarskie odbywał się w Tuckerton.

Późnym rankiem, kiedy sędziowie wyznaczali na szklanej gładzi tor za pomocą czerwonych chorągiewek, na błękitnym dotąd niebie zaczęły się gromadzić kumulusy, zapowiadając idealne warunki do popołudniowych zawodów. Nie padało, szkło nie będzie więc zalane wodą jak zeszłego roku w Atherton. Nie było jaskrawego słońca, które oślepiało widzów przed dwoma laty w Buckby. I wiatr, dość silny, ale nie porywisty: idealny, żeby zawodnicy mogli nabrać prędkości wykorzystując żagle, a jednocześnie nie zwalający z nóg jak przed czterema laty w Edgewood, kiedy zdarzyło się wiele kontuzji.

Po zawodach miało być pieczenie wieprzka, a właściwie spożywanie jego smakowitych owoców, bo wieprzek obracał się z wolna na rożnie już od trzydziestu sześciu godzin. Miały być też otwarte beczki przedniego piwa. Na razie jednak wszystkie myśli Jasona Babbidge'a pochłaniało sprawdzanie łyżew i pięknego, szafranowego żagla.

Miał on wysokość rosłego mężczyzny i zrobiony był z najlepszego, starego jedwabiu łatanego w kilku tylko miejscach. Uchwyt z giętkiego jesionu ściągnięty był w łuk mocną konopną linką. Jason niczym harfiarz trącał ją w skupieniu, sprawdzając naciąg. Część zawodników wyszła już na taflę, demonstrując przy aplauzie widzów swoje umiejętności. Byli to przeważnie ludzie z Tuckerton, zachowujący się, jakby byli właścicielami tafli i znali ją lepiej niż goście, choć oczywiście niczym nie różniła się ona od takiego samego szkła koło Atherton.

Młodszy brat Jasona, Daniel, gwizdnął z podziwem na widok miejscowego zawodnika zataczającego na pełnej szybkości idealne kręgi, z fioletowym żaglem, trzepocącym przy halsowaniu.

– Spójrz na niego, Jason!

– Co, Bob Marchant? Miał wywrotkę w zeszłym roku. Po co się męczyć przed gwizdkiem?

Teraz wyszły na szkło dwie siostry z Buckby, które z dobranymi czarnymi żaglami zataczały wokół siebie ósemki, o włos od zderzenia.

– Idź, Jason, pokaż im – zachęcał brata Daniel.

Zawodnicy z innych wsi też zaczynali wychodzić na szkło, ale Jason zauważył, że Max Tarnover stał nie opodal, obserwując ich wyczyny z uśmiechem wyższości. Mistrz Tarnover z Tuckerton, ubiegłoroczny zwycięzca z Atherton mimo ulewy... Biorąc z niego przykład, a nawet idąc dalej, Jason odwrócił się od wydarzeń na tafli i lustrował tłum widzów.

Zauważył wuja, Johna Babbidge'a, prowadzącego ożywioną rozmowę z jakimś człowiekiem z Edgewood tuż koło orkiestry dętej. Nie było to najdogodniejsze miejsce do towarzyskiej pogawędki, widocznie więc ubijali jakiś interes. Tymczasem na łące za orkiestrą dzieciaki z pięciu wsi roiły się jak pszczoły wokół przygotowanych dla nich atrakcji. Ci zaś dorośli, którzy nie interesowali się popisami orkiestry, rozgrzewką zawodników ani plotkami, oblegali kramy z towarami i wytworami rzemiosła. Na święcie zebrało się chyba z tysiąc osób i pobliska wioska wyglądała na całkiem wyludnioną. Nawet dla starych ludzi przygotowano derki, ławy i puste baryłki.

Kiedy orkiestra opuściła instrumenty, żeby odpocząć po odegraniu „Tańca kwiatów", ponad gwar głosów wzbił się przerażony bek owcy. To jakiś wieśniak wskoczył do małej zagrody, gdzie jagnię, prawie już dorównujące wielkością ostrzyżonej i broniącej się przed nim matce, wpychało się pod jej brzuch, usiłując ssać i chować się jednocześnie. Śmiejąc się wieśniak podniósł jagnię za szyję i tylne nogi, żeby ocenić jego wagę i może zdobyć jakąś nagrodę. Teraz przeciskała się przez tłum matka Jasona, przeżuwając resztę paszteciка.

– Powodzenia, synu! – uśmiechnęła się.

– Mówiłem ci, mamo, że życzenie powodzenia przynosi pecha – zaprotestował Jason.

– A wypchaj się! Do licha z zabobonami! – Dotknęła szyi, jakby chciała popchnąć ostatni kęs, ale naprawdę pokazywała, że nie nosi żadnych amuletów.

– Chyba się trochę poruszam. – Zrzuciwszy sandały Jason usiadł, żeby założyć łyżwy. Potem przy pomocy brata podniósł się i stał z kolanem w iks, na wrzynających się w trawę łyżwach, podczas gdy Daniel mocował mu do ramion żagiel. Jason uchwycił sznurki kierujące rejką i żaglem.

– W porządku. – Poruszył żaglem w jedną i w drugą stronę. – Chodźmy.

Ale w chwili, kiedy miał wkroczyć na szkło, w odległości niespełna stu metrów nad taflą pojawił się powolny ptak.

Zmaterializował się tuż przed jedną z sióstr Buckby. Nie mogąc już skręcić, nie miała innego wyboru, jak paść na plecy. Krzycząc ze złości, a może też z bólu, przejechała pod powolnym ptakiem na wznak, na zniszczonym żaglu...

Nazywano je powolnymi ptakami, bo leciały w powietrzu z dostojną prędkością dwóch metrów na minutę.

Wyglądem też trochę przypominały ptaki, ale tylko trochę. Ich walcowate metalowe ciała zaokrąglały się w przedniej części, w tylnej zwężały się w usterzony ogon, a pośrodku miały dwa krótkie skrzydła. Te skrzydła nie mogły mieć nic wspólnego z utrzymywaniem ich masy w powietrzu; ptaki miały obwód końskiego tułowia i długość dwóch leżących mężczyzn. Może te skrzydła służyły do utrzymywania kierunku albo wysokości.

Barwę miały srebrnoszarą, ale była to tylko barwa ich zewnętrznej powłoki z miękkiego metalu podobnego do ołowiu. Pod jego półcentymetrową warstwą wewnętrzny kadłub był czarny i sztywny jak stal. Dzioby ptaków miały zawsze po kilka rys od zderzeń z różnymi przeszkodami w ciągu wielu lat. Powolne ptaki utrzymywały stale tę samą wysokość nad powierzchnią ziemi – brzuch na poziomie ludzkich ramion – i zmieniały kurs, omijając solidniejsze budynki i stare drzewa, ale przez wszystkie słabsze przeszkody po prostu się przeciskały. Stąd charakterystyczne rysy na każdym. Jednak znacznie łatwiejszym sposobem ich rozróżniania były rysunki i napisy wydrapane na ich bokach: inicjały w sercach, daty, nazwy miejscowości, urywki tekstów. Z tego można było wywnioskować, ile było tych powolnych ptaków. Bo nikt nigdy nie widział dwa razy tego samego. Każdy z nich pojawiał się – nad wzgórzem, w dolinie, pośrodku doliny – leciał powoli przez jakiś czas, od godziny do doby, pokonując odległość od kilkudziesięciu metrów do dwóch, trzech kilometrów. I znów znikał, żeby ukazać się znienacka zupełnie gdzie indziej, daleko lub blisko, po długim czasie albo prawie natychmiast.

Zazwyczaj ptak znikał, żeby pojawić się ponownie.

Nie zawsze jednak. Kilka razy w roku, na obszarze tego wyspowego kraju, powolny ptak osiągał kres swojej wędrówki.

Niszczył wtedy siebie i cały teren w promieniu czterech kilometrów, topiąc wszystko w taflę

szkła. Spolaryzowana, ściśle ograniczona strefa śmierci. Kilka metrów od jej obrzeża człowiek mógł ujść cało, chwilowo tylko ogłuszony i oszołomiony.

Jak dotąd nie zdarzyło się, żeby powolny ptak eksplodował nad już istniejącą taflą szkła. W rezultacie wiele wsi i miasteczek wyrastało jak najbliżej tego, co już zostało zniszczone, a wieść o powstaniu nowej tafli powodowała przesuwanie się tam gospodarstw i całych osad. Większość jednak ludności trzymała się fatalistycznie dawnych, historycznych miejscowości. Liczyli na to, że żaden powolny ptak nie wybuchnie tam za ich życia. A gdyby nawet tak się stało, to i tak nie będą nic o tym wiedzieć. Chyba że szkło pokryłoby tylko część miejscowości, a wtedy, po okresie żałoby, pozostali przy życiu mieszkańcy mogliby poczuć się bezpiecznie.

Co prawda, na dłuższą metę cały kraj od wybrzeża do wybrzeża, z północy na południe, będzie jedną wielką taflą szkła. Albo może raczej szachownicą stykających się kręgów, szklaną mozaiką. A co miedzy nimi? Spłachcie pustynnego piasku, jeżeli klimat będzie coraz suchszy z powodu odbicia promieni słonecznych od szkła. Albo bagna. Ale do tego było jeszcze daleko: sto, dwieście, trzysta lat. Więc ludzie nie przejmowali się zbytnio. Przyzwyczaili się do tego przez całe życie, a przed nimi ich rodzice. Może któregoś dnia powolne ptaki przestaną się pojawiać. I znikać. I wybuchać. Tak jak kiedyś zaczęły. W każdym razie według wszystkich danych sytuacja wyglądała tak samo wszędzie na świecie. Jedynie oceany były bezpieczne. Może więc pewnego dnia ludzkość będzie musiała przesiąść się na tratwy. Tylko z czego je wtedy zbuduje? Tymczasem ludzie jakoś żyli i większość od dawna już przestała zadawać pytania. Bo odpowiedzi nie było.

Siostra pomogła dziewczynie wstać. Chyba nic sobie nie złamała. Ucierpiała głównie jej godność – i oczywiście, żagiel.

Wszyscy łyżwiarze zatrzymali się i wrogo przyglądali się rakiecie. Jej brzuch i boki były niemal pozbawione napisów i widząc to kilku chłopców wysypało się na taflę, trzymając w pogotowiu scyzoryki, zardzewiałe gwoździe i inne ostre narzędzia. Sędzia zgonił ich gniewnym gestem.

– Sio! Wynoście się! – Jego spojrzenie zatrzymało się na Jasonie, który przez chwilę pomyślał, że sędzia zwróci się do niego, ten jednak zawołał: – Mistrzu Tarnover! – i Max Tarnover mijając Jasona podjechał do sędziego.

Po krótkiej naradzie sędzia przyłożył dłonie do ust.

– Opóźniamy start o pół godziny – huknął. – Młoda dama musi mieć szansę naprawy żagla, bo jak wszyscy widzieli, nie była to jej wina.

Jason odnotował lekki grymas rozbawienia na twarzy Tarnovera, bo teraz pozostali zawodnicy musieli albo jeździć dalej, tracąc energię na przedłużoną rozgrzewkę, albo zejść z tafli na przerwę, rozładowując się psychicznie. Prawie wszyscy wybrali przerwę i napoje orzeźwiające.

– To ci szczęście! – parsknęła pani Babbidge, kiedy Max Tarnover przechodził koło nich.

Tarnover zatrzymał się przed Jasonem.

– Prawdę mówiąc, myślę, że z jej żagla nic nie będzie – wyznał. – Ale co można zrobić? Inaczej te siostry z Buckby miałyby pretensje. „Na pewno by wygrała, gdyby jej dali dziesięć minut na naprawę żagla. Nie jej wina, że wyrosło przed nią to paskudztwo". – Tarnover obrzucił łaskawym spojrzeniem żagiel Jasona. – Jak tam forma?

Daniel Babbidge wpatrywał się w Tarnovera z mieszaniną ubóstwienia i wrogości wynikającej z kibicowania bratu. Sam Jason kiwnął tylko głową i powiedział: – Nieźle. – Nie był pewien, czy Tarnover okazuje mu uprzejmość, czy ostentacyjną wyższość. A może to pytanie oznaczało, że Tarnover rzeczywiście uznaje Jasona za poważnego rywala w tegorocznej walce o srebrny puchar?

Młodszy brat wyraźnie uznał odpowiedź Jasona za niewystarczającą.

– Jak pan myśli, mistrzu – odezwał się cienkim głosem – gdzie się podziewają te ptaki, kiedy nie są u nas?

Dobre pytanie: bez odpowiedzi, ale Max Tarnover zapewne poczuje się zobowiązany, żeby coś powiedzieć, choćby tylko dla podtrzymania swojej opinii światowca. Jason poczuł przypływ sympatii do brata, a matka chłopców zorientowawszy się w sytuacji powiedziała karcącym głosem:

– Nie zawracaj mistrzowi Tarnoverowi głowy. Na pewno nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

– Ależ nie, zastanawiałem się – powiedział Tarnover.

– I co? – naciskał chłopiec.

– Hm... może nigdzie się nie podziewają.

Pani Babbidge parsknęła śmiechem i Tarnover zaczerwienił się.

– Mam na myśli to, że może przestają być w jednym miejscu i w tej samej chwili pojawiają się w innym miejscu.

– Gdyby tak można jeździć na łyżwach! – roześmiał się Jason. – Tyle, że trochę wolno... W ostatniej chwili i tak wszyscy by takiego przegonili.

– Muszą się gdzieś podziewać – upierał się Daniel. – Może przenoszą się gdzieś, gdzie ich nie widzimy. Do jakiegoś innego miejsca, z innymi ludźmi. Może to oni budują ptaki.

– Słuchaj, piegusie, ptaki nie pochodzą ani z Rusji, ani z Merki, ani z żadnego innego kraju. Gdzie jest więc to twoje inne miejsce?

– Może jest tutaj, tylko go nie widzimy.

– Może świnie mają skrzydła.

– O, jeśli o to chodzi, to jestem pewna, że nasza maciora Betsy nie mogłaby latać, nawet gdyby miała skrzydła. Najwyżej wisiałaby w powietrzu tak jak to, i równie ciężko.

– Ważyła pani kiedyś takiego ptaka?

– Wyglądają dość ciężko, mistrzu Tarnover.

Tarnover z rozpiętym żaglem nie mógł przecisnąć się obok pani Babbidge, zadowolił się więc tym, że nie patrząc na nią mruknął:

– Jak nie potrafimy nic sensownego na ich temat powiedzieć, to sądzę, że lepiej nic nie mówić.

– Wcale nie lepiej – zaprotestował Daniel. – One rozwalają świat. Kawałek po kawałku. Zupełnie jakby prowadziły z nami wojnę.

Jason poczuł przypływ dowcipu.

– Może tak jest. Może ci inni ludzie, o których mówił Daniel, prowadzą z nami wojnę, tylko zapomnieli nas o tym zawiadomić. A kiedy nas całkiem pokryją szkłem, będą tu przyjeżdżać na wakacje, żeby sobie pojeździć na łyżwach.

– Diablo długa wojna, jeżeli tak – warknął Tarnover. – Ciągnie się od przeszło stu lat.

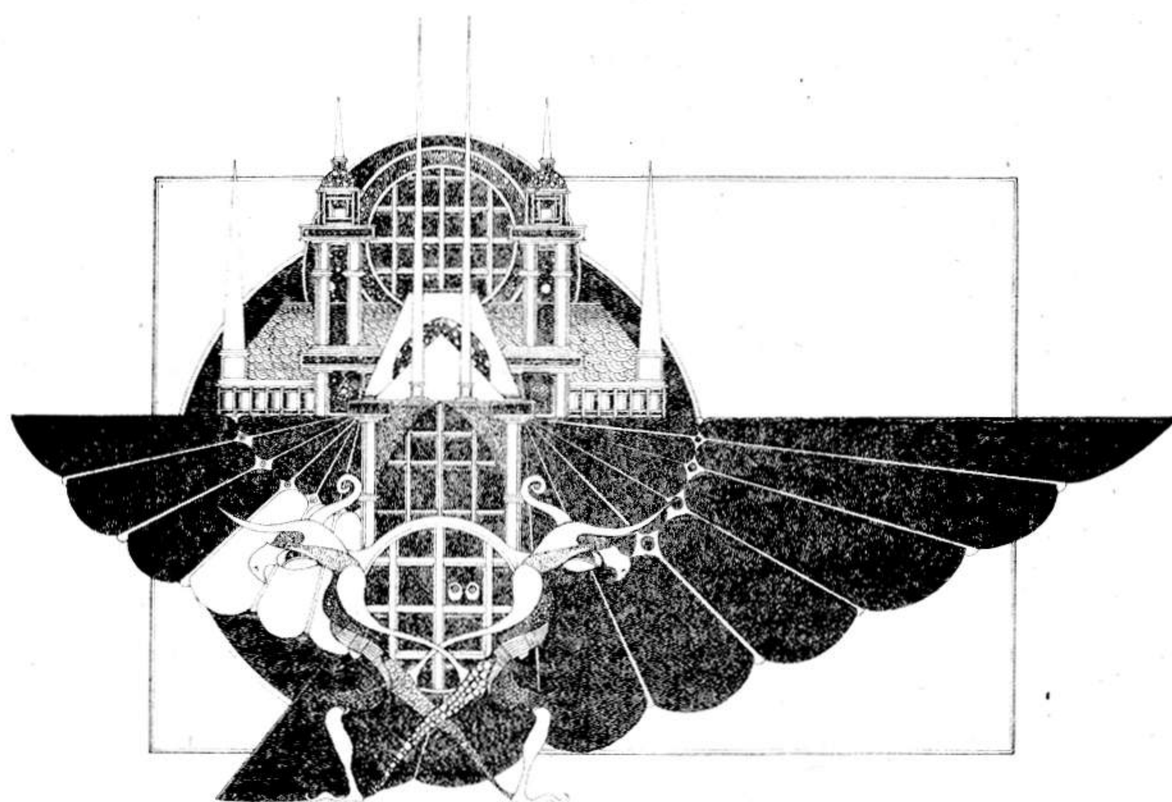
– Może dlatego te ptaki tak wolno latają? – wtrącił Daniel. – Może nasz rok to dla tamtych jedna godzina? Może dlatego ptaki nie spadają. Bo nie mają czasu.

Na twarzy Tarnovera odmalowała się prawie wściekłość.

– A co, jeżeli te ptaki przybywają jako kara za nasze grzechy? Jeżeli są po prostu nadprzyrodzonym dowodem...

– ...że Bóg się o nas troszczy? I że pewnego dnia

Jean Claude Smit le Bénédicte



nam przebaczy? – Pani Babbidge uśmiechnęła się promiennie. – Chyba nie jest pan jednym z nich? Inteligentny, młody człowiek jak pan. Ja nie palę nawet świec w oknach i nie wiążę supłów na prześcieradle, żeby przepędzić ptaki. – Potargała rudą czuprynę młodszego syna. – Wszyscy umrzemy wcześniej czy później. Przyzwyczaisz się do tego, kiedy dorośniesz. Kiedy przychodzi czas śmierci, trzeba umierać.

Tarnover był wściekły, ale młody Daniel również wyglądał na zmartwionego.

– A kiedy ma się pragnienie, trzeba się napić! – Korzystając z okazji, Tarnover wyminął panią Babbidge i odszedł.

Roześmiała się odprowadzając go wzrokiem.

– Stracił trochę wiatru – powiedziała.

Czterdziestu jeden zawodników oprócz Jasona i Tarnovera zebrało się na starcie. Nie było wśród nich dziewczyny, która miała wypadek; mimo wszelkich starań odpadła z wyścigu i siedziała ponuro razem z widzami.

Potem sędzia z Tuckerton gwizdnął i ruszyli.

Tor miał kształt długiego bochenka chleba. Najpierw przez tysiąc dwieście metrów biegł łagodną krzywizną wzdłuż skraju tafli, potem skręcał raptownie półkolem i zawracał po prostej do Tuckerton. Na końcu prostej drugie ostre półkole sprowadzało go do linii startu i finiszu. Uczestnicy mieli przebyć trzy okrążenia. Przy dłuższej trasie różnice między czołówką a maruderami mogłyby doprowadzić do zamieszania na torze.

Przed pierwszym wirażem Jason prowadził stawkę, całoroczny trening owocował. Jego łyżwy pewnie ślizgały się po lodzie, wiatr zdecydowanie popychał go do przodu. Na samym zakręcie przerzucając żagiel w nowe położenie zauważył, że Max Tarnover trzyma się czwartej pozycji. Postanowiwszy zwiększyć jeszcze przewagę Jason przy wejściu na prostą przeszedł tak blisko chorągiewki, że omal jej nie przewrócił. Chcąc to naprawić odbił w prawo i stracił kilka metrów. Kiedy wśród dopingu mieszkańców Atherton po raz pierwszy minął linię mety, Tarnover znajdował się na trzecim miejscu i nie wysilał się zbytnio, żeby przesunąć się do przodu – Jason zrozumiał, że Tarnover zwyczajnie wypuszcza go na prowadzenie.

Ale jazda na łyżwach z żaglem to nie to samo co zwykły bieg, w którym prowadzący z reguły odpada z walki o zwycięstwo. Jason rwał do przodu. Mimo to, po drugim okrążeniu Tarnover był tylko o dziesięć metrów za nim i płynął bez widocznego wysiłku, jakby on i jego żagiel, wiatr i tafla były jednym. Zauważywszy spojrzenie Jasona Tarnover uśmiechnął się i przyśpieszył, żeby zmusić prowadzącego do jeszcze większego wysiłku. Wchodząc na ostatnie okrążenie Jason odnotował w myśli postęp, jaki zrobił powolny ptak, znajdujący się teraz na lewo od niego i posuwający się ogólnie w kierunku Edgewood. Nawet maruderzy powinni zdążyć ukończyć bieg, zanim ptak przetnie im drogę, obliczył.

Ten krótki moment nieuwagi był błędem: Tarnover zbliżył się niebezpiecznie, z żaglem ustawionym pod kątem, który musiał strasznie obciążać przeguby. Już teraz odchodził w prawo, żeby wyprzedzić Jasona. I w tej chwili Jason zrozumiał, jak może wygrać: pozwalając Tarnoverowi myśleć, że zmusił go już do maksymalnego wysiłku – tak żeby Tarnover nabrał się i dał z siebie wszystko zbyt wcześnie.

– Nie dogonisz mnie! – krzyknął Jason na wiatr, domyślając się, że Tarnover weźmie to za przechwałkę i uzna, że Jason nie ma żadnej taktyki. Jednocześnie lekko zwolnił, mając nadzieję, że rywal tego nie zauważy, jako że stało to w sprzeczności z wcześniejszą przechwałką. Udając panikę pozwolił Tarnoverowi wyjść na prowadzenie – i zobaczył, że Tarnover nadal ściska z całej siły rejkę żagla, mimo że faktycznie poruszał się nieco wolniej niż poprzednio. Nieświadomie Tarnover utrzymywał niewłaściwy kąt żagla i niepotrzebnie forsował nadgarstki.

Tarnover sunął teraz na czele. Jason natychmiast uwolnił się od wszelkiego napięcia psychicznego. Z lekkością i wdziękiem trzymał się o kilka metrów z tyłu, tam gdzie mógł korzystać z „oka" powietrza za plecami Tarnovera. Wytrzymał tak do połowy ostatniej prostej, czując się jak sokół, który zanim spadnie na ofiarę, unosi się w powietrzu za pomocą lekkich tylko drgnień skrzydeł.

Jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz. Potem nagle zmieniając pochylenie żagla wyskoczył znów na prowadzenie. To był błąd. To był błąd od początku. Bo kiedy wyprzedzał Tarnovera ten się roześmiał. Ustawiwszy swój brązowo-pomarańczowy żagiel pod bardziej naturalnym, korzystniejszym kątem Tarnover zaczął pracować nogami jak szatan. Już był znów na przedzie. O pięć metrów. O dziesięć. I już wpadł na końcową krzywiznę.

Usiłując dogonić go w niewielu chwilach, jakie pozostały, Jason już wiedział, jak został nabrany, chociaż zrozumienie przyszło zbyt późno. Tarnover tak chytrze skupił uwagę Jasona na żaglach – przez to, że swój trzymał tak nienaturalnie tworząc to dogodne „oko" powietrza – że Jason całkowicie zlekceważył sprawę nóg i łyżew, przestał je śledzić z sekundy na sekundę. Wystarczyła chwila, żeby się ocknął i poderwał do największego wysiłku, ale ta chwila okazała się fatalna. Jason minął linię mety o metr za zeszłorocznym zwycięzcą, który zwyciężył również w tym roku.

Jason wyhamował i mimo goryczy porażki zdawał sobie sprawę, że musi zachować się sportowo, żeby Tarnover nie wykorzystał i tej okazji.

Głośno, żeby wszyscy słyszeli, zawołał:

– Wspaniale, Max! Wspaniały bieg! Rzeczywiście zaskoczyłeś mnie tam na wirażu.

Tarnover uśmiechnął się na użytek widzów.

– Jesteście strasznie hałaśliwą rodziną – powiedział pod nosem i odjechał, żeby raz jeszcze odebrać srebrny puchar.

Dużo później tego popołudnia, posilony pieczenią i piwem, Jason wywijając pustym kuflem rozmawiał w hałaśliwym tłumie z Bobem Marchantem. Z Bobem, który miał tak widowiskową wywrotkę w zeszłym roku. Może dlatego teraz jechał zbyt ostrożnie i zajął jedno z ostatnich miejsc.

Niebo pokryły ciężkie chmury, zapadał zmierzch. Wkrótce ludzie zaczną rozchodzić się do domów.

Jeden z kolegów Jasona z Atherton, Sam Partridge, przepchnął się do Jasona.

– Słuchaj, twój braciszek jest na tafli. Wdrapał się na grzbiet ptaka i jedzie na nim.

– Co?

Jason momentalnie wytrzeźwiał i pobiegł za Partridge'em, a Bob Marchant za nimi.

I rzeczywiście, w odległości może dwustu metrów w zapadającym mroku Daniel siedział okrakiem na powolnym ptaku. Jego ruda czupryna wykluczała wątpliwości. Teraz wielu innych ludzi zauważyło go i pokazywano go palcami. Rozlegały się okrzyki zachęty, tu i ówdzie gniewne protesty.

Jason ścisnął Partridge'a za ramię.

– Ktoś musiał go podsadzić. Nie wiesz, kto to zrobił?

– Nie mam pojęcia. Powinien dostać lanie.

– Daniel Babbidge! – krzyknęła gdzieś w pobliżu pani Babbidge. Więc ona też zobaczyła. Ostrożnie weszła na taflę, pilnując się, żeby nie stracić równowagi.

Jason i jego towarzysze natychmiast znaleźli się przy niej.

– Spokojnie, mamo – powiedział. – Zaraz ściągnę tego małego urwipołcia.

Bob Marchant po rycersku zaoferował swoje ramię i odprowadził panią Babbidge z powrotem na pewny grunt. Jason i Partridge ruszyli po szklistej nawierzchni w asyście co najmniej tuzina ciekawskich.

– Czy ktoś widział, kto go podsadził? – dopytywał się Jason. Nikt się nie przyznawał.

Kiedy grupa była o dobre dwadzieścia metrów od ptaka, wszyscy prócz Jasona stanęli. Idąc dalej sam, Jason powiedział groźnie, zniżając głos tak, żeby tylko brat go słyszał:

– Złaź natychmiast. Wystawiasz matkę i mnie na pośmiewisko.

– Nie – szeptem odpowiedział Daniel wczepiony w ptaka, ściskając go kolanami jako dżokej, z dłońmi przywartymi jak przyssawki. – Chcę zobaczyć dokąd on pójdzie.

– Do diabła! Nie będę tracił czasu na kłótnie. Złaź w tej chwili!

Jason złapał brata za kostkę i pociągnął, ale jedynym skutkiem było to, że sam podjechał bliżej do ptaka. Obok stopy Dana widniało serce z przeplecionymi inicjałami ZB i EF. Jason odwrócił się i zawołał:

– Hej, tam, pomóżcie mi! Niech ktoś przyjdzie i mnie podsadzi!

Nikt się nie kwapił z pomocą, nawet Partridge.

– To was nie ugryzie! Ptaka można dotykać. Każde dziecko to wie. – Ze złością wrócił ostrożnie do nich. – Do diabła, Sam!

Tym razem Sam Partridge z ociąganiem zrobił kilka kroków, za nim paru innych. Ale nagle stanęli wytrzeszczając oczy. Wyraz ich twarzy zdumiał Jasona na chwilę – dopóki Sam Partridge nie pokazał ręką, dopóki Jason się nie obejrzał.

Powietrze za nim było puste.

Powolny ptak nagle zniknął. Zabierając ze sobą jeźdźca.

W pół godziny później tylko goście z Atherton i gospodarze pozostali na terenach sportowych Tuckerton. Grupy z Buckby, Edgewood i Hopperton odeszły do siebie. Wujek John wciąż jeszcze pocieszał chlipiącą panią Babbidge. Większość twarzy w otaczającym ją tłumie wyrażała współczucie, chociaż wśród części ludzi z Tuckerton wyczuwało się też niezadowolenie, że oto wybryk jednego wyrostka rzucił cień na ich majową uroczystość.

Jason z płonącym wzrokiem rozglądał się po zebranych.

– Czy ktoś widział, kto podsadził mojego brata? – krzyknął. – Przecież nie mógł wsiąść sam, prawda? Gdzie jest Max Tarnover? Gdzie on jest?

– Czyżbyś chciał oskarżyć mistrza Tarnovera? – zahuczał potężny farmer z dużą brodawką na policzku. – Uważaj na zakrętach, bo możesz się przewrócić.

– Gdzie on jest, do diabła?

Wujek John położył rękę na ramieniu siostrzeńca.

– Jason, chłopcze, uspokój się. W ten sposób nie pomożesz matce.

Ale wtedy tłum się rozdzielił i ukazał się Tarnover ze srebrnym pucharem w ręku.

– Słucham, mistrzu Babbidge – powiedział. – Podobno chciał pan ze mną mówić.

– Czy widział pan, kto podsadził mojego brata na tego ptaka? Widział pan?

– Nie widziałem – odpowiedział Tarnover zimno.

Niewłaściwe pytanie, uświadomił sobie Jason. Bo przecież jeżeli Tarnover sam to zrobił, to nie mógł samego siebie widzieć.

– No to, czy pan...

– Hej, tam – wtrącił się ten sam farmer. – Spytałeś go i dostałeś odpowiedź.

– I myślę, że twój brat też dostał odpowiedź na swoje pytanie – powiedział Tarnover. – Mam nadzieję, że jest z niej zadowolony. Oczywiście wyrażam też swoje głębokie współczucie pani Babbidge. Jeżeli chłopca spotkało coś złego, ale przecież nic nam na ten temat nie wiadomo, prawda?

– No właśnie!

Jason sprężył się, ale wujek John przytrzymał go.

– Daj spokój, chłopcze. Nie ma sensu.

Długa droga do domu upłynęła trójce pozostałych Babbidge'ów w przygnębiającym milczeniu, chociaż niektórzy podpici mieszkańcy wsi idąc za nimi wesoło śpiewali. Co jakiś czas Jason rozglądał się szukając Sama Partridge'a, ale Sam skutecznie go unikał.

Następnego dnia, drugiego maja, pani Babbidge otrząsnęła się i ogłosiła „dzień porządków", co oznaczało czułe zajmowanie się ubraniami, książkami i starymi zabawkami Daniela, a potem schowanie ich głęboko. Jasona odesłała do jego pracy w tartaku, złajawszy go przedtem, że snuje się za nią jak cień.

Jason pracował przy cięciu desek, a po głowie tłukły mu się w kółko wciąż te same gniewne, bezsilne myśli: „Dla mnie on jest mordercą... Nie daje się dziecku noża do zabawy. Nic go to nie wzruszyło. Był zimny jak lód. Zadowolony z siebie..."

Ale co można było na to poradzić? Ptak mógł tam wisieć jeszcze przez wiele godzin. Tyle że wyszło inaczej...

Wyruszyć na poszukiwanie Daniela? Ale jak? I dokąd? Ptaki pojawiały się jak chciały. Tu, tam, wszędzie. Bez ładu i składu. Więc poszukiwania też byłyby bez sensu.

Wyprawa, żeby udowodnić, że Daniel żyje. A gdyby się okazało, że żyje, wówczas Tarnover nie byłby mordercą.

„Dla mnie jest mordercą..." Myśli Jasona krążyły bezsilnie. Było to jak jazda na łyżwach ze związanymi nogami.

W trzy dni później zauważono powolnego ptaka przy drodze do Edgewood. Jim Mitchell, cieśla z Edgewood, odszukał Jasona w tartaku, żeby go o tym zawiadomić. I tak miał tu coś do załatwienia.

Jego wizyta była niewątpliwie dowodem życzliwości, ale Jasona nie tyle podniosło to na duchu, co przepełniło poczuciem winy. Bo teraz musiał iść i zobaczyć na własne oczy, choć było jasne, że nie ma tam nic do oglądania. Odłożywszy narzędzia pośpieszył do domu po łyżwy i żagiel, i pojechał do Edgewood.

Ptak jeszcze tam był, ale był to inny ptak. Nie miał wydrapanego serca ze splecionymi inicjałami ZB i EF.

A w cztery dni później przyszła wiadomość z Buckby o ptaku dostrzeżonym kilka kilometrów na zachód od wsi, przy głównej drodze do Harborough. Tym razem Jason pożyczył konia i pojechał. Okazało się, że wiadomość była spóźniona; ptak

przeleciał o dzień wcześniej. Mimo to Jason czuł się w obowiązku obejrzeć miejsce jego ukazania się, żeby sprawdzić, czy nie ma tam ciała lub jakichś śladów.

W tydzień później ptak zniknął niedaleko Atherton; akurat w chwili, kiedy Jason przybył na miejsce...

Potem pewnego wieczoru Jason poszedł do piwiarni „Pod Kłosem". Już od wielu tygodni tu nie był; teraz postanowił się upić przy długim barze pod trofeami z wyścigów konnych.

Popijali tam już Sam Partridge i Frank Yardley, a w jakąś godzinę później zjawił się również Ned Darrow ze swoją zalatującą piwem radą.

– Posłuchaj, Jason, po diabła latasz za każdym razem, kiedy ktoś wypatrzy cholernego ptaka? Rób tak dalej i wyjdziesz na cholernego durnia. A co będzie, jak ptak wyskoczy w Tuckerton? Prędzej czy później musi się to zdarzyć. Czy tam też polecisz z wywieszonym językiem?

– Stale zwalniasz się z pracy – powiedział Frank Yardley. – Skończy się tak, że cię wyleją. Ja ci radzę, żyj jak wszyscy.

– A ja nie wiem – odezwał się niespodziewanie Sam Partridge. – Myślę, że człowiek ma prawo dochodzić swojej krzywdy. Jeżeli Tarnover rzeczywiście zrobił to świństwo Babbidge'om...

– Jakie „jeżeli"? – przerwał mu gniewnie Jason.

– Spokojnie, Jason. Chciałem powiedzieć, że jeżeli zrobił to świństwo Babbidge'om, którzy są z Atherton, to tak, jakby zrobił to nam wszystkim, nie?

– Dzięki temu, że niektórzy nie śpieszyli się z pomocą.

Sam się zaczerwienił.

– Nie rzucaj się na oślep na wszystkich. Pewnie, że nikt nie jest doskonały, ale pamiętaj, kto jest twoim przyjacielem, a kto wrogiem.

– Będę pamiętał, nie bój się.

Frank przechylił pusty kufel.

– Słusznie. Czyja kolejka?

I tak to szło, aż następnego ranka Jason obudził się z ciężką głową.

Wieczorem do drzwi Babbidge'ów zapukał Ned.

– Ptak nad taflą, Sam kazał ci powiedzieć – oświadczył. – Może przejedziemy się, żeby go obejrzeć.

– O ile pamiętam, wczoraj wieczorem tłumaczyłeś mi, że to strata czasu.

– Co innego latać po całym hrabstwie, ale to tylko spacer, wieczór jest ładny. Zresztą, jak ci się nie chce... Tyle że moglibyśmy potem wypić parę piw „Pod Kłosem".

Chłopakom musiało go brakować przez te ostatnie kilka tygodni. Szybko zgarnął łyżwy i żagiel.

– A co z kolacją? – spytała matka. – Krupnik na baraniej głowie.

– Przecież się nie zepsuje do jutra. Mogę zjeść coś „Pod Kłosem".

– Może i lepiej, żebyś się trochę rozerwał – powiedziała matka. – Nawet się cieszę. Zajmę się trochę szyciem.

W dwadzieścia minut później Jason, Sam i Ned byli już na środku tafli. Niebo było purpurowe z ławicami chmur, a wzdłuż horyzontu płynęła rzeka złota: marna pogoda na jutro, ale piękna dzisiaj. Szklana przestrzeń połyskiwała czerwonymi i złotymi refleksami: jezioro krwi, złota i roztopionego metalu. Początkowo nie zauważyli pojedynczego łyżwiarza ani on ich, aż znaleźli się całkiem blisko powolnego ptaka.

Sam zorientował się pierwszy.

– Hej, kto to jest? – spytał.

Brązowo-pomarańczowy żagiel. Jason poznał go od razu.

– To Tarnover!

– No to teraz masz okazję, żeby się dowiedzieć – powiedział Ned.

– Mówisz poważnie?

Ned wyszczerzył zęby.

– Dlaczego nie? To może być zabawne. Łapmy go.

Trzej łyżwiarze rozbiegli się, żeby otoczyć Tarnovera, który też ich rozpoznał i zaczął zawracać. Za ostro. Albo trafił na kałużę wody na szkle. Ku uciesze Jasona, Max Tarnover, mistrz pięciu wsi, przewrócił się jak długi.

Złapali go. Nie trzeba było wielkiej siły, żeby przytrzymać łyżwiarza, choćby nie wiem jak szarpał się i wierzgał, ale Jason wymierzył Tarnoverowi cios w szczękę, po którym ten stracił przytomność.

– Po co, do diabła, to zrobiłeś? – spytał Sam, podtrzymując Tarnovera, żeby się nie potłukł padając.

– A jak inaczej wsadzimy go na ptaka?

Sam spojrzał na Jasona, potem powoli kiwnął głową.

Nie była to najłatwiejsza operacja – wciągnięcie bezwładnego i ciężkiego ciała na wolno poruszający się przedmiot, kiedy samemu stoi się na śliskiej powierzchni – ale po zdjęciu łyżew okazało się to możliwe. Wkrótce Tarnover leżał na metalowym cielsku ze zwisającymi nogami. Jason pośpiesznie odciął scyzorykiem linkę od żagla Tarnovera i związał mu kostki pod brzuchem ptaka.

W tym momencie Tarnover ocknął się i półprzytomnie starał się wyprostować. Jęknął, zachwiał się, odzyskał równowagę.

– Babbigde... Partridge, Ned Darrow...? Co wy do diabła robicie?

Jason oparł ręce na biodrach.

– Tak sobie tylko żartujemy, tak jak ty z moim bratem. Który zaginął przez ciebie, może na zawsze.

– Ja nie...

– Przyznaj się, to może cię odetniemy.

– Albo i nie – powiedział Ned. – W każdym razie nie przed zamknięciem piwiarni. Ale nie trać nadziei, może cię uwolnimy.

Tarnover napiął mięśnie nóg próbując więzów. Skrzywił się.

– Naprawdę nie chciałem zrobić krzywdy twojemu bratu.

Sam uśmiechnął się krzywo.

– My też nie chcemy ci zrobić krzywdy. To nie nasza wina, jeżeli ptak postanowi odlecieć. Zresztą jest tu dopiero od jakiejś godziny. Równie dobrze może tu wisieć przez całą noc. Dobrze mówię?

– Tak jest – powiedział Ned. – A ja mam pragnienie. Ścigamy się? Ostatni stawia.

– On się przyznał, że to zrobił – powiedział Jason. – Słyszeliście.

– Słuchaj, naprawdę żałuję, jeżeli...

– Zamknij się – powiedział Sam. – Możesz się tu trochę pomarynować za to, co zrobiłeś Babbidge'om. Możesz sobie pomyśleć o tym, jak żałujesz. – Partridge postawił żagiel.

Jason niezupełnie tak sobie wyobrażał swoją zemstę. Czuł się trochę rozczarowany. Jednak dla Tarnovera sprawa była poważna. Czoło mistrza pokryło się potem. Jason również postawił żagiel i wszyscy trzej młodzi ludzie odjechali... Odwrócili się w stronę małej postaci Tarnovera przywiązanej do metalowego wierzchowca.

– Gdybym to był ja – zauważył Sam – to posu-

Jan Grabowski



wałbym się do przodu, aż bym spadł na szkło... Można się trochę potłuc, ale to jest sposób.

– Nie ma po co wracać – powiedział Ned. – Hej, co on wyrabia?

Postać fiknęła kozła. Widocznie Tarnover wpadł w panikę i stracił głowę, bo wyglądało to, jakby wychylił się próbując rozwiązać nogi. Nagle odległa postać obróciła się wokół ptaka i teraz wisiała głową w dół machając rękami. Albo może Tarnover liczył na to, że sznur zerwie się pod jego ciężarem, ale tak się nie stało. A z chwilą, kiedy znalazł się w tej pozycji, nie mógł już wrócić do poprzedniej ani też posuwać się stopniowo do przodu ptaka.

Ned gwizdnął.

– Ale się teraz załatwił! Sam się, cholera, ukrzyżował.

Jason zawahał się, zanim powiedział:

– Może powinniśmy wrócić? Wiecie, człowiek może umrzeć, jak wisi za długo głową w dół... – Nagle cały ten epizod wydał mu się jakiś nieprzyjemny, odrażający.

– Wracać? – oburzył się Sam Partridge. – Wczoraj wieczorem to ty się odgrażałeś. A czyj to był pomysł, żeby go przywiązać do ptaka? Chciałeś dać mu nauczkę i ma teraz nauczkę. My ci tylko pomagamy.

– Bardzo wam dziękuję.

– Dosyć już tego gadania. Przecież nie zwiędnie jak bukiet kwiatów, zanim wypijemy po dwa piwka.

Pojechali więc z powrotem „Pod Kłosa" w Atherton.

O pół do jedenastej trzej młodzi ludzie, nieco mniej pewnie trzymając się na nogach, wysypali się z piwiarni na ulicę. Sierp księżyca wyglądał co jakiś czas przez przerwy w chmurach dając niewiele światła.

– Ja idę spać – powiedział Sam. – Niech ten pedał sam znajdzie sposób, jak zleźć.

– A nawet, jak nie zlezie? – zawtórował mu Ned. – W ten sposób nikt się nie dowie. Potrzebny nam wróg do końca życia? Chcesz tego, Jason? A tak nie wiadomo, co będzie. Może się zdarzyć, że Tarnover przyprowadzi twojego brata.

Zarzuciwszy zwinięty żagiel na ramię i machając łyżwami Ned odszedł ulicą.

– Ale... – Jason czuł się tak, jakby wlazł w łajno. Wszystko to jakoś mu śmierdziało. Myśl o Tarnoverze wiszącym głową w dół nie dawała mu spokoju.

– Ale co? – spytał Sam.

Jason udał, że ziewa.

– Nic. Cześć. – I ruszył do domu.

Jak tylko jednak zniknął Samowi z oczu, skręcił w pierwszą uliczkę prowadzącą na szkło. Panowały tam ciemności bez gwiazd tylko z przebłyskami światła księżycowego, ale wiał równy wiatr i na tafli nie było się o co przewrócić. Ptak nie mógł się posunąć dalej jak o sto metrów. Jason popędził w jego stronę.

Powolny ptak znajdował się tam, gdzie powinien, ale Tarnovera na nim nie było.

Kiedy Jason stanął, żeby się lepiej rozejrzeć, z ciemności poderwały się postacie, które dotąd leżały przykryte żaglami. Sześć. Osiem. Dziewięć. Wszystkie czaiły się w odległości dwustu, trzystu metrów od ptaka, nie za blisko i nie od strony Atherton. Pozostawiły szeroki korytarz, który teraz zamknęły.

Jason stał nieruchomo, kiedy ludzie z Tuckerton zbliżali się do niego, wiedząc, że nie ma żadnych szans.

Max Tarnover podjechał pierwszy w towarzystwie potężnego farmera z brodawką.

– Wróciłem po ciebie – zaczął Jason.

Farmer odezwał się, ale nie do Jasona.

– No, proszę. To wspaniale z jego strony. Mógł się nie fatygować, bo Tim Earnshaw i tak trafił na mistrza Tarnovera. Więc co z nim robimy?

– Oko za oko – podpowiedział inny głos.

– Niech idzie poszukać swojego braciszka – zaproponował trzeci. – Zamiast posyłać innych w swoich sprawach... Bezczelny facet.

Max Tarnover nic nie mówił. Stał tylko w milczeniu.

Wkrótce Jasona posadzono na grzbiecie ptaka i związano mu nogi pod jego brzuchem. Związano mu również dłonie i na wszelki wypadek koniec sznura przeciągnięto przez jego pasek.

Po kilku minutach wszyscy łyżwiarze pomknęli do Tuckerton.

Jason został sam. Przypomniawszy sobie słowa Sama usiłował przesunąć się do przodu, ale z rękami przywiązanymi do pasa okazało się to niemożliwe. Poza tym bał się, że straci równowagę tak jak Tarnover.

Siedział i myślał o matce. Może się zaniepokoi, że Jason nie wraca, może pójdzie i obudzi wujka Johna... A może już śpi.

Ale może obudzi się w nocy, zajrzy do jego pokoju i przyśle pomoc. Z rozpaczliwą koncentracją usiłował wysyłać do matki myśli i obrazy.

Minęła godzina, potem dwie; tak w każdym razie sądził na podstawie przesuwania się sierpu księżyca. Najchętniej opadłby do przodu i zasnął. To mogłoby być najlepsze; wtedy o niczym by nie wiedział. Wciąż jeszcze był tak pijany, że mógłby zasnąć z twarzą przywartą do metalu. Ale wtedy mógłby przez sen ześlizgnąć się z grzbietu ptaka.

Jak matka przeżyje podwójną stratę? Wyglądało to tak, jakby na rodzinę Babbidge'ów spadło przekleństwo. Oczywiście, to przekleństwo miało imię i nazwisko: Max Tarnover. Przez chwilę więc Jason przeklinał go i wyobrażał sobie zemstę z udziałem wszystkich mieszkańców Atherton. Krwawa wendeta. Domy w płomieniach. Może jakiś gwałt. Zabójstwa nawet. Koniec z majowymi festiwalami.

Ale czy Sam i Ned opowiedzą o wszystkim? I czy mieszkańcy Atherton będą aż tak oburzeni, żeby zniszczyć harmonię pięciu wiosek w świecie, w którym tak niewiele rzeczy dawało oparcie? Na dodatek jakieś niezbyt życzliwe dusze mogły powiedzieć, że to Jason, Sam i Ned wszystko zaczęli.

Jason był tak pochłonięty wyobrażaniem sobie przyszłej wendety między Atherton i Tuckerton, że prawie zapomniał, gdzie się znajduje. Nie czuł żadnego ruchu, nie miał zupełnie poczucia, że dokądś jedzie. Kiedy sobie uświadomił swoje położenie, było to dla niego wstrząsem.

Siedział na ptaku.

Tylko od jak dawna?

Tkwi tutaj ile, sześć godzin? Ptak mógł się tak unosić przez całą dobę. W takim razie miałby jeszcze osiemnaście godzin na ratunek. A gdyby ptak był tu tylko przez pół doby, to dawałoby mu czas do rana. Tylko.

Przyłapał się, że myśli o tym, co kryje się pod metalową powłoką ptaka. Coś, co potrafi przekształcić osiem kilometrów krajobrazu w szklaną taflę, niewątpliwie. Ale także inne rzeczy. Takie, które pozwalają ptakowi ignorować grawitację. Rzeczy, które umożliwiają mu pojawianie się i znikanie. Może nawet jakiś rodzaj mózgu?

– Czy mnie słyszysz, ptaku? – odezwał się. Może

nikt dotąd nie próbował rozmawiać z powolnym ptakiem.

Powolny ptak nie odpowiadał.

Może nie potrafi mówić, ale słyszy. Może reaguje na polecenia.

– Nie znikaj, póki na tobie siedzę – powiedział mu. – Zostań tu. Leć tak jak teraz.

Ponieważ jednak ptak robił to już przedtem, Jason nie wiedział czy ptak go słucha, czy nie.

– Wyląduj, ptaku. Osiądź na szkle. Zatrzymaj się.

Ptak go nie słuchał. Jason poczuł się głupio. Nic nie wiedział o ptaku. Nikt nic o nim nie wiedział. Ale ktoś gdzieś wiedział. Chyba że powolne ptaki rzeczywiście pochodziły od Boga, jako karzące cuda. Mające przejąć ludzi lękiem przed Bogiem. Ale dlaczego Bóg miałby chcieć, żeby ludzie się go bali? Chyba, że Bóg oszalał i wtedy ptaki mogły być Jego posłańcami.

Były czymś irracjonalnym, czymś z innego świata, czymś, czego ich ofiary nie mogły zrozumieć, podobnie jak kolonia mrówek nie rozumie buta ogrodnika odsłaniającego ich białe jaja przed słońcem i wróblami.

Może coś z innego świata zagnieździło się w oceanach, coś, co nie lubi istot lądowych. Żadnych. Ludzi ani owiec, ptaków, robaków, roślin... Mało prawdopodobne. Woda morska przegryzłaby metal. Po raz pierwszy w swoim życiu Jason myślał z takim napięciem.

– Czym ty jesteś, ptaku? Po co tu przybyłeś?

A po co, myślał, jest wszystko inne? Po co jest świat i niebo, i gwiazdy? Mogłaby przecież istnieć tylko nicość na zawsze.

Może na tym polega istota śmierci: nicość na zawsze. I życie człowieka jest jak powolny ptak. Pojawia się i znika, z nicości w nicość.

W niezmierzony czas później niebo za jego plecami zaczął rozświetlać brzask przetwarzając czerń w szarość. Ta szarość rozlewała się stopniowo, w miarę jak grube chmury filtrowały wschodzące, ale niewidoczne słońce. Wkrótce zrobiło się całkiem jasno. Musiała być piąta, może szósta. Ale szara tafla pozostawała całkowicie pusta.

Kim ja jestem, zastanawiał się Jason chłodno i spokojnie. Dlaczego mam świadomość świata? Dlaczego ludzie mają umysły i myślą? Po raz pierwszy w życiu czuł, że naprawdę myśli – i myślenie prowadziło donikąd.

Ian WATSON

Ur. 1943; jeden z najciekawszych brytyjskich autorów SF, dotąd u nas zupełnie nieznany. Opowiadanie „Powolne ptaki" jest jego pierwszą prezentacją w języku polskim. Nazwisko Watsona kojarzyło się dotąd z jego powieściami. „The Embedding" (1973, francuska nagroda Prix Apollo 1975), „The Jonah Kit" (1975, Brytyjska Nagroda SF 1978), „The Martian Inca" (1977), „Alien Embassy" (1977), „The Miracle Visitors" (1978) i inne zyskały Watsonowi wysoką markę u krytyków i recenzentów, ale są to powieści trudne i skomplikowane, operujące niesamowitym nastrojem – symboliczne i surrealistyczne komentarze do człowieka i świata często z mistycznym podtekstem.

Jako autor opowiadań Watson rozwijał się jakby z opóźnieniem. W ubiegłym dziesięcioleciu szukał dopiero własnego głosu, próbował kroków w różnych kierunkach, widoczny był w jego rzeczach wpływ J. G. Ballarda. Dopiero w latach osiemdziesiątych pisarz jakby odnalazł się w krótkiej formie i – przynajmniej zdaniem piszącego te słowa – w najlepszych opowiadaniach przewyższył już swoje osiągnięcia powieściowe.

Ian Watson pisze science fiction bardzo angielską, a to znaczy literacką, spokojną, raczej nostalgiczną. Przebojowe pomysły traktuje zwykle z typowo angielskim understatement, co niewątpliwie utrudnia mu wejście na rynek amerykański. Drugą typowo angielską cechą twórczości Watsona to katastrofizm, umieszczanie opowiadań w świecie, przez który przeszedł kataklizm. W przeciwieństwie do beznamiętnego Ballarda u Watsona wyczuwa się za tą tematyką głębokie zaangażowanie w problemy współczesnego świata.

Ł. J.

Uświadomił sobie, że przygotowuje się do śmierci. Tak jak cała ziemia będzie musiała umrzeć kawałek po kawałku stapiając się w szkło. Wtedy nikt już nie będzie myślał i nie będzie miało żadnego znaczenia, że jakiś Jason Babbidge przestał myśleć o pół do siódmej pewnego ranka pod koniec maja. Ostatecznie to samo działo się co noc, kiedy zasypiał. Też przestawał myśleć. Przestać myśleć. Może wszystko będzie wtedy czystsze i jaśniejsze. Mniej zanieczyszczone, mniej gorączkowe: czysta szklana kula. Zupełnie spokojna, nawet gdyby Słońce pochłonęło Ziemię. Cisza, na zawsze, skoro nie będzie nikogo, kto by słuchał.

Może to miały ludziom powiedzieć powolne ptaki. A tymczasem ludzie tylko wydrapywali na nich swoje inicjały. I serca. I jeszcze nazwy miejsc, które w jednym błysku stopiły się w szkło; albo takich, które się stopią.

Staje się filozofem, pomyślał ze zdziwieniem Jason.

Widocznie przeskoczył w stan jakiejś nadświadomości: pełna jasność, jednak bez świadomości otoczenia. Bo nie zdawał sobie w pełni sprawy, że przybyła pomoc, dopóki nie został przecięty sznur krępujący jego kostki, po czym prawa noga gwałtownie podskoczyła w górę i Jason spadł z drugiej strony ptaka prosto w oczekujące na niego ramiona.

Sam Partridge, Ned Darrow, Frank Yardley, wujek John i Brian Sefton z tartaku, który kucnął z nożem pod brzuchem ptaka i rozciął drugi sznur uwalniając dłonie Jasona.

Oddalili się pośpiesznie prowadząc między sobą Jasona, który stawiał słaby opór, wyciągając ręce w stronę ptaka.

– Już wszystko dobrze, chłopcze – pocieszał go wujek John.

– Nie, ja chcę odlecieć – protestował.

– Co?

W tym momencie powolny ptak, który był tu i tak dość długo, znikł. Jason jak zaczarowany wpatrywał się w miejsce, gdzie znajdował się jeszcze przed chwilą.

W końcu wujek i koledzy musieli go siłą odprowadzić z niczym nie wyróżniającego się miejsca na tafli jak jakiegoś idiotę. Jak kogoś, kto postradał zmysły.

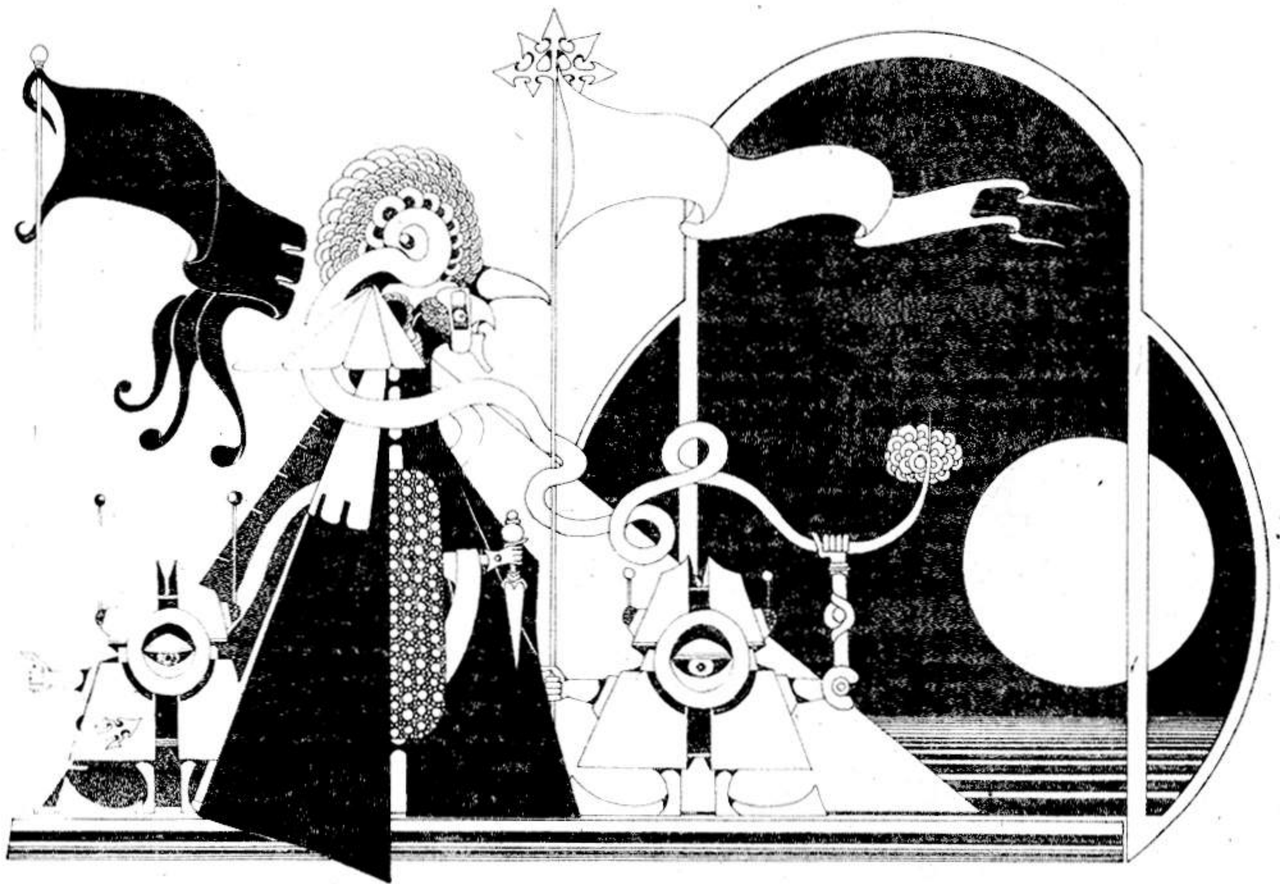
Ale Jasonowi nie na długo odjęło mowę. Wkrótce zaczął nauczać. Albo wygłaszać kazania. Jedno albo drugie. A ludzie go słuchali; najpierw w Atherton, potem i gdzie indziej.

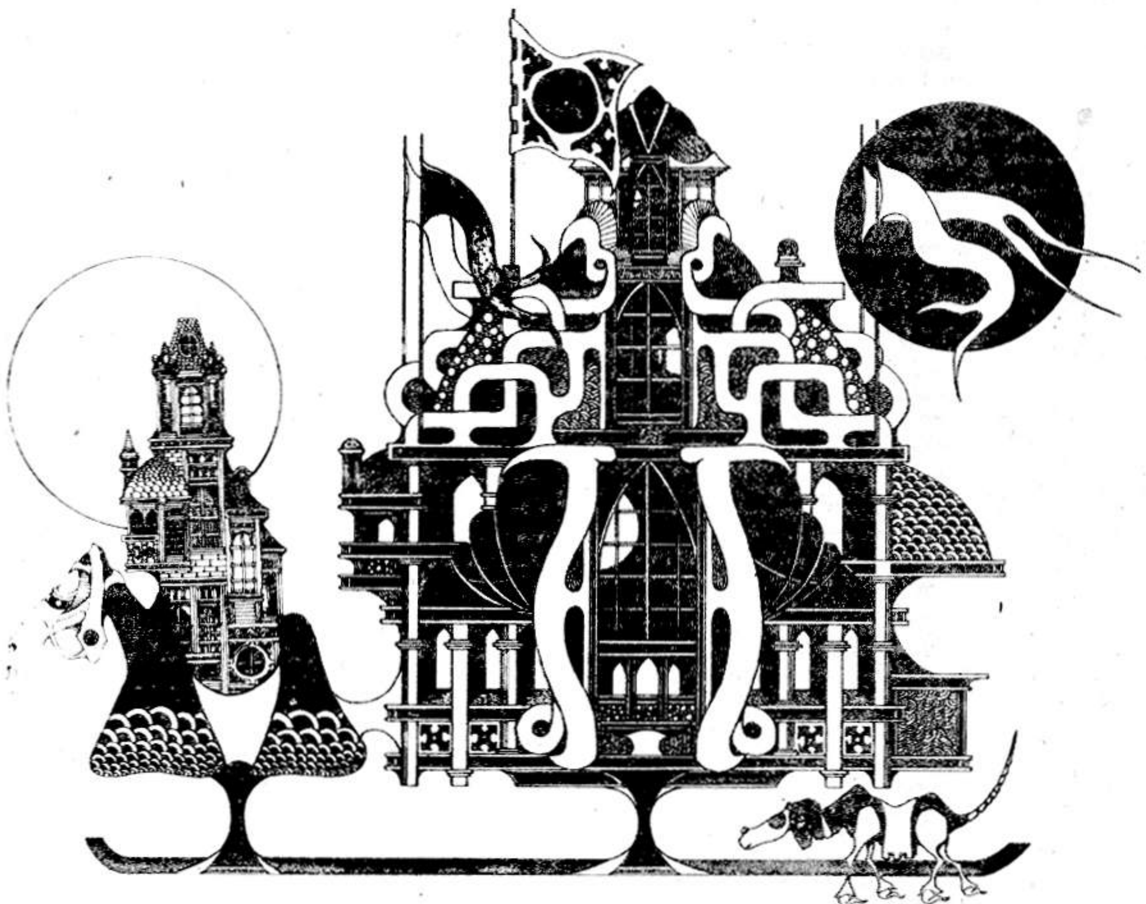
Mówiono o nim, że nauczył się od powolnego ptaka mądrości. Nawiązał kontakt z ptakiem podczas całonocnego czuwania tam na tafli.

Jego nauka o nicości i ciszy szerzyła się, trafiając na żyzny grunt wszędzie tam, gdzie jeszcze był żyzny grunt, a nie szkło, czyli jeszcze w większej części kraju. Pewien może paradoks krył się w tym, że z taką elokwencją mówił o milczeniu. Ale w ten sposób zmuszał jakby ciszę szklanych jezior do śpiewu i ludzie słuchali tego jako czegoś nowego.

Jason wędrował po całej wyspie. To był drugi paradoks, bo jego nauki były pochwałą bierności, błogiego oczekiwania na śmierć, która nie była czymś tylko osobistym, była również śmiercią słońca, gwiazd i wszelkiego istnienia, była kosmiczną śmiercią przetwarzającą jednostkową śmiertelność. Czasami nawet przemawiał do tłumu siedząc na grzbiecie ptaka, który się pokazał w pobliżu – jakby kusił los albo zachęcał, nawet błagał ptaka, żeby go zabrał ze sobą. Nigdy jednak nie

Jean Claude Smit le Bénédicte





siedział dłużej jak godzinę, potem schodził na dół, drżący ale i spokojnie rozpromieniony. Z tego powodu znany był nie tylko jako „Milczący Prorok", lecz także jako „Człowiek, który jeździ na powolnych ptakach".

W sumie można powiedzieć, że czynił wiele dobrego dla psychicznego zdrowia tych wspólnot, które przetrwały, i jego słowa zawędrowały nawet za ocean. Jego matka umierając była z niego dumna – tak myślał – choć w jej stosunku do niego przy całej czułości był zawsze pewien dystans...

Wiele lat później, kiedy Jason Babbidge zbliżał się do sześćdziesiątki, i nadal żaden ptak nie zabrał go ze sobą, osiadł na stałe w Atherton w swoim dawnym domu, do którego przybywali pielgrzymi milczenia, zapewniając dobrobyt całej wiosce, a zwłaszcza piwiarni „Pod Kłosem", prowadzonej obecnie przez córkę dawnego właściciela.

W każde majowe święto odbywał się festiwal, ale teraz już zawsze na tafli Atherton. Jednak nie były to już wyścigi, bo przecież w biegu życia nie można wygrać. Teraz było to święto, balet na łyżwach, odtworzenie wydarzeń sprzed wielu lat – misterium pasyjne odgrywane przez cztery wioski. Tuckerton ze wszystkimi swoimi mieszkańcami zostało przed dziesięciu laty zamienione w szkło przez ptaka, który eksplodował w takim miejscu, że krąg zniszczenia zetknął się dokładnie ze skrajem starej tafli w miejscu, gdzie stało Tuckerton.

Pewnego ranka, na dzień przed festiwalem, rozległo się pukanie do drzwi Jasona. Jego gospodyni, Martha Prestidge, wyszła po zakupy i Jason otworzył sam.

W drzwiach stał chłopiec. Rudowłosy i piegowaty.

Przez chwilę Jason go nie poznawał. Potem jednak zrozumiał, że to Daniel. Daniel nie zmieniony. Może trochę, może o rok starszy.

– Dan...?

Chłopiec oglądał Jasona z niedowierzaniem: łysawa głowa, obwisły brzuch, patykowate nogi i wielka laska z rączką w kształcie głowy ptaka, na której spoczywała dłoń z wątrobianymi plamami.

– Jason – powiedział chłopiec po chwili – ja wróciłem.

– Wróciłeś? Ale...

– Teraz już wiem, czym są ptaki! To jest broń. Rakiety. Dziesiątki i setki tysięcy. Toczy się wojna, ale jest to jednocześnie jakby gra: planszowa gra rozgrywana przez maszyny. Maszyny, które myślą. W ich czasie gra toczy się zaledwie od kilku dni. Rakiety dążąc do swoich celów wędrują przez czas. Ale ze względu na prawa skutku i przyczyny nie mogą przemieszczać się w czasie w tamtym świecie. Dlatego robią to w naszym świecie, w świecie równoległym.

– To bzdury. Nie chcę tego słuchać.

– Musisz, Jason! Można to u nas zatrzymać, zanim będzie za późno. Wiem jak. Obie strony mogą oddziaływać wzajemnie na swoje rakiety i unieszkodliwiać je w swoim świecie – czyli eksplodować w naszym – jeżeli potrafią je odpowiednio szybko wykryć. Ale tam wojna całkowicie wymknęła się spod kontroli ludzi. Zwycięstwo ważne jest tylko dla maszyn, które są ukryte głęboko pod powierzchnią. Budują wielkie ilości ptaków z materiału skorupy ziemskiej i automatycznie wysyłają je w inny czas.

– Dan, przestań.

– Spadłem tam z ptaka, ale do jeziora, więc się nie zabiłem, tylko potłukłem. Zostały tam jeszcze kawałki lądu koło baz. Ludzie stamtąd postawili mnie na nogi. Zostało im najwyżej kilka godzin w ich czasie, ale dla nas to dziesięciolecia. Przyniosłem im wielką nadzieję, bo dowiedzieli się, że nie wszelkie życie zginie, tylko ich. Życie może przetrwać. Musimy tylko zbudować maszynę, która uniemożliwi ich maszynom wykrywanie powolnych ptaków u nas. Trzeba wywołać zakłócenia w powietrzu. Takie fale. Jak fale światła, tylko niewidzialne.

– Bredzisz.

– Wtedy ptaki będą się nadal pojawiać, ale będą nieszkodliwe. A za sto albo za kilkaset lat przestaną się pojawiać, bo jedna ze stron tam osiągnie zwycięstwo. Jedna z maszyn wojennych uzna, że przegrała, i podda się. Oczywiście powinna móc poddać się już teraz, ale w mózgu maszyn zaprogramowano element irracjonalizmu, który nie pozwala im poddać się zbyt wcześnie. Zanim któraś to zrobi, na lądach nie będzie już żywej duszy. Niektórzy tam myślą, że maszyny zaczną w ostatniej fazie wojny pokrywać szkłem oceany. Ale my możemy zbudować zakłócacz fal. Zakodowano tę wiedzę w moim mózgu. Wydobycie właściwych metali, sporządzenie narzędzi i budowa potężnego źródła energii zajmie nam kilka lat... – Danielowi zabrakło tchu. – Mieli prototyp powolnego ptaka. Wsadzili mnie na niego i wysłali z powrotem w nasz czas. Wycelowali dobrze. Pojawił się zaledwie kilkanaście kilometrów stąd. Więc przyszedłem do domu.

– Prototyp? Fale w powietrzu? Źródło energii? Co to wszystko ma znaczyć?

– Mogę ci wytłumaczyć.

– To tylko słowa. Bezmyślna gadanina. Ach, kiedy wreszcie ucichnie ta paplanina świata.

– Daj mi trochę czasu i ja...

– Czasu? Ty chcesz czasu? Zwariowanego cykania ludzkich umysłów zamiast wielkiej, czystej pustki, wiecznej ciszy? Odrzucasz posłuszeństwo? Chcesz, żebyśmy bez przerwy wiercili się bezcelowo, ogłuszając sami siebie hałaśliwą gadaniną?

– Posłuchaj... Na pewno miałeś długie i ciężkie życie, Jason. Może nie powinienem zaczynać od ciebie.

– Ależ właśnie że powinieneś, mój ty w gorącej wodzie kąpany braciszku. A poza tym nie uważam, żeby moje życie poszło na marne.

Daniel postukał się w czoło.

– To wszystko jest tutaj, ale trzeba to zapisać. A potem zrobić kopie i rozesłać wszędzie – na wypadek, gdyby Atherton zostało zniszczone. Wtedy ktoś inny będzie wiedział, jak zbudować nadajnik. Życie będzie trwało dalej. Oni tam uważają, że ludzie są jedyną rozumną rasą w całym wszechświecie. Dlatego mamy obowiązek żyć dalej. Tamci zniszczyli się sami, kłócąc się o to jak żyć. Ale my mamy jeszcze dość czasu. Możemy zbudować statki, które polecą do gwiazd. Na ten temat trochę wiem. Powiadam ci, moja wizyta sprawiła im naprawdę radość w tych ich ostatnich godzinach, bo zrozumieli, że wszystko jest jeszcze możliwe.

– Och, Daniel, Daniel – jęknął Jason. Podobny patriarsze wzniósł swoją laskę i z całej siły uderzył nią Daniela w głowę.

Wmawiał sobie, że nie widział krwi w rudych włosach Daniela. Ale widział.

Ciało chłopca osunęło się na próg. Z wysiłkiem Jason wciągnął je do środka, a potem z jeszcze większym wysiłkiem po dębowych schodach na strych, gdzie jego gospodyni prawie nigdy nie zaglądała. Ciało musiało po jakimś czasie zacząć cuchnąć, ale można je było w coś zawinąć.

Powrót Marthy z zakupów przerwał Jasonowi.

Zostawiając ciało na podłodze wyszedł, zamknął drzwi na klucz i klucz włożył do kieszeni.

Stało się zwyczajem domu zapraszanie wybranych gości po majowej uroczystości, wiadomo więc było, że przez całą resztę dnia Martha będzie sprzątać, gotować i w ogóle doprowadzać dom do porządku. Jak to gospodyni, dała Jasonowi do zrozumienia, żeby się nie plątał pod nogami. Poszedł więc na taflę i tam, na jej idealnie płaskiej powierzchni stał i medytował. Mieszkańcy wioski i przybysze z okolicy na widok jego samotnej postaci z zadowoleniem kiwali głowami. Ich prorok był spokojny i nadawał ich życiu sens. Życiu i śmierci.

Przedstawienie, misterium pasyjne na łyżwach, zostało następnego dnia odegrane jak zwykle z uczuciem i wdziękiem.

Dopiero na trzeci dzień Jason zdołał się zmusić do powtórnego wejścia na strych, tym razem z workami i sznurem. Otworzył drzwi.

Ale poza ciemną plamą zakrzepłej krwi na podłodze nie było nic. Nic, tylko różne graty upchnięte pod ścianami. Żadnego trupa. I otwarte okno.

Więc jednak nie zabił Daniela. Chłopiec doszedł do siebie po ciosie. Jasonem targnęły sprzeczne uczucia, naruszając jego zwykłe opanowanie. Wyjrzał przez okno, jakby się spodziewał, że ujrzy chłopca leżącego na bruku. Ale nie było tam żadnego śladu Daniela. Przeszukał całe Atherton, jak nawiedzony, nie zadając pytań, ale zaglądając wszędzie z napięciem. Nie znalazłszy żadnego śladu wziął wóz i konia i pojechał do Edgewood. Stamtąd objechał dokoła całą taflę przez Buckby i Hopperton, teraz już wypytując, czy nie widziano rudowłosego chłopca. Mieszkańcy wiosek opowiadali sobie potem, że Jason Babbidge znowu miał widzenie.

Nie upłynął rok, a z daleka zaczęły nadciągać wieści o nowym nauczycielu, głoszącym nową naukę. Ten nowy nauczyciel był bardzo młody, ale on też jeździł na powolnym ptaku i to dużo dalej niż Milczący Prorok.

Z tym nowym nauczycielem nie wszystko jednak było w porządku, bo nie pamiętał niektórych szczegółów swojego posłannictwa, tego, co miał ludziom przekazać. Wtedy w przystępie rozpaczy bił się pięściami po głowie. Paradoksalnie takie teatralne sceny odpowiadały jakimś niespokojnym, awanturniczym rysom jego audytorium. Wierzyli mu, bo widzieli jego udrękę, która odbijała ich własne tłumione niepokoje i pragnienia.

Jason Babbidge z ogniem, nie szczędząc sił występował przeciwko nowym ideom. Całe filozoficzne piękno, jakim obdarzył ginący świat, zostało zagrożone, choć niechętnie więc, ale wezwał do „krucjaty" przeciwko nowemu nauczycielowi, w obronie swojej wizji Posłuszeństwa.

W dwa lata później być może żałował swoich słów, bo w ich rezultacie ludzie deptali pola między strefami zniszczenia uzbrojeni w bosaki, widły, siekiery i sierpy. Płonęły wsie, setki ludzi zginęły i gwałcono kobiety – jak w koszmarnej wizji Jasona poprzedzającej jego objawienia.

W trzecim roku tej nie kończącej się wojny między „pacyfistami" a „obrońcami życia" Jason umarł, kryjąc gorycz pod maską spokoju. Pochowano go przywiązując jego ciało do powolnego ptaka. Najwierniejsi żałobnicy towarzyszyli ptakowi w milczącej procesji, aż znikł wraz z ciałem po kilku godzinach. Wkrótce potem, całkiem niespodziewanie, po Bitwie na Tafli Ashton wojna się skończyła zwycięstwem obrońców życia pod wodzą ich rudowłosego przywódcy, który, jak zauważono, był uderzająco podobny do starego Jasona Babbidge'a. Zupełnie, jakby w świecie walczyły dwie przeciwstawne zasady istnienia, dwa aspekty tej samej istoty, dwa oblicza tego samego człowieka.

W pięćdziesiąt lat później, kiedy już przeszło jedną trzecią lądu pokrywało szkło i klimat zaczął się pogarszać, Uniwersytet Obrony Życia w Ashton zbudował wreszcie obiecaną maszynę i od tego czasu powolne ptaki nadal pojawiały się i znikały, ale już nie wybuchały.

A w sto lat później powolne ptaki przestały się pokazywać. Gdzieś tam wojna dobiegła kresu, logicznie i ostatecznie.

Ale do tego czasu z Ziemi, której powierzchnia w czterech piątych będzie pustynią lub bagnem, spomiędzy naszyjników szklanych paciorków wystartuje pierwszy gwiazdolot.

Będzie się nazywał „Powolny Ptak". Bo będzie leciał do gwiazd powoli. Powoli w kategoriach ludzkich, bo przez dwa pokolenia. Ale i tak stosunkowo szybko.

W ślad za nim poleci drugi statek pod nazwą „Daniel".

Po tym ogromnym, wyczerpującym wybuchu energii dalszych wypraw nie będzie. Reszta ludzkości zajmie się uprawianiem tego, co pozostało z jej ogródka między wydmami, bagnami i hektarami szkła. To, czy któryś ze statków znajdzie nową ojczyznę – równie gościnną jak stara, choćby i częściowo pokryta martwym szkłem Ziemia – pozostanie sprawą wiary.

Osiemdziesięcioletni Daniel, który nigdy nie przyznał się do swojego nazwiska, leżał na łożu śmierci w Ashton.

Jego pokój był nieprzyzwoicie zatłoczony, choć dobrze przewietrzony ciepłym podmuchem idącym od Tafli Ashton i dobrze oświetlony srebrzystą poświatą odbitą od szklistego bezmiaru.

Umierający starzec, przykryty tylko cienkim prześcieradłem, sam przypominał teraz ptaka: wychudzony, kościsty, ze spiczastym nosem, małymi oczkami i kogucim grzebieniem rudych włosów na głowie.

Uniósł słabą rękę, jakby przyzywał tych najbliżej stojących jeszcze bliżej. W rzeczywistości chciał dotknąć starej rany na głowie, która ostatnio zaczęła mu bardzo dokuczać, jakby miała się rozpęknąć albo zapaść do środka, otwierając drzwi pamięci – chociaż ukryty tam klucz nie był już potrzebny, bo ludzie z jego uniwersytetu odkryli wszystko samodzielnie, skoro tylko dowiedzieli się, że coś takiego istnieje.

Pochyliły się nad nim twarze, śmiałe, oddane twarze.

– Więc przestały wybuchać? – upewnił się.

– Tak, tak, już wiele lat temu! – uspokoili go.

– A gwiazdy...?

– Zbudujemy statki. Nauczymy się, jak to zrobić.

Koścista dłoń opadła na prześcieradło.

– Nazwijcie jeden z nich...

– Jak?

– Daniel. Dobrze?

Obiecali mu to.

– W ten sposób... mój duch... poleci w kosmiczną ciszę.

Słowa te zdziwiły nieco świadków jego zgonu, którzy nie mogli znać ostatniej myśli Daniela: że dzień startu będzie mógł być dniem pojednania między nim a bratem.

Przełożył Lech Jęczmyk

…daje zadawał stosowne pytania, zaś Kir odpowiadał, pokazując rękami odpowiednie wymiary jakiejś formy, jakieś skomplikowane współzależności. Niewykluczone, że Basile sam był wielkim specjalistą w budowie antycznych galer.

– Pan wybaczy – powiedziała Albina – ale to przecież Kir!

– Tak – odparł Tojwo. – Wrócił po swój model.

– Kir jest dobrym chłopcem – oświadczyła Albina. – Ale jego ojciec zachował się ohydnie... Dzień dobry, Kir!

Kir pochłonięty swoimi sprawami dopiero teraz zauważył ją, przystanął i powiedział nieśmiało „Dzień dobry...". Ożywienie znikło z jego twarzy. Zresztą z twarzy Basila również.

– Jak się czuje twoja mama?

– Dziękuję. Mama śpi.

– A tata? Gdzie jest twój ojciec, Kir? Gdzieś tu niedaleko?

Kir w milczeniu pokręcił głową i zasępił się.

– A ty tu byłeś przez cały czas? – z zachwytem wykrzyknęła Albina i triumfująco popatrzyła na Tojwo.

– Kir wrócił po swój model – przypomniał Tojwo.

– Wszystko jedno. Przecież nie bałeś się tu wrócić, Kir?

– Dlaczego miałbym się ich bać, babciu Albino? – gniewnie wymruczał Kir, próbując chyłkiem ją wyminąć.

– Nie wiem, nie wiem – kłótliwie powiedziała Albina. – Bo na przykład twój tata...

– Tata ani trochę się nie przestraszył. To znaczy przestraszył się o mnie i o mamę. Po prostu w tym całym zamieszaniu nie zauważył, jakie one są łagodne.

– Nie łagodne, tylko nieszczęśliwe! – poprawiła Albina.

– Jakie tam nieszczęśliwe, babciu Albino? – oburzył się Kir, zabawnie rozkładając ręce gestem kiepskiego tragika. – Były takie wesołe, chciały się bawić. Nawet się łasiły!

Babcia Albina uśmiechała się z politowaniem.

★

Nie mogę się powstrzymać, aby natychmiast nie podkreślić pewnej cechy charakterystycznej dla Tojwo jako dla pracownika. Gdyby na jego miejscu był zielony stażysta, po rozmowie z Duremarem byłby pewien, że jego rozmówca kręci i że sprawa ogólnie i konkretnie jest absolutnie jasna – Fleming stworzył embriofory nowego typu, jego potwory wyrwały się na wolność, więc można spokojnie wracać do łóżka, a rano zameldować o wszystkim przełożonym.

Pracownik doświadczony, na przykład Sandro Mtbewari, też nie spędzałby czasu na piciu kawy z Basilem – embriofory nowego typu to nie żarty – i Sandro niezwłocznie rozesłałby ze dwa i pół dziesiątka pytań do wszystkich możliwych instancji, a sam popędziłby do Dolnej Peszy, żeby chwycić za gardziel tych chuliganów i niedorajdów Fleminga, póki nie przygotowali się do odgrywania urażonych niewinności.

Tojwo Głumow nie ruszył się z miejsca. Dlaczego? Tojwo poczuł zapach siarki. Nawet nie zapach, lecz taki lekki zapaszek. Niebywały embriofor? Naturalnie, to poważna sprawa. Ale to nie zapach siarki. Histeryczna panika? Już ciepło, znacznie cieplej. Ale najważniejsza jest dziwna staruszka z willi nr 5. To jest to! Panika, histeria, ucieczka, służba awaryjna, a ona prosi, żeby nie hałasować i nie przeszkadzać jej spać. Tu już nie pasują tradycyjne wyjaśnienia. Tojwo zresztą nie próbował tego wyjaśniać. Po prostu został i czekał, kiedy staruszka wstanie, żeby jej zadać kilka pytań. Został i był wynagrodzony. „Gdyby mi nie wpadło do głowy zjeść śniadania z Basilem – opowiadał mi później – gdybym przyleciał z raportem do pana od razu po rozmowie z tym Tołstowem, pozostałoby mi już na zawsze wrażenie, że w Małej Peszy nie zdarzyło się nic zagadkowego, oprócz dzikiej paniki, spowodowanej najściem sztucznych zwierząt. Ale wtedy pojawił się ten chłopiec Kir oraz babcia Albina i wprowadzili istotny dysonans w zgrabny i prymitywny schemat..."

„Wpadło do głowy zjeść śniadanie", tak się wyraził. Najprawdopodobniej po to, żeby nie tracić czasu na próby wyrażenia słowami tych niejasnych i trwożnych przeczuć, które kazały mu czekać.

★

Arkadij i Borys Strugaccy

FALE TŁUMIĄ WIATR

(Wołny gasiat wietier)

przełożyła **Irena Lewandowska**

Nowa powieść braci Strugackich to według określenia radzieckiego krytyka Władimira Gopmana „kryminał psychologiczny". Pracownicy Komisji Kontroli (Komkon-2) czuwającej nad bezpieczeństwem Ziemi badają sprawę tajemniczych wydarzeń: znikania ludzi, pojawiania się niezrozumiałych własności psychicznych, nagłych wybuchów geniuszu u całkiem dotąd przeciętnych ludzi. Czyżby skutki działania agentów kosmicznej supercywilizacji? Maks Kammerer, znany z „Przenicowanego świata" i „Żuka w mrowisku" ma na ten temat inną teorię. Oryginalna forma powieści odpowiada dedukcyjnemu trybowi poszukiwań: od stosu pozornie nie powiązanych faktów do teorii. Poruszają się tu Strugaccy w samym centrum tematyki fantastyczno-naukowej. Teoria supercywilizacji byłaby zgodna z modelem Snerga-Wiśniewskiego z „Robota" czy „Nagiego celu". Działanie nadistot tak właśnie ujawniłoby się oczom ludzi – jako „cud", naruszenie praw naszego świata. Konkurencyjna teoria Kammerera to hipoteza człowieka-poczwarki, przekonanie, że nadistoty narodzą się z człowieka w trybie mutacji. Temat ten wprowadził do literatury chyba H.G. Wells swoim „Człowiekiem z roku milionowego" („The Man of the Year Million", 1893), w którym rozważał dalszą ewolucję człowieka. Od czasu słynnego eksperymentu Morgana z wywoływaniem mutacji u muszek owocowych przez poddanie ich promieniowaniu, temat gwałtownych mutacji, zamierzonych lub spontanicznych, pojawia się coraz częściej i jest rozwijany w literaturze przez E. Hamiltona („The Man Who Evolved", 1931), Olafa Stapledona („Odd John", 1935) i wielu innych pisarzy. W szczególności problemem stosunków między nowymi ludźmi a rasą macierzystą zajął się po raz pierwszy – a przynajmniej w sposób, który pociągnął za sobą następstwa literackie – A.E. van Vogt w swoim „Slanie" (1940). Jest to również temat przełożonych na polski „Poczwarek" Wyndhama oraz takich powieści jak „Tomorrow's Children" P. Andersona (1947), „The Eleventh Commandment" Lester del Reya (1962), „Ape and Essence" A. Huxleya (1948) i utworów Heinleina poświęconych praktycznie nieśmiertelnej rodzinie Howardów: „Methusaleh's Children" i „Time enough for Love".

Strugaccy wzięli się więc za jeden z centralnych, jeden z najszerzej wykorzystywanych motywów SF i zrobili to po swojemu, tak jak nikt przed nimi. Otrzymaliśmy „kryminał psychologiczny" lub może raczej kryminał intelektualny, w którym źródłem niepokoju jest zwątpienie w samą strukturę rzeczywistości, a przedmiotem śledztwa odtworzenie logicznej konstrukcji otaczającego nas świata. Jest to więc fantastyka naukowa w najgłębszym sensie tego słowa, pozwalająca czytelnikowi przeżyć (od niego tylko zależy jak głęboko) dreszcz emocji i lęku, jakiego doznaje prawdziwy uczony działający na granicy niewiadomego.

L.J.

WPROWADZENIE

Nazywam się Maksym Kammerer. Mam osiemdziesiąt dziewięć lat.

Kiedyś, bardzo dawno temu, przeczytałem starodawną opowieść, która tak właśnie się zaczynała. Pamiętam, że pomyślałem wtedy – jeśli w przyszłości będę pisać pamiętniki, zacznę je dokładnie tak samo. Zresztą ten zaproponowany przeze mnie tekst właściwie trudno nazwać wspomnieniami, a zacząć należałoby od jednego listu, który otrzymałem mniej więcej rok temu.

Kammerer,

Oczywiście przeczytał pan osławione „Pięć biografii stulecia". Proszę, aby pomógł mi pan ustalić, kto konkretnie ukrywa się pod pseudonimami – P. Soroka i E. Braun. Sądzę, że przyjdzie to panu łatwiej niż mnie.

Maja Głumowa

13 czerwca 125 roku. Nowogród.

Nie odpowiedziałem na ten list, ponieważ nie udało mi się rozszyfrować, jak naprawdę nazywali się autorzy „Pięciu biografii stulecia". Wyjaśniłem tylko, że – jak tego należało oczekiwać – P. Soroka i E. Braun są znanymi współpracownikami grupy „Ludeny" Instytutu Badania Historii Kosmicznej (IBHK).

Bez trudu wyobraziłem sobie uczucia, jakich doznawała Maja Głumowa czytając zredagowaną przez P. Sorokę i E. Brauna biografię swojego syna. Zrozumiałem, że muszę zabrać głos.

Napisałem te wspomnienia.

Z punktu widzenia bezstronnego, a w szczególności obiektywnego czytelnika mowa w nich będzie o wydarzeniach, które stały się końcem całej epoki w naszej kosmicznej samoświadomości i otwarły przed ludzkością całkowicie nowe perspektywy, które poprzednio mogły być rozważane jedynie teoretycznie. Byłem świadkiem, uczestnikiem i w jakimś sensie nawet inicjatorem tych wydarzeń i z tego powodu nie ma nic zdumiewającego w tym, że grupa „Ludeny" w ciągu ostatnich lat bombarduje mnie odpowiednimi ankietami, oficjalnymi i nieoficjalnymi prośbami o współdziałanie i morałami na temat obywatelskich obowiązków. Początkowo traktowałem cele i zadania grupy ze zrozumieniem i życzliwością, ale też nigdy nie ukrywałem swojego sceptycyzmu na temat ich nadziei na sukces. Poza tym było dla mnie absolutnie jasne, że z materiałów i informacji, którymi dysponuje, grupa „Ludeny" nie będzie miała żadnego pożytku i dlatego do tej chwili uchylałem się od uczestnictwa w jej pracy.

Ale teraz, z przyczyn, które mają charakter raczej osobisty, odczuwam uporczywą potrzebę, żeby jednak zebrać razem i zaproponować każdemu, kto zechce się tym zainteresować, całość mojej wiedzy o pierwszych dniach Wielkiej Iluminacji.

Przeczytałem ostatni akapit i od razu jestem zmuszony skorygować samego siebie. Po pierwsze, proponuję oczywiście wcale nie wszystko co wiem. Niektóre materiały mają charakter zbyt specjalistyczny, żeby móc je tu referować. Niektórych nazwisk nie wymienię z przyczyn czysto etycznych. Powstrzymam się też od omawiania specyficznych metod mojej ówczesnej działalności w charakterze kierownika oddziału Nadzwyczajnych Wydarzeń (NW) Komisji Kontroli (KOMKONu-2).

Po drugie, wydarzenia 99-ego roku były, jeśli już mam być ścisły, nie pierwszymi dniami Wielkiej Iluminacji, lecz przeciwnie, jej dniami ostatnimi. Tego właśnie, jak mi się wydaje, nie rozumieją, a raczej nie chcą zrozumieć pracownicy grupy „Ludeny", bez względu na wszelkie moje próby przekonania ich. Zresztą możliwe, że nie byłem wystarczająco uparty. Już nie te lata.

Osobowość Tojwo Głumowa budzi, rzecz jasna, szczególne – powiedziałbym nawet – specjalne zainteresowanie pracowników grupy „Ludeny". Rozumiem to i dlatego wybrałem Głumowa na centralną postać moich pamiętników.

Oczywiście, nie tylko dlatego i nie głównie dlatego. Jeżeli z jakiegokolwiek powodu wspominam o tych dniach, w mojej pamięci natychmiast pojawia się Tojwo Głumow, widzę jego szczupłą, zawsze poważną, młodzieńczą twarz, wiecznie przysłonięte długimi rzęsami szare, przejrzyste oczy, słyszę jego jakby celowo spowolnione słowa i znowu odbieram całym sobą jego bezdźwięczny, bezsilny, ale nieubłagany, niczym niemy krzyk, napór: „No co z tobą? Dlaczego nic nie robisz? Rozkazuj!" I na odwrót – wystarczy, żebym z jakiegokolwiek powodu pomyślał o Tojwo, natychmiast, jakby obudzone brutalnym kopniakiem, budzą się „wspomnień wściekłe psy", cała groza tamtych dni, cała rozpacz tamtych dni, cała bezsilność tamtych dni, wszystko co wtedy czułem, sam jeden, dlatego że nie miałem komu się zwierzyć.

– Pani pozwoli, że wyniosę dla niej fotel?

– Nie pozwolę – odpowiedziała. – Nie zamierzam się tu rozsiadywać. Życzę sobie usłyszeć pańskie zdanie o tym, co się stało z ludźmi w naszym osiedlu. Pańską opinię jako specjalisty. Kim pan jest? Socjologiem? Pedagogiem? Psychologiem? A więc niech pan będzie łaskaw wyjaśnić! Proszę zrozumieć, nie chodzi o jakieś tam sankcje. Ale musimy zrozumieć, jak to się mogło stać, że ludzie jeszcze wczoraj cywilizowani, dobrze wychowani... powiedziałabym – wspaniali ludzie!... dzisiaj nagle tracą ludzkie oblicze! Czy wie pan, co różni człowieka od wszystkich innych istot?

– Eee... to, że jest rozumny? – zaproponował na chybił trafił Tojwo.

– Nie, mój drogi! Miłosierdzie! Miło-sier-dzie!

– Ależ oczywiście – powiedział Tojwo. – Ale skąd wiadomo, że wczorajsze stworzenia prosiły właśnie o miłosierdzie?

Popatrzyła na Tojwo z obrzydzeniem.

– Czy pan sam je widział? – zapytała.

– Nie.

– Więc jak pan może wypowiadać się na ten temat?

– Nie wypowiadam się – odparł Tojwo. – Właśnie chciałbym ustalić, czego one chciały...

– Mam wrażenie, że wystarczająco jasno powiedziałam panu, że te żywe istoty, te biedactwa, szukały u nas pomocy! Znajdowały się na krawędzi zagłady. Z minuty na minutę groziła im śmierć! Przecież one zginęły, czy pan o tym nie wie? Na moich oczach umierały, rozpadając się w proch, w nicość, a ja nic nie mogłam poradzić, jestem tancerką, a nie biologiem, nie lekarzem, wołałam, ale czy ktokolwiek mógł usłyszeć mój głos w tym tumulcie, w tym rozpasaniu dzikości i okrucieństwa? A potem, kiedy pomoc wreszcie nadeszła, było już za późno, ani jedno nie przeżyło. Ani jedno! A te dzikusy... Nie wiem, jak wyjaśnić ich zachowanie... Być może była to zbiorowa psychoza... zatrucie... zawsze byłam przeciwna jedzeniu grzybów... Zapewne kiedy się już ocknęli, tak im się zrobiło wstyd, że wszyscy uciekli gdzie oczy poniosą! Znalazł ich pan?

– Tak – powiedział Tojwo.

– Rozmawiał pan z nimi?

– Tak. Z niektórymi. Nie ze wszystkimi.

– Więc proszę mi powiedzieć, co się z nimi stało? Jakie są pańskie wnioski, chociażby wstępne?

– Widzi pani...

– Może mnie pan nazywać Albiną.

– Dziękuję. Chodzi o to, że... Chodzi o to, że o ile możemy przypuszczać, większość pani sąsiadów odebrała tę inwaz... to wydarzenie trochę inaczej niż pani.

– Ja myślę! – wyniośle powiedziała Albina. – Widziałam to na własne oczy!

– Nie, nie. Chcę powiedzieć, że oni się przestraszyli. Śmiertelnie przestraszyli. Oszaleli z przerażenia. Nawet teraz boją się tu wrócić. Niektórzy chcą uciec z Ziemi po tym, co tu przeżyli. I o ile rozumiem, pani jest jedynym człowiekiem, który usłyszał błagania o pomoc.

Albina słuchała majestatycznie, ale uważnie.

– No cóż – powiedziała – widocznie tak im wstyd, że muszą tłumaczyć się strachem... Niech pan im nie wierzy, mój drogi, niech pan nie wierzy! To najprymitywniejsza, paskudna ksenofobia! Coś jak uprzedzenia rasowe. Pamiętam, że w dzieciństwie panicznie bałam się żmij i pająków... Tu było dokładnie to samo.

– To bardzo możliwe. Ale niektóre rzeczy chciałbym jednak uściślić. Te stworzenia błagały o pomoc. Domagały się miłosierdzia. Ale w czym to się wyrażało? Przecież o ile wiem, nie mówiły, nawet nie jęczały...

– Mój drogi! One były chore i umierały! Co z tego, że umierały w milczeniu? Delfinek wyrzucony na ląd też się nie odzywa... w każdym razie my go nie słyszymy... ale przecież rozumiemy, że potrzebna mu jest pomoc i spieszymy z tą pomocą... Albo idzie sobie chłopczyk, nie słyszymy stąd, co mówi, ale widać, że jest wesoły, zadowolony i szczęśliwy...

Od willi nr 6 zbliżał się do nas Kir i rzeczywiście najwyraźniej był wesoły, zadowolony i szczęśliwy. Basile, który maszerował obok, z szacunkiem niósł czarny model wielkiej, antycznej galery i jak się

się go bać? Słoń jest duży i wieloryb... delfiny też bywają spore... A te zwierzęta wcale nie były większe od delfinów i tak samo łagodne...

Tojwo spojrzał na Basila. Basilowi szczęka opadła, słuchał dziwnego chłopca, trzymając w powietrzu nadgryzioną kanapkę.

– I jak ślicznie pachną! – gorąco ciągnął dalej Kir. – Pachną jagodami. Myślę, że właśnie jagodami się żywią... Trzeba by je oswoić, a uciekać od nich, dlaczego? – westchnął. – Teraz już na pewno sobie poszły. Szukaj ich w tajdze jak wiatru w polu... Wszyscy tak na nie krzyczeli, tupali, machali rękami! Oczywiście musiały się wystraszyć! Trudno je będzie teraz przywabić...

Opuścił głowę i popadł w gorzką zadumę. Tojwo powiedział:

– Jasne. Ale rodzice nie zgadzają się z tobą? Prawda?

Kir machnął ręką.

– A jakże... Ojciec jeszcze jako tako, ale mama kategorycznie – nigdy, za nic jej noga tu nie postanie! teraz odlatujemy na Kurort. A ich tam przecież nie ma... A może są? Nie wie pan, jak one się nazywają?

– Nie wiem, Kir – powiedział Tojwo.

– Ale tu już nie ma ani jednego?

– Ani jednego.

– Tak sobie pomyślałem – powiedział Kir. Westchnął i zapytał: – Czy mogę zabrać swoją galerę?

Basile wreszcie wrócił do siebie. Podniósł się hałaśliwie i powiedział:

– Chodźmy, odprowadzę cię. Dobrze? – zapytał Tojwo.

– Oczywiście – odpowiedział Tojwo.

– Po co mnie odprowadzać? – z oburzeniem zapytał Kir, ale Basile położył już swoją dłoń na jego ramieniu.

– Chodźmy, chodźmy – powiedział. – Przez całe życie marzyłem o tym, żeby zobaczyć prawdziwą galerę.

– Ona nie jest prawdziwa, to tylko model...

– Tym bardziej. Całe życie marzyłem, żeby zobaczyć model prawdziwej galery.

Odeszli. Tojwo wypił filiżankę kawy i również wyszedł z pawilonu.

Słońce już nieźle przypiekało, na niebie nie było ani jednej chmurki. W bujnej trawie na placu migały niebieskie koniki polne. I poprzez to metaliczne migotanie, niczym dziwaczna poranna zjawa płynęła w kierunku pawilonu majestatyczna starucha z absolutnie nieprzystępnym wyrazem wąskiej, brązowej twarzy.

Podtrzymując (diablo wykwintnie) brązową ptasią łapą dół zapiętej pod szyję śnieżnobiałej sukni, stara, jakby nie dotykając trawy, podpłynęła do Tojwo i stanęła, górując nad nim co najmniej o głowę. Tojwo pokłonił się z szacunkiem, stara kiwnęła w odpowiedzi głową, zresztą zupełnie życzliwie.

– Może pan nazywać mnie Alboną – oświadczyła miłościwie sympatycznym barytonem.

Tojwo przedstawił się pospiesznie. Zmarszczyła brązowe czoło pod bujną czupryną białych włosów.

– KOMKON? No cóż, niech będzie KOMKON. Niech pan będzie tak uprzejmy, Tojwo, i powie mi, jak wy w tym swoim KOMKONie objaśniacie to wszystko?

– Co pani konkretnie ma na myśli? – zapytał Tojwo.

Pytanie nieco ją zirytowało.

– Mam na myśli, mój drogi, to właśnie – powiedziała. – Jak to się mogło zdarzyć, że w naszych czasach, pod koniec naszego stulecia, u nas na Ziemi żywe istoty błagające człowieka o pomoc i miłosierdzie nie tylko nie otrzymały pomocy ani miłosierdzia, ale stały się obiektem nagonki, zastraszania, a nawet aktywnych działań fizycznych o wyjątkowo barbarzyńskim charakterze. Nie chcę wymieniać nazwisk, ale ci ludzie bili je grabiami, dziko na nie krzyczeli, a nawet próbowali rozgniatać je gliderami. Nigdy bym w to nie uwierzyła, gdybym nie widziała na własne oczy. Czy pan wie, co to takiego dzikość? Więc to była dzikość! Jest mi wstyd.

Umilkła, nie spuszczając z Tojwo przenikliwego spojrzenia gniewnych, czarnych jak węgiel, bardzo młodych oczu. Oczekiwała odpowiedzi i Tojwo wymamrotał:

Osnowę proponowanych pamiętników stanowią dokumenty. Z zasady są to standardowe raporty-meldunki moich inspektorów, a także trochę oficjalnej korespondencji, którą tu dołączam głównie po to, żeby spróbować rekonstrukcji atmosfery tamtych czasów. Zresztą, pedantyczny i kompetentny badacz bez trudu zauważy, że mnóstwo dokumentów, które mają bezpośredni związek ze sprawą, nie zostało włączonych do pamiętników, a jednocześnie bez niektórych przytoczonych dokumentów można by się z pozoru obejść. Na ten zarzut odpowiadam zawczasu – materiały selekcjonowałem zgodnie z określonymi zasadami, w których istotę zagłębiać się nie mam ochoty, a także nie widzę konieczności.

Następnie, znaczną część tekstu stanowią rozdziały – rekonstrukcje. Rozdziały te napisałem sam i w istocie rzeczy są one rekonstrukcją scen i wydarzeń, których świadkiem nie byłem. Rekonstrukcja została dokonana na podstawie opowiadań, zapisów na taśmach i późniejszych wspomnień ludzi uczestniczących w tych scenach i wydarzeniach, jak na przykład Asi, żony Tojwo Głumowa, jego kolegów, jego znajomych itd. Zdaję sobie sprawę, że wartość tych rozdziałów dla pracowników grupy „Ludeny" jest nieznaczna, ale cóż robić, za to jest bardzo znaczna dla mnie.

I wreszcie, zawierający informację tekst z pamiętników pozwoliłem sobie trochę rozwodnić własnymi reminiscencjami, które zawierają informację może nie tyle o ówczesnych wydarzeniach, ile o ówczesnym pięćdziesięcioośmioletnim Maksymie Kammererze. Zachowanie tego człowieka w opisanych przeze mnie okolicznościach sam teraz obserwuję nie bez zainteresowania...

Podejmując ostateczną decyzję napisania tych pamiętników, stanąłem przed następującym problemem – od czego mam zacząć? Co i kiedy stało się początkiem Wielkiej Iluminacji?

Mówiąc ściśle, wszystko to zaczęło się dwa wieki temu, kiedy w skałach Marsa nagle odkryto puste podziemne miasto z jantarinu – wówczas po raz pierwszy padło słowo „Wędrowcy".

To jest słuszne. Ale zbyt ogólnikowe. Z takim samym powodzeniem można stwierdzić, że Wielka Iluminacja zaczęła się w momencie Wielkiego Wybuchu.

Wobec tego może pięćdziesiąt lat temu? Sprawa „podrzutków"? Kiedy po raz pierwszy problem Wędrowców przybrał odcień tragizmu, kiedy narodził się i powędrował z ust do ust jadowity termin-wyrzut „syndrom Sikorskiego"? Kompleks niekontrolowanego strachu przed możliwą inwazją Wędrowców? To jest bardzo możliwe. I znacznie bliższe prawdy... Ale wtedy nie byłem jeszcze naczelnikiem wydziału NW, zresztą sam wydział NW jeszcze w ogóle nie istniał. Zresztą nie piszę przecież historii problemu Wędrowców.

A dla mnie zaczęło się to wszystko w maju 93 roku, kiedy ja, jak i wszyscy naczelnicy wydziałów NW, wszystkich sektorów KOMKONu-2, otrzymałem informat o zdarzeniu na Tissie. (Nie rzece Tisie, która spokojnie płynie przez Węgry i Zakarpacie, lecz na planecie Tissie, planecie gwiazdy EN 63061, niedługo przedtem odkrytej przez chłopców z grupy Swobodnego Zwiadu). Informat traktował wydarzenie jako przypadek nagłego i nie wyjaśnionego obłędu wszystkich trzech członków ekspedycji badawczej, która wylądowała na płaskowyżu (zapomniałem, jak się nazywa) dwa tygodnie przedtem. Całej trójce wydało się nagle, że łączność z centralną bazą została przerwana, zresztą w ogóle łączność z czymkolwiek oprócz pozostawionego na orbicie planety statku macierzystego, zaś automat statku macierzystego nadaje bez przerwy w kółko powtarzającą się wiadomość, że Ziemia zginęła w wyniku jakiegoś kataklizmu kosmicznego, zaś cała ludność Peryferii wymarła na skutek niepojętych epidemii.

Nie pamiętam już wszystkich szczegółów. Dwóch z tej ekspedycji zdaje się próbowało popełnić samobójstwo, a w końcu poszli na pustynię – zrozpaczeni beznadziejnością i absolutnym bezsensem dalszego istnienia. Ale dowódca ekspedycji okazał się człowiekiem twardym. Zacisnął zęby i zmusił się do życia tak jakby to nie cała ludzkość zginęła, tylko jakby jego samego spotkała katastrofa, jakby po prostu został na zawsze odcięty od ojczystej planety. Opowiadał następnie, że na czternasty dzień tego szaleństwa pojawiła się mu jakaś istota w bieli i oświadczyła, że on, dowódca, z honorem przeszedł przez pierwszą próbę i zostaje przyjęty do stowarzyszenia Wędrowców. Piętnastego dnia ze statku macierzystego przybyła szalupa awaryjna i atmosfera została rozładowana. Ci dwaj, którzy odeszli na pustynię, zostali szczęśliwie odnalezieni, zdrowi na umyśle, nikt nie ucierpiał. Ich świadectwa były zgodne w najdrobniejszych szczegółach. Na przykład wszyscy kosmonauci absolutnie identycznie odtwarzali akcent automatu, który jakoby nadawał tragiczny komunikat. A subiektywnie odbierali to, co się stało jak realistyczne, niesłychanie sugestywne przedstawienie teatralne, w którym mimo swojej woli wystąpili w charakterze

aktorów. Głęboka mentoskopia potwierdziła ich subiektywne wrażenia i nawet potwierdziła, że w najgłębszej warstwie podświadomości żaden z nich nie miał wątpliwości, że po prostu uczestniczy w spektaklu.

O ile się orientuję, moi koledzy z pozostałych sektorów potraktowali ten informat jak zwyczajne, nieinteresujące NW, nie wyjaśnione Nadzwyczajne Wydarzenie, jakich mnóstwo trafia się na Peryferiach. Wszyscy są cali i zdrowi. Dalsze wyjaśnienie okoliczności NW nie wydaje się konieczne, zresztą od samego początku nie było konieczne. Chętnych do wyjaśnienia zagadki jakoś nie było. Rejon NW ewakuowano. NW przyjęto do wiadomości. Ad acta.

Ale ja przecież byłem uczniem świętej pamięci Sikorskiego! Kiedy jeszcze żył, często spierałem się z nim w myśli i w rzeczywistości na temat niebezpieczeństw grożących ludzkości z zewnątrz. Ale z pewną jego tezą trudno mi było dyskutować, zresztą wcale tego nie chciałem. „Jesteśmy pracownikami KOMKONu-2. Wolno nam zyskać opinię obskurantów, mistyków, zabobonnych kretynów. Jednego nam tylko nie wolno - nie doceniać niebezpieczeństwa. I jeśli w naszym domu zapachniało nagle siarką - po prostu musimy założyć, że gdzieś niedaleko pojawił się rogaty diabeł i przedsięwziąć odpowiednie środki, aż do zorganizowania produkcji wody święconej w skali przemysłowej włącznie". I jak tylko usłyszałem, że jakaś istota w bieli wieszczy w imieniu Wędrowców, poczułem zapach siarki i ożywiłem się jak stary, bojowy koń na dźwięk trąby.

Odpowiednimi kanałami rozesłałem odpowiednie pytania. Stwierdziłem bez szczególnego zdziwienia, że w słowniku instrukcji, rozporządzeń i planów perspektywicznych naszego KOMKONu-2 nieobecne jest słowo „Wędrowiec". Odbyłem audiencje w naszych najwyższych instancjach i już zupełnie bez żadnego zdziwienia upewniłem się, że w opinii naszych najważniejszych decydentów problem progresorskiej działalności Wędrowców wobec ludzkości właściwie nie istnieje, został zdjęty z porządku dziennego jako dawno przebyta choroba wieku dziecięcego. Tragedia Lwa Abałkina i Rudolfa Sikorskiego jakimś niepojętym sposobem jakby na zawsze uwolniła Wędrowców od podejrzeń.

Jedynym człowiekiem, u którego mój niepokój wywołał coś w rodzaju współczucia, okazał się Atos-Sidorow, prezydent mojego sektoru i mój bezpośredni zwierzchnik. Osobiście wyraził zgodę i potwierdził podpisem zaproponowany przeze mnie temat - „Wizyta starszej pani". Zezwolił także, abym zorganizował specjalną grupę dla opracowania tego tematu. Mówiąc wprost, dał mi carte blanche w całej sprawie.

Zacząłem od tego, że zebrałem opinie ekspertów, najkompetentniejszych specjalistów w dziedzinie ksenopsychologii. Moim celem było zbudowanie modelu (najbardziej prawdopodobnego) działalności progresorskiej Wędrowców wobec ziemskiej ludzkości. Pominę szczegóły - wszystkie zebrane materiały posłałem znanemu historykowi nauki i erudycie Izaakowi Brombergowi. Teraz nawet nie pamiętam już, dlaczego to zrobiłem, przecież w tym czasie Bromberg od dawna nie zajmował się już ksenologią. Chodziło prawdopodobnie o to, że większość specjalistów, do których się zwracałem ze swoimi pytaniami, po prostu nie traktowała mnie poważnie (syndrom Sikorskiego!), a Bromberg, jak wszyscy doskonale wiedzieli, „zawsze miał w zapasie parę słów" i to na dowolny temat.

Tak czy inaczej Izaak Bromberg przysłał mi swoją odpowiedź, znaną obecnie wśród specjalistów jako „Memorandum Bromberga".

Od tego memorandum wszystko się zaczęło.

Ja również od niego zacznę.

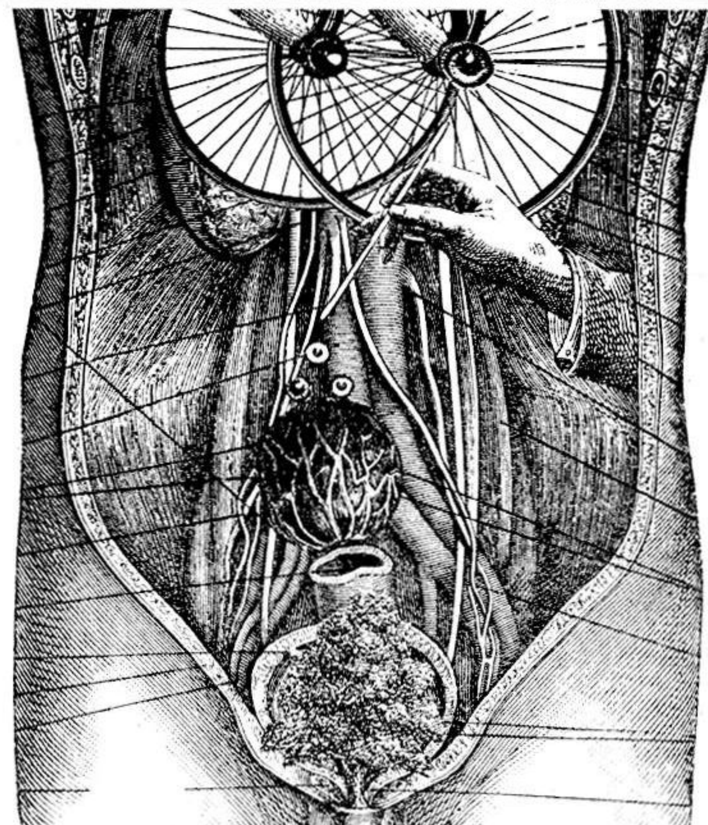
(koniec Wprowadzenia)

DOKUMENT 1

KOMKON-2
sektor Ural-Północ
Maksym Kammerer
do rąk własnych, służbowe.

Data: 3 czerwca 94 roku

Autor: Izaak Bromberg, starszy konsultant KOMKONu-1, doktor nauk historycznych, laureat Nagrody Herodota (63, 69 i 72 rok), profesor, laureat Małej Nagrody Jana Amosa Komenskiego (57 rok), doktor ksenopsychologii, doktor socjopatologii, członek rzeczywisty Akademii Socjologii (Europa), członek ko-



Eugeniusz Józefowski

- Dlatego, że przylazły te zwierzęta. Wyszły z lasu... albo z rzeki. Wszyscy się przestraszyli nie wiadomo dlaczego, zaczęli biegać... Ja spałem, mama mnie obudziła.

- A ty się nie przestraszyłeś?

Wzruszył ramionami.

- No, ja też się przestraszyłem na początku... ze snu... Wszyscy wrzeszczą, wszyscy krzyczą, wszyscy biegają, nic nie można zrozumieć...

- A potem?

- Przecież mówię - wsiedliśmy w glider i odlecieliśmy.

- Widziałeś te zwierzęta?

Chłopiec nagle się roześmiał.

- Oczywiście, że widziałem... jedno wlazło prosto przez okno, takie rogate, tylko że rogi nie były twarde, ale jak u ślimaka... bardzo zabawne...

- To znaczy, że ty sam się nie przestraszyłeś?

- Nie, przecież mówię - oczywiście, że się przestraszyłem, co będę kłamał. Mama wbiegła taka blada, bałem się, że jakieś nieszczęście... myślałem, z tatą coś się stało...

- Jasne, jasne. Ale czy przestraszyłeś się tych zwierząt?

Kir odpowiedział z irytacją:

- A dlaczego miałem się ich bać? Przecież one są dobre, śmieszne... takie miękkie, jedwabiste, jak mangusty, tylko sierści nie mają. A że takie duże, no to co? Tygrys też jest duży, no i może dlatego mam

Zresztą Tojwo interesowała raczej reakcja przyjaciela Ernsta, Lwa Tołstowa, pracownika Fleminga, specjalisty w dziedzinie konstruowania i uruchamiania sztucznych organizmów. A reakcja specjalisty była następująca: najpierw kompletne niezrozumienie, spontaniczne mruganie oczami i niepewny uśmiech człowieka podejrzewającego, że ktoś robi z niego balona i to w dość głupi sposób, następnie - frasobliwie zmarszczone brwi, spojrzenie puste, jakby zwrócone do wewnątrz, zatroskane ruchy dolnej szczęki. I pod koniec wybuch zawodowego oburzenia. Czy panowie rozumiecie o czym mówicie? Czy macie chociaż najmniejsze pojęcie o temacie? Czy w ogóle kiedykolwiek widzieliście sztuczny organizm? Ach, tylko na kronice? A więc dowiedzcie się, że nie ma i nie może być sztucznych stworzeń, które byłyby zdolne włazić przez okna do czyjejkolwiek sypialni. Przede wszystkim są powolne i niezgrabne, a jeśli już w ogóle się poruszają, to nie idą do ludzi, tylko od ludzi, uciekają, ponieważ naturalne biopole jest dla nich przeciwwskazane, nawet biopole domowego kota... Dalej, cóż to znaczy „mniej więcej wielkości krowy"? Czy próbowaliście chociaż w przybliżeniu obliczyć, jaka energia potrzebna jest embrioforowi, żeby rozrosnąć się do takiej masy, powiedzmy, nawet w ciągu godziny? Przecież tutaj kamień na kamieniu by się nie ostał, nie mówiąc już o krowach, wyglądałoby to po prostu jak wybuch.

Czy dopuszcza możliwość uruchomienia tu embrioforów nieznanego mu rodzaju?

W żadnym wypadku. Takie embriofory po prostu nie istnieją.

Więc co tu się stało, jego zdaniem?

Lew Tołstow nie rozumiał, co tu się stało. Musi się rozejrzeć, żeby dojść do jakichś wniosków.

Tojwo zostawił go, żeby się rozejrzał, a sam z Basilem poszedł do klubu z zamiarem przegryzienia czegoś.

Zjedli po kanapce z zimnym mięsem i Tojwo zaczął parzyć kawę. I wtedy:

- W-w-w-w! - wykrztusił Basile z nabitymi ustami.

Połknął z wysiłkiem i patrząc obok Tojwo, ryknął świeżym głosem:

- Stop maszyna! Dokąd się wybierasz, synku?

Tojwo odwrócił się. To był chłopak mniej więcej dwunastoletni, w szortach i kurtce, o odstających uszach, opalonej twarzy. Donośny okrzyk Basila zatrzymał go tuż przy wyjściu z pawilonu.

- Do domu - odpowiedział z wyzwaniem.

- Chodź no tu do mnie, proszę! - powiedział Basile.

Chłopiec podszedł i przystanął z rękami na plecach.

- Mieszkasz tu? - chytrze zapytał Basile.

- Mieszkaliśmy - odparł chłopiec - pod szóstką. Teraz już nie będziemy tu mieszkać.

- Kto - my? - zapytał Tojwo.

- Ja, mama i ojciec. To znaczy byliśmy tu na letnisku, a mieszkamy w Pietrozawodsku.

- A gdzie mama i tata?

- Śpią. W domu.

- Śpią - powtórzył Tojwo. - Jak się nazywasz?

- Kir.

- A twoi rodzice wiedzą, że tu jesteś?

Kir przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie skrępowany, i powiedział:

- Wróciłem tu tylko na chwilkę. Muszę zabrać galerę, cały miesiąc się męczyłem.

- Galerę... - powtórzył Tojwo, wpatrując się w Kira.

Twarz chłopca nie wyrażała nic poza cierpliwą nudą. Widać było, że obchodzi go tylko jedno - chce jak najszybciej zabrać swoją galerę i wrócić do domu, zanim rodzice się obudzą.

- Kiedy stąd wyjechaliście?

- Dzisiejszej nocy. Wszyscy stąd wyjeżdżali i my też. A o galerze zapomnieliśmy.

- Dlaczego wyjechaliście?

- Była panika. Pan nie wie? Co się tu działo! Mama się przestraszyła, a ojciec powiedział: „Wiecie co, wynosimy się stąd, wracamy do domu". Wsiedliśmy w glider i odlecieliśmy... To ja już pójdę, dobrze? A może nie wolno?

- Poczekaj chwilę. Dlaczego była ta panika, jak myślisz?

respondent Laboratorium (Akademii Umiejętności) Wielkiej Tagory, magister realizacji abstrakcji Percevala.

Temat: „Wizyta starszej pani".

Treść: roboczy model progresorskiej działalności Wędrowców wobec ziemskiej ludzkości.

Kammerer,

bardzo proszę, aby nie uważał pan tego urzędowego „pisma przewodniego", w które zaopatrzyłem swój elaborat, za starczy sarkazm. W ten sposób chciałem po prostu podkreślić, że elaborat, chociaż jest ściśle osobisty, nosi zarazem absolutnie oficjalny charakter. Formę „załącznika" do waszych raportów-meldunków zapamiętałem jeszcze z tych czasów, kiedy rzucał mi je na stół w charakterze argumentów (dosyć żałosnych) nasz nieszczęsny Sikorski.

Moja opinia o waszej organizacji nie zmieniła się ani trochę, zresztą nigdy jej nie ukrywałem i niewątpliwie jest ona panu dobrze znana. Jednakże materiały, które był pan uprzejmy mi udostępnić, przestudiowałem z ogromnym zaciekawieniem. Jestem za nie niezmiernie wdzięczny. Chciałbym pana zapewnić, że w tej konkretnej dziedzinie pańskiej pracy ma pan w mojej osobie najgorętszego sojusznika i pomocnika.

Nie wiem, czy to przypadek, ale pański „Zestaw modeli" otrzymałem właśnie w momencie, kiedy sam zamierzałem przystąpić do zreasumowania moich wieloletnich przemyśleń o naturze Wędrowców i o ich nieuniknionym zderzeniu z cywilizacją Ziemi. Zresztą, według mojego najgłębszego przekonania, przypadki nie istnieją. Najwidoczniej problem dojrzał.

Nie mam ani czasu, ani ochoty zajmować się drobiazgową krytyką waszego dokumentu. Nie mogę jednak nie odnotować, że modele „Ośmiornica" i „Konkwistador" wywołały u mnie atak niepowstrzymanego śmiechu z powodu ich anegdotycznego prymitywizmu, a model „Nowe powietrze", chociaż momentami sprawia wrażenie niezupełnie banalnej konstrukcji, pozbawiony jest jakichkolwiek poważnych argumentów. Osiem modeli! Osiemnastu autorów, wśród których błyszczą takie gwiazdy jak Karibanow, Jasuda, Mikicz! Do diabła, można było się spodziewać czegoś oryginalniejszego! Jak pan tam sobie chce, Kammerer, ale nieodparcie powstaje przypuszczenie, że nie potrafił pan przekonać tych arcymistrzów, aby poważnie potraktowali pański „niepokój z powodu naszej wspólnej niewiedzy na temat problemu". Pańscy respondenci po prostu napisali, co im ślina na język przyniosła.

A teraz ja składam na piedestale pańskiej uwagi krótki w istocie rzeczy przyczynek do mojej przyszłej książki, którą zamierzam nazwać „Monokosm, szczyt, czy może pierwszy krok? Uwagi o ewolucji ewolucji". I znowu - nie mam ani czasu, ani ochoty na uzasadnianie swoich podstawowych tez szczegółowymi argumentami. Mogę tylko zapewnić pana, że każda z tych hipotez może być już dzisiaj uzasadniona w najbardziej wyczerpujący sposób, więc jeśli będzie pan miał do mnie jakieś pytania, chętnie na nie odpowiem. (Przy okazji - nie mogę się powstrzymać od uwagi, że pańska prośba o moją konsultację była być może pierwszym i jedynym jak na razie społecznie użytecznym aktem działalności pańskiej organizacji od początku jej istnienia).

A więc - MONOKOSM.

Wszelki Rozum, czy to technologiczny, czy rousseauistyczny, czy nawet heroniczny - w procesie ewolucji pierwszej generacji przechodzi drogę od stanu maksymalnego rozproszenia (dzikość, wzajemna agresja, ubóstwo emocji, nieufność) do stanu maksymalnego zjednoczenia przy zachowaniu własnej indywidualności (życzliwość, znaczna kultura współżycia, altruizm, lekceważenie tego, co osiągnięte). Procesem tym kierują prawa biologiczne, biospołeczne i specyficznie społeczne. Sam proces jest już dobrze poznany i jest dla nas interesujący tylko o tyle, o ile stawia nas przed pytaniem - a co dalej? Zostawiając na boku romantyczne trele teorii pionowego postępu, możemy stwierdzić, że dla Rozumu istnieją tylko dwie realne, wykluczające się wzajemnie możliwości. Albo zastopowanie, samouspokojenie, zamknięcie w sobie, utrata zainteresowania światem fizycznym. albo wejście na drogę ewolucji drugiego rzędu, na drogę ewolucji planowanej i kierowanej, na drogę do Monokosmu.

Synteza Rozumów jest nieunikniona. I ofiarowuje nam nieprzeliczone mnóstwo nowych płaszczyzn percepcji świata, a to doprowadzi do niezmiernego zwiększenia ilości, a co najważniejsze jakości dostępnej i możliwej do przerobienia informacji, co z kolei doprowadza do zmniejszenia ilości cierpienia do minimum i zwiększenia sumy radości do maksimum. Pojęcie „dom" rozszerza się do granic

Wszechświata. (Zapewne z tego powodu pojawiło się to nieodpowiedzialne i powierzchowne pojęcie – Wędrowcy). Powstaje nowy metabolizm i jako jego skutek życie i zdrowie praktycznie stają się wieczne. Wiek jednostki staje się porównywalny z wiekiem obiektów kosmicznych – przy pełnym braku akumulacji zmęczenia psychicznego. Jednostka Monokosmu nie potrzebuje już twórców. Sama dla siebie jest twórcą i konsumentem kultury. Z kropli wody zdolna jest nie tylko odtworzyć kształt oceanu, ale i cały świat zamieszkujących go istot, w tym również rozumnych. I potrafi to wszystko, trapiona nieprzerwanym, nienasyconym sensorycznym głodem.

Każda nowa jednostka rodzi się jako produkt synkretycznej sztuki – tworzą ją i fizjologowie, i genetycy, i inżynierowie, i psychologowie, i estetycy, i pedagodzy, i filozofowie Monokosmu. Proces ten trwa niewątpliwie kilkadziesiąt ziemskich lat i oczywiście jest najbardziej pasjonującym i najzaszczytniejszym rodzajem pracy Wędrowców. Współczesna ludzkość nie zna analogii do tego gatunku sztuki, jeśli nie liczyć tak rzadkich w historii przypadków Wielkiej Miłości.

STWARZAJ NIE BURZĄC! – oto hasło Monokosmu.

Monokosm nie może uważać swojej drogi rozwoju, swego modus vivendi, za jedynie słuszny. Ból i rozpacz wywołują u niego obrazy rozprzężenia Rozumów, które nie dojrzały jeszcze do zespolenia z nim. Monokosm musi czekać aż Rozum w ramach ewolucji pierwszego rzędu rozwinie się do stadium ogólnoplanetarnego socjum. Ponieważ dopiero wówczas można zaczynać ingerencję w biostruktury w celu przygotowania nosiciela Rozumu do przejścia w monokosmiczny organizm Wędrowców. Gdyż z ingerencji Wędrowców w losy zdezintegrowanych cywilizacji nie może wyniknąć nic dobrego.

Sytuacja dwuznaczna – Progresorzy Ziemi starają się w ostatecznym rachunku przyspieszyć historyczny proces powstania na zacofanych planetach doskonalszych społecznych struktur. W ten sposób jakby przygotowują nowe rezerwy materiału dla przyszłych prac Monokosmu.

Obecnie znamy trzy zadowolone z istniejącego stanu rzeczy cywilizacje.

Leonidanie. Cywilizacja nadzwyczaj stara (liczy nie mniej niż trzysta tysięcy lat, cokolwiek by mówił nieboszczyk Pak Chin). To przykład „powolnej" cywilizacji, która zastygła w jedności z naturą.

Tagorianie. Cywilizacja nacechowana hipertrofią przezorności. Trzy czwarte wszystkich mocy skierowali na studiowanie szkodliwych skutków, jakie mogą wyniknąć z danego odkrycia, wynalazku, nowego procesu technologicznego i tak dalej. Ta cywilizacja wydaje się nam dziwna tylko dlatego, że nie jesteśmy w stanie zrozumieć, jak pasjonujące jest zapobieganie szkodliwym skutkom, jakiego ogromu intelektualnej i emocjonalnej satysfakcji to dostarcza. W rezultacie mają wyłącznie publiczny transport, lotnictwo nie istnieje, za to wspaniale rozwinęła się łączność przewodowa.

Trzecia cywilizacja – to nasza cywilizacja i teraz rozumiemy bez trudu, dlaczego Wędrowcy muszą się wmieszać przede wszystkim właśnie w nasze życie. My JESTEŚMY W RUCHU. A ponieważ jesteśmy w ruchu, możemy się pomylić w wyborze kierunku.

Teraz już nikt nie pamięta „ciągników", którzy z fantastycznym entuzjazmem próbowali forsować postęp na Tagorze i Leonidzie. Teraz wszyscy rozumieją, że ciągnięcie w górę tak doskonałych w swoim rodzaju cywilizacji to zajęcie równie bezmyślne i pozbawione jakichkolwiek perspektyw, jak próby przyspieszenia wzrostu drzewa, powiedzmy dębu, za pomocą szarpania go za gałęzie. Wędrowcy to nie „ciągniki", nie stawiają i nie mogą stawiać przed sobą takiego zadania, jak forsowanie postępu. Ich celem jest poszukiwanie, wyselekcjonowanie, przygotowanie do integracji i wreszcie integracja z Monokosmem dojrzałych do tego jednostek. Nie wiem i bardzo tego żałuję, według jakiej zasady Wędrowcy dokonują wyboru, ponieważ, chcemy tego czy nie chcemy, jeżeli mówić wprost, bez owijania w bawełnę, bez pseudonaukowej terminologii, to sprawa ma się jak następuje:

Po pierwsze – wejście ludzkości na drogę ewolucji drugiego stopnia praktycznie oznacza przekształcenie homo sapiens w Wędrowca.

Po drugie – najprawdopodobniej nie każdy homo sapiens nadaje się do takiego przekształcenia.

Reasumując:

– ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne części;

– ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne części według nieznanych nam parametrów;

– ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne części według nieznanych nam parametrów, przy czym mniejsza część forsownie i na zawsze prześcignie większą;

MAŁA PESZA. 6 MAJA 99 ROKU. 6 GODZINA RANO.

5 maja około 11 wieczór w letniskowym osiedlu Mała Pesza (trzynaście domków, osiemnastu mieszkańców) powstała panika. Przyczyną paniki było pojawienie się w osiedlu pewnej (nieznanej) liczby quasibiologicznych istot o nadzwyczaj odpychającym, a nawet przerażającym wyglądzie. Istoty te ruszyły na osiedle z willi nr 7 w dziewięciu wyraźnie określonych kierunkach, które można określić na podstawie pomiętej trawy, połamanych krzaków, a także plam wyschniętego śluzu na liściach, płytach okładzin, zewnętrznych ścianach domów i na parapetach. Wszystkie dziewięć tras kończy się wewnątrz pomieszczeń mieszkalnych, to znaczy w willach nr 1, 4, 10 (na werandach), 2, 3, 9, 12 (w salonach), 6, 11 i 13 (w sypialniach). Wille nr 4 i 9, jak można przypuszczać, są nie zamieszkane...

Jeżeli chodzi o willę nr 7, z której zaczęło się najście, to wyraźnie ktoś tam mieszkał i jedno tylko pozostawało do wyjaśnienia – kim był ten człowiek. Głupim żartownisiem czy nieodpowiedzialnym fajtłapą? Czy naumyślnie wypuścił embriofory, czy nie zauważył, kiedy same wylazły? Jeśli przegapił, to czy przez zbrodnicze niedbalstwo, czy z braku elementarnych kwalifikacji?

Jednak dwie rzeczy jakby tu nie pasowały. Tojwo nie znalazł żadnych śladów po otoczkach embriofor. To po pierwsze. A po drugie początkowo w żaden sposób nie udawało mu się ustalić danych personalnych mieszkańca domku nr 7. Albo mieszkańców.

Na szczęście nasza zamieszkała Ziemia w zasadzie urządzona jest dosyć sprawiedliwie. Na placu nagle rozległy się gromkie głosy i po chwili wyjaśniło się, że poszukiwany mieszkaniec zjawił się w centrum wydarzeń we własnej osobie i na dodatek nie sam, tylko z gościem.

Był to krępy, jakby odlany z żelaza mężczyzna w polowym kombinezonie i z brezentowym workiem, z którego dolatywały dziwne szeleszczące i skrzypiące dźwięki. Gość zaś żywo przypominał Tojwo starego, dobrego Duremara świeżo wydobytego ze stawu ciotki Tortilli – wysoki, długowłosy, długonosy, chudy, w nieokreślonej chlamidzie oblepionej wysychającym mułem. Natychmiast okazało się, że żelazny lokator nazywa się Ernst Jurgen, że pracuje jako operator-ortomistrz na Tytanie, na Ziemi jest na urlopie... co roku dwa miesiące urlopu spędza na Ziemi, miesiąc w zimie, miesiąc w lecie, i w lecie zawsze tutaj w Peszy, w tym właśnie domku... Jakie znowu potwory? Kogo pan właściwie ma na myśli, młody człowieku? Jakie potwory mogą być w Małej Peszy, niech się pan zastanowi, nie macie w służbie awaryjnej nic lepszego do roboty, czy co?

Za to Duremar, przeciwnie, okazał się istotą całkowicie ziemską, prawie tubylcem. Nazywał się Tołstow Lew Nikołajewicz. Ale co innego było w nim interesujące. Okazało się, że mieszka na stałe i pracuje zaledwie czterdzieści kilometrów stąd, w Dolnej Peszy, gdzie, jak się okazuje, już od kilku lat działa filia firmy znanego nam dobrze Fleminga!

Dodatkowo jeszcze się okazało, że Ernst Jurgen i jego dawny przyjaciel Lowa są wybrednymi smakoszami. Corocznie spotykają się tu, w Małej Peszy, ponieważ mniej więcej pięć kilometrów dalej z biegiem rzeki, wpada do Peszy maleńki strumyk, w którym żyją jakieś kraboraki. Właśnie dlatego on, Ernst Jurgen, spędza swój urlop w Małej Peszy, właśnie dlatego razem ze swoim przyjacielem Lową Tołstowem wczoraj wczesnym wieczorem wybrali się łodzią na połów kraboraków i właśnie dlatego Ernst Jurgen razem ze swoim przyjacielem Lową byliby bardzo wdzięczni służbie awaryjnej, gdyby w obecnej chwili dała im spokój, gdyż kraboraki (Ernst Jurgen potrząsnął ciężkim workiem, z którego dochodziły dziwaczne dźwięki) bywają tylko jednej świeżości, dokładnie mówiąc, wyłącznie pierwszej...

Ten zabawny, hałaśliwy mężczyzna w żaden sposób nie mógł wyobrazić sobie, że na Ziemi, nie tam u nich na Tytanie, nie na Pandorze, nie gdzieś tam na Jajle, a na Ziemi! w Małej Peszy! mogło wydarzyć się coś, co wywołało strach i panikę. Bardzo interesujący typ zawodowego zdobywcy kosmosu! Przecież widzi, że osiedle jest puste, widzi przed sobą funkcjonariusza służby awaryjnej, przedstawiciela KOMKONu-2, widzi, nie neguje ich autorytetu, ale to, co się stało, próbuje wyjaśniać na wszelkie sposoby, byle tylko nie przyznać się, że na jego ciepłej, ojczystej Ziemi może się okazać coś nie w porządku...

Następnie, kiedy wreszcie udało się go przekonać, że stało się to, co się stało, obraził się – urażony jak dziecko, wydął wargi i poszedł sobie, wlokąc po ziemi worek z drogocennymi kraborakami, usiadł bokiem na swoim ganku, tyłem do wszystkich, nie życząc sobie nikogo widzieć, nie życząc sobie nikogo słyszeć, wzruszając od czasu do czasu ramionami i porykując „Ładnie odpocząłem... Raz do roku człowiek przyjeżdża i proszę... Żeby coś podobnego...!"

– Coś niecoś. Potwory rzeczywiście tu były, ale tak naprawdę nie są niebezpieczne. Mogą bardzo przestraszyć i nic więcej.
– Chce pan powiedzieć, że one były sztuczne?
– Na to wygląda.
– Ale w jakim celu? Kto?
– Będziemy to wyjaśniać – powiedział Tojwo.
– Wy będziecie wyjaśniać, a one tymczasem jeszcze kogoś... nastraszą.
Anatolij Siergiejewicz wziął swój płaszcz z balustrady, chwilę stał wpatrzony w swoje futrzane buty. Wydawało się, że za moment usiądzie i zacznie je gwałtownie zdzierać z nóg. Ale zapewne nawet ich nie widział.
– Mówi pan, mogą tylko przestraszyć – wycedził, nie podnosząc oczu. – Gdyby tylko – przestraszyć! One, wie pan, mogą złamać człowieka!
Szybko spojrzał na Tojwo, odwrócił oczy i nie odwracając się więcej, zaczął schodzić po stopniach, potem dalej po zmiętej trawie, przez zdewastowany żywopłot, na ukos przez plac, przygarbiony, bezsensowny w długich futrzanych butach polarnika i wesolutkiej jaskrawej koszulce, poszedł wciąż przyspieszając kroku w kierunku żółtego pawilonu klubu, ale w połowie drogi gwałtownie skręcił w lewo, wskoczył w glider, który stał przed sąsiednią willą i świecą wzbił się w bladogranatowe niebo.
Była godzina szósta rano.

*

To moje pierwsze doświadczenie rekonstrukcji. Bardzo się starałem. Moją pracę komplikował fakt, że nigdy nie byłem w Małej Peszy, jednakże miałem do swojej dyspozycji dostatecznie dużo kaset wideo nagranych przez Tojwo Głumowa, ludzi ze służby awaryjnej i ekipę Fleminga. Tak że w każdym razie za dokładność topografii ręczę. Również uważam za możliwe ręczyć za autentyczność dialogów. Poza wszystkim chciałbym również pokazać, jak wyglądało wtedy typowe dochodzenie. Wypadek. Służba awaryjna. Wyjazd inspektora wydziału NW. Pierwsze wrażenia (najczęściej słuszne) – czyjaś nieostrożność albo głupi żart. I narastające rozczarowanie, znowu nie to, znowu pudło, najlepiej byłoby machnąć na wszystko ręką, wrócić do domu, wyspać się. Zresztą tego w mojej rekonstrukcji nie ma. Jest gdzieś między wierszami.
Teraz kilka słów o Flemingu.
To nazwisko kilkakrotnie pojawi się w moich pamiętnikach, ale spieszę uprzedzić, że człowiek ten nie miał żadnego związku z Wielką Iluminacją. W tamtych czasach nazwisko Aleksandra Jonatana Fleminga było bardzo dobrze znane w KOMKONie-2. Był najwybitniejszym specjalistą w dziedzinie konstruowania sztucznych organizmów. W swoim instytucie w Sydney, a także w licznych filiach tego instytutu z nieopisaną pracowitością i zuchwałością wysmażał nieprzebrane mnóstwo najdziwaczniejszych istot, na których stworzenie MATCE Naturze nie starczyło fantazji i umiejętności. Jego współpracownicy w swoim zapale nieustannie łamali obowiązujące prawa i ograniczenia Rady Światowej w dziedzinie pogranicznych eksperymentów. Przy całym naszym mimowolnym, czysto ludzkim podziwie dla geniuszu Fleminga, jednocześnie nie cierpieliśmy go za jego bezpardonową bezczelność, zupełny brak sumienia i absolutnie nie pasującą do tego przebiegłość. Dzisiaj każdy uczeń wie, co to biokompleksy Fleminga albo, powiedzmy, żywe studnie Fleminga. Ale w tamtych czasach jego popularność miała charakter raczej skandalizujący.
Dla mojego przekazu jest ważne, że jedna z filii instytutu Fleminga znajdowała się właśnie przy ujściu rzeki Peszy, w naukowym osiedlu w Dolnej Peszy, zaledwie czterdzieści kilometrów od Małej Peszy. I kiedy mój Tojwo dowiedział się o tym, o ile go dobrze zrozumiałem, nie mógł nie nadstawić uszu i nie powiedzieć sobie w myśli: „Aha, już wiem, czyja to robota!"
I jeszcze jedno. Kraboraki, o którym będzie mowa poniżej, to jeden z najpożyteczniejszych tworów Fleminga, który po raz pierwszy pojawił się na świecie, kiedy Aleksander Jonatan był jeszcze młodym pracownikiem rybnej farmy nad jeziorem Onega. Te kraboraki okazały się stworzeniami niezwykłymi jeśli chodzi o ich właściwości smakowe, ale na całej Północy nie wiadomo dlaczego zaaklimatyzowały się tylko w maleńkich strumykach, dopływach Peszy.

*

– ludzkość zostanie podzielona na dwie nierówne części według nieznanych nam parametrów, jej mniejsza część forsownie i na zawsze prześcignie większą, a dokona tego wola oraz sztuka supercywilizacji zdecydowanie nam obcej.
Drogi Kammerer! Na początek w charakterze socjopsychologicznego ćwiczenia proponuję panu analizę tej nie pozbawionej nowych aspektów sytuacji.
Teraz, kiedy zasady progresorskiej działalności Monokosmu stały się dla pana mniej więcej jasne, z całą pewnością lepiej niż ja potrafi pan opracować główne kierunki kontrstrategii i taktyki, pozwalającej ujawnić sposoby działania Wędrowców. Jasne jest, że poszukiwaniom, wyselekcjonowaniu i przygotowaniom do zintegrowania dojrzałych do tego jednostek nie mogą nie towarzyszyć zjawiska i wydarzenia łatwe do uchwycenia przez uważnych obserwatorów. Można na przykład oczekiwać powstawania masowych idiosynkrazji, nowych prądów religijnych, głównie mesjanistycznych, pojawienia się ludzi o niezwykłych zdolnościach, nie wyjaśnionych zniknięć, nagłych, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wybuchów nowych, niezwykłych talentów u niektórych ludzi itd. Jeżeli chodzi o moje rekomendacje, to nalegałbym, aby nie spuszczał pan oka z Tagorian i Głowanów akredytowanych na Ziemi – ich wrażliwość na wszystko co obce i nieznane jest znacznie wyższa od naszej. (W związku z tym należy także obserwować zachowanie ziemskich zwierząt, szczególnie stadnych, a także posiadających zaczątki intelektu).
Rozumie się, w strefie pańskiej uwagi powinna znaleźć się nie tylko Ziemia, ale i Peryferie, a w pierwszej kolejności najmłodsze Peryferie.

Życzę powodzenia, pański ***Izaak Bromberg***

(koniec Dokumentu 1)

DOKUMENT 2

Do Prezydenta sektora „Ural-Północ"

Data: 13 czerwca 94 roku
Autor: Maksym Kammerer, naczelnik wydziału NW
Temat: 009 „Wizyta starszej pani"
Treść: śmierć Izaaka Bromberga

Prezesie,
Profesor Izaak Bromberg zmarł nagle w sanatorium „Starołęka" rano 11 czerwca br.
W jego prywatnym archiwum nie znaleziono żadnych notatek na temat modelu „Monokosm" i w ogóle żadnych notatek na temat Wędrowców. Nadal prowadzimy poszukiwania.
Załączam podpisane przez lekarza świadectwo zgonu.

Maksym Kammerer

(koniec Dokumentu 2)

Dokładnie w tej kolejności przeczytał te dokumenty młody stażysta Tojwo Głumow na samym początku 95-ego roku i oczywiście nie mogły nie wywrzeć one na nim określonego wrażenia, nie mogły nie spowodować zupełnie konkretnych skojarzeń, tym bardziej że umacniały jego najgorsze przewidywania. Nasiona padły na żyzną glebę. Tojwo niezwłocznie odszukał świadectwo zgonu i nie znalazłszy w nim dokładnie niczego, co mogłoby potwierdzić jego podejrzenia, jak się wydawało tak oczywiste, zażądał spotkania ze mną.
Dobrze pamiętam ten ranek – szary, śnieżny, z prawdziwą zamiecią za oknami gabinetu. Być może właśnie na skutek kontrastu, dlatego że ciałem byłem tu, na Uralu, w zimie, i moje oczy bezmyślnie śledziły strumyczki topniejącego śniegu spływające po szybach, oczyma zaś duszy widziałem tropikalną noc nad ciepłym oceanem i obnażone martwe ciało, które kołysze się w fosforyzującej pianie, liżącej łagodny, piaszczysty brzeg. Przed chwilą otrzymałem właśnie z Ośrodka informację o trzecim śmiertelnym wypadku na wyspie Matuku.
W tym właśnie momencie stanął przede mną Tojwo Głumow, więc odpędziłem widziadło i poprosiłem chłopca, żeby usiadł i mówił.

Bez żadnego wstępu zapytał mnie, czy śledztwo w sprawie śmierci doktora Bromberga zostało zamknięte.

Z niejakim zdziwieniem odpowiedziałem, że właściwie nie było żadnego śledztwa, podobnie jak nie było żadnych szczególnych okoliczności w fakcie śmierci półtorawiekowego starca.

W takim razie gdzie są notatki doktora Bromberga na temat „Monokosmu"?

Wyjaśniłem, że takie notatki najprawdopodobniej w ogóle nigdy nie istniały. List doktora Bromberga, jak można przypuszczać, jest najpewniej improwizacją. Doktor Bromberg był wspaniałym improwizatorem.

Czy wobec tego należy rozumieć, że list doktora Bromberga i świadectwo zgonu, które Maksym Kammerer wysłał do Prezydenta, znalazły się obok siebie czystym przypadkiem?

Patrzyłem na niego, na jego wąskie wargi, bardzo kategorycznie zaciśnięte, na jego wypukłe czoło wysunięte do przodu z kosmykiem białych włosów i było dla mnie absolutnie oczywiste, co chciałby ode mnie teraz usłyszeć. „Tak, Tojwo, mój chłopcze - chciał usłyszeć - myślę dokładnie to samo, co ty. Bromberg domyślał się wielu rzeczy, więc Wędrowcy usunęli go z drogi, a bezcenne notatki ukradli". Ale nic podobnego naturalnie nie myślałem i nic podobnego naturalnie Tojwo nie powiedziałem. Dlaczego dokumenty znalazły się obok siebie, sam nie wiedziałem. Prawdopodobnie rzeczywiście przypadkowo. Tak też mu to wyjaśniłem.

Wtedy zapytał mnie, czy teoria Bromberga została praktycznie opracowana.

Odpowiedziałem, że ten problem jest właśnie dyskutowany. Wszystkie osiem modeli, które zaproponowali eksperci, miało mnóstwo słabych stron. Jeżeli zaś chodzi o hipotezy Bromberga, to okoliczności nie bardzo sprzyjały, aby traktować je poważnie.

Wtedy Tojwo zebrał się na odwagę i zapytał mnie wprost, czy ja, Maksym Kammerer, naczelnik wydziału, zamierzam zająć się opracowaniem hipotez Bromberga. I w tym właśnie momencie miałem wreszcie możliwość usatysfakcjonować Tojwo. Usłyszał ode mnie dokładnie to, co chciał usłyszeć.

– Tak, mój chłopcze - powiedziałem mu. - Właśnie po to wziąłem cię do mojego wydziału.

Wyszedł uszczęśliwiony. Ani on, ani ja nie podejrzewaliśmy wówczas, że w tej właśnie chwili zrobił swój pierwszy krok do Wielkiej Iluminacji.

Jestem psychologiem-praktykiem. Kiedy mam do czynienia z jakimkolwiek człowiekiem, bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że w każdym momencie dokładnie orientuję się w stanie jego ducha, widzę kierunek jego myśli i całkiem nieźle mogę przewidzieć jego zachowanie. Jednakże gdyby poproszono mnie, żebym wyjaśnił w jaki sposób to robię, albo co gorsza kazano mi narysować, sformułować słownie, jaki obraz powstaje w mojej świadomości, znalazłbym się w niezmiernie kłopotliwej sytuacji. Jak każdy psycholog-praktyk musiałbym uciec się do analogii z dziedziny sztuki albo literatury. Powołałbym się na bohaterów Szekspira albo Dostojewskiego, albo Strogowa, albo Michała Anioła, albo Johannesa Surda.

Tak więc Tojwo Głumow przypominał mi Meksykanina Riviere. Mam na mysli znane opowiadanie Jacka Londona. Dwudziesty wiek. A może nawet dziewiętnasty, nie pamiętam dokładnie.

Z zawodu Tojwo Głumow był Progresorem. Słyszałem od specjalistów, że mógłby się stać Progresorem najwyższej klasy, Progresorem asem. Miał wszelkie dane po temu. Wspaniale panował nad sobą, umiał zachować zimną krew, miał też niezwykły refleks, a był także urodzonym aktorem i mistrzem impersonacji. I przepracował jako Progresor nieco ponad trzy lata, a potem bez jakichkolwiek widocznych przyczyn podał się do dymisji i wrócił na Ziemię. Jak tylko zakończył okres aklimatyzacji, zadał odpowiednie pytania WMI i bez szczególnego wysiłku dowiedział się, że jedyną organizacją na naszej planecie, która może mieć związek z jego nowymi zamierzeniami jest KOMKON-2.

Pojawił się przede mną w grudniu 94-ego roku przepełniony lodowatą gotowością odpowiadania na wciąż od nowa i od nowa zadawane pytania, dlaczego on, Tojwo, tak obiecujący, idealnie zdrowy, wszechstronnie zachęcany, rzuca nagle swoją pracę, swoich nauczycieli, swoich kolegów, dezorganizuje szczegółowo opracowane plany, burzy pokładane w nim nadzieje... O nic podobnego, rzecz jasna, nie zamierzałem go pytać. W ogóle nie interesowało mnie, dlaczego nie ma ochoty nadal być Progresorem. Interesowało mnie, dlaczego zapragnął zostać Kontrprogresorem, jeśli można tak to określić.

Zapamiętałem jego odpowiedź. Że odczuwa niechęć do samej idei Progresorstwa. Jeśli wolno, nie

wo uznał za stosowne dać mu chwilę wytchnienia. Zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt kroków od żywopłotu, jakoby po to, żeby raz jeszcze rozejrzeć się po okolicy i zaczął zadawać pytania. A czy był ktoś w tym domku po prawej? Ach, tam było ciemno? A po lewej? Kobieta... Tak, tak, pamiętam, już pan mówił. Tylko jedna kobieta i nikt więcej? A czy nie było tu w pobliżu glidera?

Tojwo zadawał pytania, Anatolij Siergiejewicz odpowiadał, a Tojwo kiwał głową z bardzo poważną miną, z całej siły starając się pokazać, jak istotne dla dochodzenia jest to wszystko, co właśnie słyszy. I stopniowo Anatolij Siergiejewicz zebrał się w sobie, rozluźnił wewnętrznie, tak że na werandę weszli prawie jak koledzy.

Na werandzie panował nieporządek. Stół stał ukosem, jedno krzesło było przewrócone, cukiernica potoczyła się w kąt, znacząc swoją drogę pasmem cukru. Tojwo dotknął czajniczka na herbatę - był jeszcze gorący. Kątem oka spojrzał na Anatolija Siergiejewicza, który znowu pobladł i zacisnął szczęki. Patrzył na parę sandałów, sieroco przytulonych do siebie pod daleko stojącym krzesłem. Widocznie były to jego sandały. Były zapięte i wydawało się niepojęte, jak udało się wyrwać z nich stopy. Zresztą żadnych zacieków ani na nich, ani pod nimi, ani w ogóle gdziekolwiek obok, Tojwo nie zauważył.

– Zdaje się, że tu nikt nie uznaje domowych cyberów - powiedział Tojwo rzeczowym tonem, żeby sprowadzić Anatolija Siergiejewicza ze świata przeżytego koszmaru w świat codziennego bytu.

– Tak... - wymamrotał Anatolij Siergiejewicz. - To znaczy... Zresztą kto ich dzisiaj uznaje?... Widzi pan - moje sandały...

– Widzę - powiedział Tojwo obojętnie. - Czy wszystkie okienne ramy były podniesione tak jak teraz?

– Nie pamiętam. Ta była podniesiona, tędy wyskoczyłem.

– Rozumiem - powiedział Tojwo i spojrzał na ogródek.

Tak, tu były ślady. Śladów było dużo - zgniecione i połamane krzaki, zdewastowany klomb, trawa pod balustradą werandy wyglądała tak, jakby się po niej tarzało stado koni. Jeżeli były tu jakieś zwierzęta, to zwierzęta wyjątkowo niezgrabne, zwaliste, nie skradały się do domu, tylko sunęły jak czołgi. Z placu, przez krzaki, po przekątnej i przez otwarte okno prosto do pokojów...

Tojwo wszedł na werandę i pchnął drzwi do domu. Tam żadnego nieporządku nie było. A mówiąc ściślej, żadnego takiego nieporządku, który mogłyby zrobić ciężkie, niezgrabne cielska.

Kanapa. Trzy fotele. Nie widać stolika. Należy przypuszczać, że jest tu tylko jeden wbudowany pulpit, w poręczy fotela pana domu. Serwis - systemu „polikryształ" - w pozostałych fotelach i w kanapie. Na przeciwległej ścianie pejzaż Lewitana, staroświecka chromofotograficzna kopia ze wzruszającym trójkątem w lewym dolnym rogu, żeby nie daj Boże, jakiś znawca nie pomyślał, że to oryginał. A na ścianie po lewej stronie - rysunek piórkiem w drewnianej, ręcznie robionej ramie, gniewna kobieca twarz. Bardzo piękna zresztą...

Przy dokładniejszych oględzinach Tojwo zauważył na podłodze ślady zelówek - widocznie ktoś ze służby awaryjnej. Przeszedł ostrożnie przez salon do sypialni. Ślady prowadziły tylko w jednym kierunku, tamten człowiek wyszedł oknem sypialni. No i podłogę w salonie pokrywała cieniutka warstwa brązowawego pyłu. I nie tylko podłogę. Siedzenia foteli. Parapety. A na ścianach tego pyłu nie było.

Tojwo wrócił na werandę. Anatolij Siergiejewicz siedział na stopniach ganku. Polarną dochę zrzucił, a o futrzanych butach najwidoczniej zapomniał i dlatego wyglądał dosyć idiotycznie. Do swoich sandałów nawet się nie dotknął, nadal stały pod krzesłem. Żadnych zacieków w ich pobliżu nie było, ale i same sandały, i podłoga obok - wszystko było przypudrowane tym samym brązowawym pyłem.

– No i co słychać? - zapytał Tojwo jeszcze od progu.

Anatolij Siergiejewicz pomimo to wzdrygnął się i gwałtownie odwrócił.

– Nic... powoli przychodzę do siebie...

– I bardzo dobrze. Niech pan bierze swój płaszcz i może pan wracać do domu. Czy może woli pan zaczekać na Jaryginów?

– Właściwie nie wiem - powiedział niezdecydowanie Anatolij Siergiejewicz.

– Jak pan sobie życzy - powiedział Tojwo. - W każdym razie żadnego niebezpieczeństwa tu nie ma i nie będzie.

– Coś pan z tego zrozumiał? - zapytał Anatolij Siergiejewicz wstając.

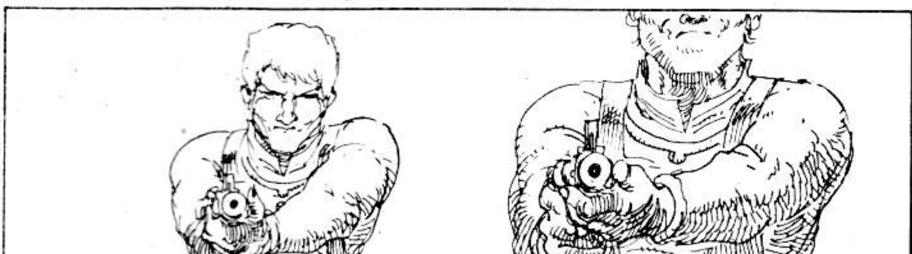



YANS, TY PRZEWIDZIAŁEŚ, ŻE ON...?
TAK, NIE ZACISNĄŁEM WĘZŁA... NIE MOŻNA NIKOMU UFAĆ... **NIKOMU**... CAŁY ŚWIAT JEST GOTOWY KŁAMAĆ, DONOSIĆ I SPRZEDAWAĆ...


BYĆ MOŻE ZGINIEMY, NAJDROŻSZY... ALE RAZEM.
TAK, RAZEM! TY I JA... I NIKT NAM NIE PRZESZKODZI WYBRAĆ NASZĄ ŚMIERĆ!

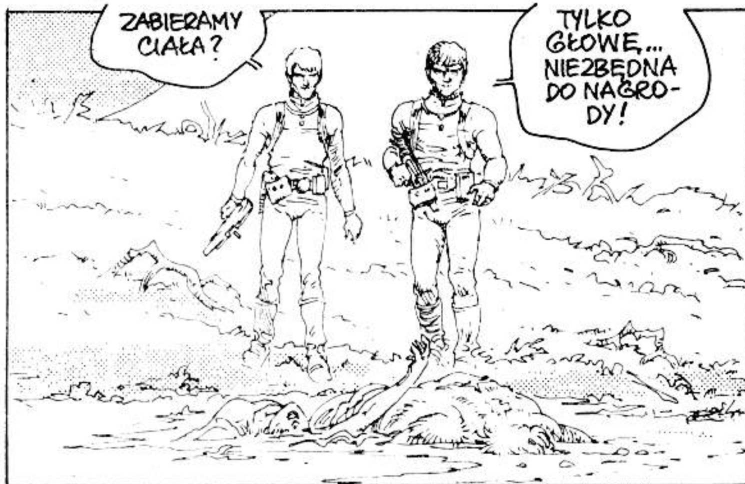

TYLKO W KTÓRĄ STRONĘ PÓJDZIEMY? NIEBEZPIECZEŃSTWO WOKOŁO, A MY NIE ZNAMY TYCH BAGIEN...
PRZED SIEBIE.





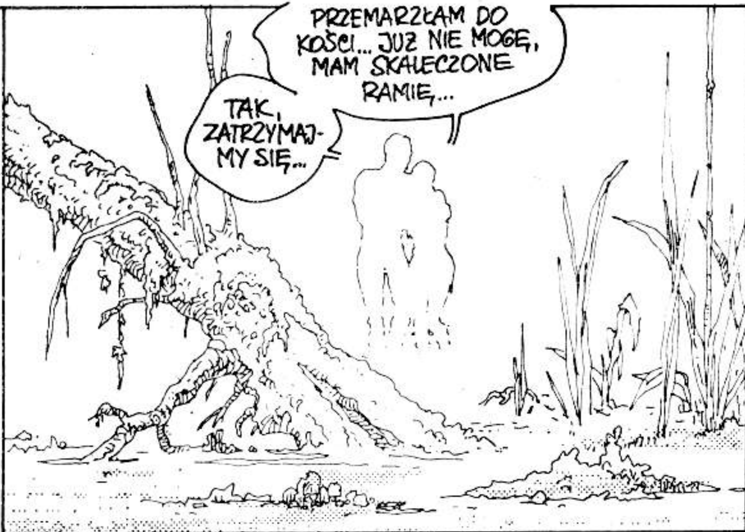

ONI NAS...
WOLĘ, TAK... PRZYTUL MNIE...



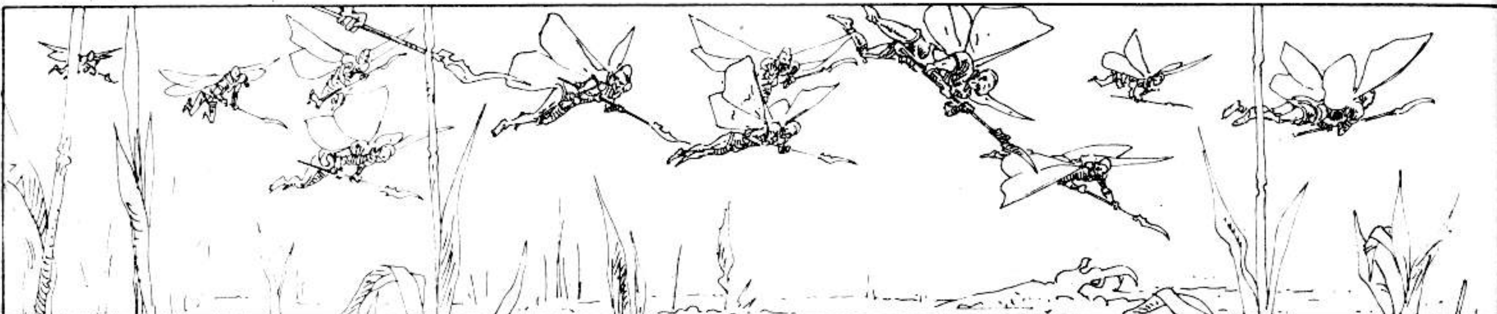

ZABIERAMY CIAŁA?
TYLKO GŁOWĘ... NIEZBĘDNA DO NAGRODY!


A YANS?
CÓŻ, BĘDZIEMY MUSIELI PAPRAĆ SIĘ W TYM BŁOCIE. NA SZCZĘŚCIE MAMY SKAFANDRY I WYKRYWACZE!


JEŚLI TRAFIMY NA ARDELIAN, MOŻE TO WYWOŁAĆ KONFLIKT MIĘDZYPLANETARNY.
EE, TAM... ONI NIGDY NIE ZAPUSZCZAJĄ SIĘ NA BAGNA...


PRZEMARZŁAM DO KOŚCI... JUŻ NIE MOGĘ, MAM SKALECZONE RAMIĘ...
TAK, ZATRZYMAJMY SIĘ...

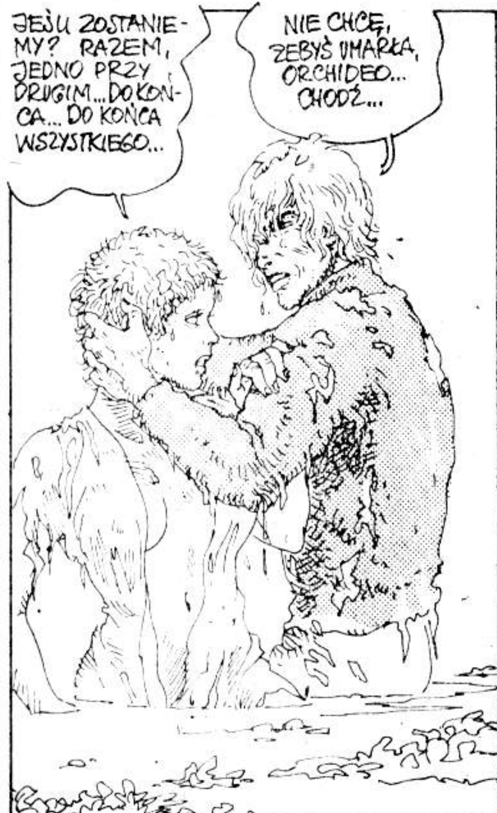

SŁYSZYSZ?
SZELEST SKRZYDEŁ!






WYTRZYMAĆ NIERUCHOMO JESZCZE KILKA CHWIL...


PO GODZINIE KTÓRA WYDAŁA SIĘ BYĆ CAŁYM WIEKIEM...
CHODŹ, MUSIMY STĄD ODEJŚĆ!
ODEJŚĆ, DOKĄD?


JEJU ZOSTANIEMY? RAZEM, JEDNO PRZY DRUGIM... DO KOŃCA... DO KOŃCA WSZYSTKIEGO...
NIE CHCĘ, ŻEBYŚ UMARŁA, ORCHIDEO... CHODŹ...


GDYBYŚMY WPADLI W RĘCE VALSARY'EGO... WIESZ, RZĄD UŻYWA WSZYSTKICH METOD, NAWET NAJOKRUTNIEJSZYCH, BY ZŁAMAĆ AGENTÓW! JESTEŚMY ICH WŁASNOŚCIĄ! WIĘC...


OCH!


ORCHIDEO!
CORAZ GŁĘBIEJ! NIE MOGĘ...


YANS, TO NA
COŚ MNIE.... AAA...
NIE! ZŁAP MOJĄ RĘKĘ!


ORCHIDEO!


NIE!





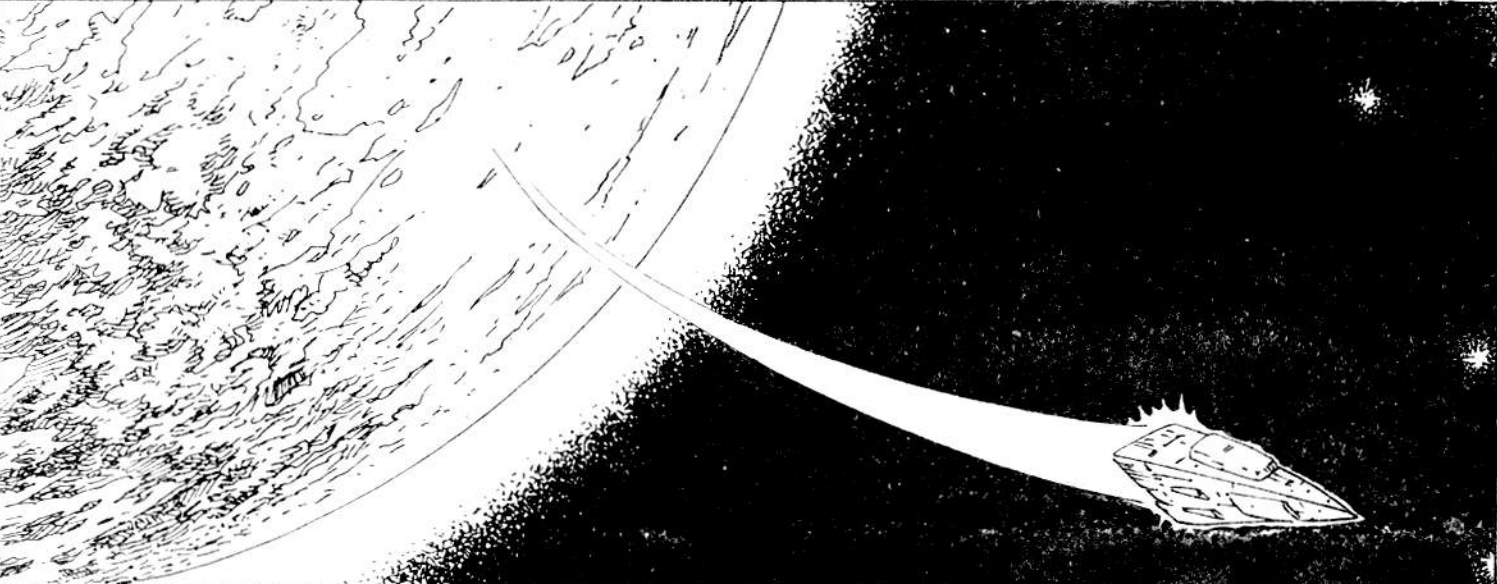












chwilę niezbędnego wytchnienia i powolutku wraca do siebie. I kiedy już wrócił, przede wszystkim, jak tego należało oczekiwać, ogarnia go palący wstyd. Dociera do niego, że w panice uciekł jak ostatni tchórz – o takich tchórzach do tej chwili najwyżej zdarzało mu się czytać w historycznych powieściach. Przypomina sobie, że opuścił Elę i co najmniej jeszcze jedną kobietę, którą zauważył w sąsiedniej willi. Przypomina sobie dziecięce głosy nad rzeką i rozumie teraz, że te dzieci również opuścił. Ogarnia go rozpaczliwa potrzeba działania, ale – charakterystyczne – potrzeba ta rodzi się bynajmniej nie od razu, a po drugie, kiedy już się zrodziła, dosyć długo współistnieje z nie dającym się opanować przerażeniem na samą tylko myśl o tym, że trzeba wrócić tam, na werandę, znaleźć się w polu widzenia tych koszmarnych, cieknących oczu, w pobliżu obrzydliwych, galaretowatych cielsk...

Grupa hałaśliwych glacjologów, która z trzaskającego mrozu wpadła do klubu, zastała Anatolija Siergiejewicza na żałosnym załamywaniu rąk – wciąż jeszcze nie mógł się na nic zdecydować. Glacjologowie wysłuchali jego opowieści ze szczerym współczuciem i natychmiast postanowili wrócić razem z nim na straszną werandę. Jednakże wtedy okazało się, że Anatolij Siergiejewicz nie tylko nie zna zero-indeksu osiedla, ale na dodatek zapomniał, jak się samo osiedle nazywa. Mógł tylko powiedzieć, że to gdzieś niedaleko od Morza Barentsa, na brzegu niewielkiej rzeki w strefie polarnej kosówki. Wtedy glacjologowie spiesznie przyodziali Anatolija Siergiejewicza odpowiednio do miejscowego klimatu i przez wyjącą zamieć powlekli go do sztabu osiedla na przełaj, przez potworne zaspy, w towarzystwie gigantycznych psów, przypominających dzikie zwierzęta... I oto w sztabie przed pulpitem WMI któremuś z polarników przyszła do głowy bardzo rozsądna myśl, że to nie żadne żarty. Te potwory niewątpliwie albo uciekły z jakiegoś zwierzyńca, albo – aż strach pomyśleć – z jakiegoś laboratorium, zajmującego się konstruowaniem biomechanizmów. W każdym wypadku, chłopcy, nie ma co się tu zajmować improwizacją, trzeba zawiadomić służbę awaryjną.

I zawiadomili Centralną Awaryjną. W Centralnej Awaryjnej podziękowali i powiedzieli, że przyjmują do wiadomości. Po pół godzinie dyżurny Awaryjnej sam zadzwonił do sztabu, powiedział, że informacja została potwierdzona i poprosił Anatolija Siergiejewicza. Anatolij Siergiejewicz w najbardziej ogólnych zarysach opisał, co się z nim działo i jak doszło do tego, że znalazł się na wybrzeżu Antarktydy. Dyżurny uspokoił go również w tym sensie, że nikt nie ucierpiał, mąż i żona Jaryginowie są cali i zdrowi, i że rano prawdopodobnie do Małej Peszy można będzie wrócić, a teraz on, Anatolij Siergiejewicz, powinien wziąć coś na uspokojenie i położyć się, żeby odpocząć.

I Anatolij Siergiejewicz wziął coś na uspokojenie, i na miejscu, w sztabie, położył się na kanapie, ale nie spał nawet godziny, kiedy znowu zobaczył cieknące oczy nad balustradą werandy, usłyszał histeryczny śmiech Eli i obudził się od nieznośnego wstydu.

– Nie – powiedział Anatolij Siergiejewicz – oni mnie nie zatrzymywali. Widocznie rozumieli mój stan... Nigdy nie przypuszczałem, że może mi się wydarzyć coś podobnego. Oczywiście nie jestem Zwiadowcą ani Progresorem... ale i mnie zdarzały się w życiu trudne sytuacje, i zawsze zachowywałem się zupełnie przyzwoicie... Nie rozumiem, co się ze mną stało. Próbuję to wyjaśnić sam ze sobą i nic tego nie wychodzi... Jakby coś na mnie naszło... – nagle zaczęły mu latać oczy. – Teraz też rozmawiam z wami, a w środku jestem niby zlodowaciały... Może myśmy się czymś zatruli?

– Czy zdaniem pana nie mogła to być halucynacja? – zapytał Tojwo.

Anatolij Siergiejewicz skulił się jakby z zimna i spojrzał w kierunku domku Jaryginów.

– N-nie wiem... – powiedział. – Nie, nie mam zdania na ten temat.

– Dobrze, chodźmy zobaczyć – zaproponował Tojwo.

– Mam iść z wami? – zapytał Basile.

– Niekoniecznie – powiedział Tojwo. – Ja jeszcze długo będę tu łaził tam i z powrotem. A ty trzymaj twierdzę.

– A jeńców brać? – zapytał rzeczowo Basile.

– Koniecznie – powiedział Tojwo. – Jeńcy są mi potrzebni. Wszyscy, którzy cokolwiek widzieli na własne oczy.

I Tojwo z Anatolijem Siergiejewiczem poszli przez plac. Anatolij Siergiejewicz wyglądał zdecydowanie i poważnie, ale im bardziej zbliżali się do domu, tym większe napięcie malowało się na jego twarzy, wyraźniej zaciskały się szczęki, a dolną wargę przygryzł tak, jakby starał się opanować silny ból. I Toj-

będzie zagłębiać się w szczegóły. Po prostu on, Progresor, ma negatywny stosunek do Progresorstwa. I tam (pokazał kciukiem za siebie) przyszła mu do głowy bardzo banalna myśl: w czasie kiedy on, potrząsając pantalonami i wymachując szpadą, szlifuje bruki placów w Arkanarze, tu (dźgnął wskazującym palcem sobie pod nogi) jakiś spryciarz w modnym płaszczyku koloru tęczy i z metawizorem przez ramię przechadza się po ulicach Swierdłowska. O ile on, Tojwo Głumow, się orientuje, ta prosta myśl niewielu ludziom przychodzi do głowy, a jeżeli nawet przychodzi, to w kretyńsko humorystycznej lub romantycznej formie. Zaś jemu, Tojwo, myśl ta nie daje spokoju – żadnym bogom nie wolno zezwalać na wtrącanie się w nasze sprawy, bogowie nie mają czego szukać na Ziemi, ponieważ „łaski bogów – to wiatr, który napełnia nasze żagle, lecz może także zrobić nawałnicę". (Później z wielkim trudem odnalazłem ten cytat – to z Verblibena).

Było widać gołym okiem, że mam przed sobą katolika, znacznie bardziej katolickiego niż papież, to znaczy niż ja. I bez dalszych rozmów wziąłem go do siebie i od razu posadziłem nad tematem „Wizyta starszej pani".

Okazał się znakomitym pracownikiem. Był energiczny, pełen inicjatywy, nie wiedział co to zmęczenie. I – a to bardzo rzadkie w jego wieku – nie załamywały go niepowodzenia. Nie istniały dla niego negatywne rezultaty. Więcej – negatywne rezultaty badań cieszyły go w równym stopniu, co i bardzo rzadkie pozytywne. Jakby z góry nastawił się na to, że za jego życia nie uda się wykryć nic określonego i umiał czerpać zadowolenie z samej (częstokroć dosyć nudnej) procedury analizowania minimalnie podejrzanych NW. Ciekawe, że moi starzy pracownicy – Grisza Serosowin, Sandro Mtbewari, Andriusza Kikin i inni – jakby podciągnęli się przy Tojwo, przestali się obijać, stali się mniej ironiczni i znacznie bardziej rzeczowi. Nie dlatego, by brali z niego przykład, o tym nie mogło być mowy, był dla nich zbyt młody, zbyt zielony, ale jakby zaraził ich swoją powagą, umiejętnością koncentracji, najbardziej zaś, jak przypuszczam, zdumiewała ich ta ciężka nienawiść do przedmiotu badania, nienawiść, której można się było domyśleć w nim i której oni sami byli dokładnie pozbawieni. Kiedyś przypadkowo wspomniałem przy Griszy Serosowinie o Meksykaninie Rivierze i dość szybko wykryłem, że wszyscy oni odszukali i przeczytali owo opowiadanie Jacka Londona.

Jak i Riviera, Tojwo nie miał przyjaciół. Otaczali go wierni i niezawodni koledzy, on sam był wiernym i niezawodnym partnerem w dowolnym przedsięwzięciu, ale przyjaciół jakoś nie zdobył do końca. Jak sądzę dlatego, że zbyt trudno było być jego przyjacielem – nigdy nie był z siebie zadowolony i dlatego nigdy i w niczym nie pobłażał swemu otoczeniu. Była w nim bezlitosna koncentracja na jednej sprawie, jaką widywałem tylko u wybitnych uczonych i twórców. O jakiej przyjaźni można tu mówić...

Ale jednego przyjaciela jednak miał. Mam na myśli jego żonę, Asię Stasową, czyli Anastazję Piotrowną. Kiedy poznałem ją, była to urocza, maleńka kobietka, cała jak żywe srebro, cięta jak osa i w najwyższym stopniu skłonna do wypowiadania pochopnych opinii i nieopatrznych sądów. Dlatego atmosfera w ich domu była zawsze podobna do atmosfery pola bitwy i było bardzo przyjemnie obserwować (z boku) ich wybuchające co chwila słowne batalie.

Było to tym bardziej zdumiewające widowisko, że normalnie, to znaczy w miejscu pracy, Tojwo sprawiał wrażenie człowieka raczej flegmatycznego i małomównego. Jakby go coś hamowało, jakby nieustannie obmyślał coś niezwykle ważnego. Ale nie przy Asi. Tylko nie przy Asi. Przy niej był Demostenesem, Cyceronem, apostołem Pawłem, prorokował, układał aforyzmy, i niech mnie diabli wezmą, nawet ironizował! Trudno sobie nawet wyobrazić, do jakiego stopnia ci dwaj ludzie byli różni – milczący i powolny Tojwo-Głumow-Przy-Pracy i ożywiony, gadatliwy, filozofujący, nieustannie błądzący i żarliwie walczący w obronie swoich błędów Tojwo-Głumow-W-Domu. W domu nawet jadł ze smakiem. Nawet kaprysił z powodu jedzenia. Asia była degustatorką-gastronomem i zawsze gotowała sama. Tak było przyjęte w domu jej matki, tak było przyjęte w domu jej babki. Ta tradycja, która zachwycała Tojwo Głumowa w domu Stasowych, sięgała korzeniami niepamiętnych czasów, kiedy nie istniała jeszcze molekularna gastronomia i zwyczajny kotlet trzeba było przygotowywać za pomocą skomplikowanych i nie bardzo apetycznych procesów...

A poza tym Tojwo miał jeszcze mamę. Codziennie, czy był, czy nie był zajęty, gdziekolwiek przebywał, zawsze znajdował chwilę, żeby się z nią połączyć przez wideokanał i zamienić chociażby kilka słów. Nazywali to „kontrolnym dzwonkiem". Wiele lat temu poznałem Maję Głumową, ale okoliczności

towarzyszące temu były tak smutne, że już nie spotkaliśmy się nigdy później. Nie z mojej winy. Mówiąc krótko, miała o mnie jak najgorsze zdanie i Tojwo o tym wiedział. Nigdy ze mną o matce nie rozmawiał. Ale o mnie rozmawiał z nią niejednokrotnie – dowiedziałem się o tym znacznie później...

To rozdwojenie niewątpliwie musiało mu ciążyć. Nie sądzę, żeby Maja Głumowa mówiła mu o mnie źle. I już jest zupełnie nieprawdopodobne, żeby opowiedziała synowi straszną historię śmierci Lwa Abałkina. Najpewniej, kiedy Tojwo zaczynał opowiadać o swoim bezpośrednim przełożonym, Maja po prostu uchylała się od podjęcia tematu. Ale tego wystarczało aż zanadto.

Przecież dla Tojwo nie byłem zwyczajnym zwierzchnikiem. Przecież w istocie rzeczy byłem jego jedynym zwolennikiem, jedynym człowiekiem w całym bezkresnym KOMKONie-2, który absolutnie poważnie, bez żadnej taryfy ulgowej traktował problem, którym Tojwo był opanowany bez reszty. Oprócz tego Tojwo odnosił się do mnie z niezwykłym pietyzmem. Jego szefem był legendarny Mak Sym! Tojwo jeszcze nie było na świecie, kiedy Mak Sym wysadzał w powietrze wieże radiacyjne na planecie Saraksz, walczył z faszystami... Nieprześcigniony Biały Hetman! Organizator akcji „Wirus", po której zakończeniu sam Superprezydent nadał mu przezwisko Big Bug! Tojwo jeszcze chodził do szkoły, kiedy Big Bug przeniknął do Wyspiarskiego Imperium, do samej Stolicy... pierwszy z Ziemian i nawiasem mówiąc ostatni... Oczywiście wszystko to były wyczyny Progresora, ale przecież powiedziane jest: Progresora może pokonać jedynie Progresor! A Tojwo był gorącym wyznawcą tej właśnie prostej idei.

I jeszcze jedno. Tojwo nie miał pojęcia, w jaki sposób będzie działać, kiedy wreszcie ingerencja Wędrowców w nasze ziemskie sprawy zostanie wykryta i udowodniona ponad wszelką wątpliwość. Żadne analogie historyczne dotyczące wielowiekowej działalności ziemskich Progresorów nie mogły być tu przydatne. Dla irukańskiego herzoga zdemaskowany Progresor-Ziemianin był demonem lub praktykującym czarownikiem. Dla kontrwywiadowcy Imperium Wyspiarskiego tenże Progresor był zręcznym szpiegiem z Kontynentu. A czym jest zdemaskowany Progresor-Wędrowiec z punktu widzenia pracownika KOMKONu-2?

Zdemaskowanego czarownika należało spalić; nieźle byłoby również umieścić go w kamiennym lochu i zmusić do robienia złota z własnego gówna. Sprytnego szpiega z Kontynentu należało zwerbować, albo zlikwidować. A jak należało postąpić ze zdemaskowanym Wędrowcem?

Tojwo nie znał odpowiedzi na te i podobne im pytania. I nikt z jego znajomych nie znał na nie odpowiedzi. Większość z nich same pytania uznała za nietaktowne. „Co robić, jeśli w śrubę twojej motorówki wplątała się broda wodnika? Rozplątywać? Odcinać bez najmniejszej litości? Łapać wodnika za kark?" Ze mną Tojwo na te tematy nigdy nie rozmawiał. A nie rozmawiał dlatego, że – jak mi się wydaje – na początek przekonał sam siebie, że Big Bug, legendarny Biały Hetman, chytry Mak Sym dawno już wszystko przemyślał, przeanalizował wszystkie możliwe warianty, sporządził szczegółowe opracowanie i zatwierdził je na samej górze.

Nie rozczarowywałem go. Oczywiście do czasu.

Muszę powiedzieć, że Tojwo Głumow w ogóle był człowiekiem skłonnym do apriorycznych sądów. (Zresztą jak mogło być inaczej przy jego fanatyzmie). Na przykład w żaden sposób nie chciał uznać związku swojej „Wizyty starszej pani" z od dawna rozpracowywanym u nas tematem „Rip Van Winkle". Przypadki nagłych i absolutnie nie wyjaśnionych zaginięć ludzi w siedemdziesiątych – osiemdziesiątych latach i równie nagłych i nie wyjaśnionych ich powrotów były jedynym punktem „Memorandum Bromberga", który Tojwo kategorycznie odrzucał i w ogóle odmawiał wzięcia pod uwagę. „To jakaś pomyłka – twierdził. – Albo zrozumieliśmy go opacznie. Po co to potrzebne Wędrowcom, żeby ludzie nagle gdzieś znikali?" I to w sytuacji, kiedy „Memorandum Bromberga" stało się jego katechizmem, programem jego pracy, pracy na całe życie... Najwidoczniej nie mógł i nie chciał przyznać, że Wędrowcy posiadają moc niemal nadnaturalną. Przyznanie czegoś takiego uczyniłoby jego pracę bezwartościową. No bo rzeczywiście, jaki może mieć sens śledzenie, poszukiwanie i łowienie istoty, która w każdej chwili zdolna jest rozsypać się w powietrzu i następnie zmontować w innym punkcie?

Ale przy całej swojej skłonności do apriorycznych sądów, nigdy nie próbował walczyć ze stwierdzonymi faktami. Pamiętam jak Tojwo, jeszcze całkiem zielony neofita, przekonał mnie, abyśmy się włączyli w dochodzenie w sprawie tragedii na wyspie Matuku.

Zajmował się tym rzecz jasna sektor „Oceania", w którym o żadnych Wędrowcach nikt nawet nie

– Stop, stop – dobrodusznie przerwał mu Basile i ruszył przed siebie, wystawiając dłonie. – Przepraszam, ale nie wolno tu wchodzić. Służba awaryjna.

Niemniej jednak nieznajomy przekroczył próg i natychmiast przystanął.

– Właściwie ja na nic nie pretenduję – powiedział i odkaszlnął. – Ale okoliczności... Proszę mi powiedzieć, czy Grigorij i Ela już wrócili?

Wyglądał dosyć niezwykle. Miał na sobie futrzaną dochę, której poły rozchylały się tak, że można było zobaczyć bogato wyszywane futrzane buty, jak również jaskrawą letnią siatkową koszulę, jakie najchętniej nosili wtedy mieszkańcy ziem stepowych. Tak na oko mógł mieć 40-50 lat, twarz prostoduszna i sympatyczna, tylko jakby zbyt blada – może ze strachu, może z zażenowania.

– Nie, nie – odpowiedział Basile, nacierając na niego z bliska. – Nikt nie wrócił, trwa dochodzenie i nikogo nie wpuszczamy...

– Poczekaj, Basile – powiedział Tojwo. – Kim są Grigorij i Ela? – zapytał nieznajomego.

– Zdaje się, że znowu trafiłem nie tam, gdzie chciałem... – odezwał się z jakąś powiedziałbym nawet rozpaczą i spojrzał przez ramię, tam, gdzie w głębi pawilonu połyskiwały polerowane powierzchnie kabiny zero-T. – Przepraszam, to jest... m-m-m... O Boże, znowu zapomniałem... Mała Pesza? Czy też nie?

– To jest Mała Pesza – powiedział Tojwo.

– No to w takim razie musi pan go znać... Grigorij Jarygin... Jeśli dobrze zrozumiałem, spędza tu każde lato... – i nagle zawołał z radością pokazując palcem. – O, w tamtej willi! Tam na werandzie wisi mój płaszcz!

Wszystko z miejsca się wyjaśniło. Nieznajomy okazał się świadkiem. Nazywał się Anatolij Siergiejewicz Krylenko, był zootechnikiem i rzeczywiście pracował w stepach – w agzirskim kombinacie rolnym. Wczoraj, na corocznej wystawie nowości w Archangielsku, najzupełniej przypadkowo wpadł na swojego szkolnego przyjaciela Grigorija Jarygina, którego nie widział prawie od dziesięciu lat. Oczywiście Jarygin zaciągnął go do siebie, to znaczy tutaj, do tej...o, do diabła, znowu wyleciało... no, do tej Małej Peszy. Spędzili wspaniały wieczór we trójkę: on, Jarygin i żona Jarygina, Ela, pływali łodzią, spacerowali po lesie, mniej więcej około dziesiątej wrócili do domu, do tej tam willi, zjedli kolację i usiedli na werandzie, żeby wypić herbatę. Było zupełnie jasno, z rzeczki dobiegały dziecięce głosy, było ciepło i zdumiewająco pachniały polarne truskawki. A potem Anatolij Siergiejewicz Krylenko nagle zobaczył oczy...

W tej najważniejszej części swojej opowieści Anatolij Siergiejewicz stał się, mówiąc łagodnie, dosyć niewyraźny. Tak jakby nadaremnie próbował opowiedzieć jakiś koszmarny, poplątany sen.

Oczy patrzyły z ogródka... zbliżały się, ale cały czas nie ruszały się z ogródka... Dwoje ogromnych oczu, powodujących mdłości... Bez przerwy coś po nich spływało... A z boku po lewej stronie było jeszcze trzecie... a może trzy? I coś zwalało się, zwalało, zwalało przez balustradę werandy, podpływało już pod nogi... I do tego absolutnie nie można było się ruszyć. Grigorij gdzieś przepadł, nie widać nigdzie Grigorija. Ela jest gdzieś blisko, ale też jej nie widać, tylko słychać, jak histerycznie krzyczy... a może się śmieje... W tym momencie gwałtownie otwarły się drzwi do pokoju. Pokój po pas wypełniały galaretowie, drgające cielska, a oczy tych cielsk były tam, na zewnątrz, w ogródku...

Anatolij Siergiejewicz zrozumiał, że zaczyna się to, co najstraszniejsze. Wyszarpnął nogi z przyklejonych do podłogi sandałów, przeskoczył przez stół, wypadł do lasu i kiedy obiegł dom dookoła... Nie, nie obiegł domu, wybiegł do lasu, ale nie wiadomo dlaczego znalazł się na placu... Biegł, gdzie oczy poniosą i nagle zauważył pawilon klubu i w otwartych drzwiach błysnęła liliowa iskra zero-T, zrozumiał, że jest uratowany. Jak bomba wpadł do kabiny, na chybił trafił zaczął naciskać klawisze, aż wreszcie automat się włączył...

W tym momencie tragedia się skończyła, a rozpoczęła komedia. Zero-T wyrzucił Anatolija Siergiejewicza w osiedlu Roosevelt na wyspie Piotra Pierwszego. Ta wyspa leży na Morzu Bellingshausena, termometr wskazuje czterdzieści dziewięć stopni poniżej zera, szybkość wiatru 18 metrów na sekundę, osiedle z powodu panującej tam właśnie zimy jest prawie puste.

Zresztą w klubie polarników automatyka była sprawna, ciepło, przytulnie, a w barze, jak wspaniała tęcza świecą naczynia z płynami do rozjaśniania ciemności polarnych nocy. Anatolij Siergiejewicz w swojej siatkowej koszulce i w szortach, jeszcze mokry od herbaty i straszliwych przejść, otrzymuje

– Jasne – powiedział Basile i obejrzał się na pawilon. – Tak właśnie myślałem. Rozumiesz, oni w panice prawie rozwalili swoją zero-kabinę.

– To znaczy, że nikt z nich do tej pory nie wrócił?

– Nikt.

– I nic więcej się nie działo?

– Nic. Nasi zakończyli oględziny półtorej godziny temu, nie znaleźli nic istotnego i wrócili przeprowadzać analizy. Mnie zostawili, żebym nikogo nie wpuszczał i przez ten cały czas reperowałem zero-kabinę.

– Zreperowałeś?

– Raczej tak.

Domki w Małej Peszy były stare, zbudowane w ubiegłym stuleciu, utylitarna architektura, naturyzowana organika, jadowicie odblaskowe kolory – skutek starości. Wokół każdego domku – gęste zarośla czarnej porzeczki, bzu, polarnych truskawek, a od razu za półkolem domów las, żółte pnie gigantycznych sosen, szarozielone we mgle iglaste korony, a nad nimi już dosyć wysoko – szkarłatny dysk słońca na północnym wschodzie...

– Jakie analizy? – zapytał Tojwo.

– No, znaleźliśmy tu sporo śladów... To paskudztwo wylazło najwidoczniej z tej tam willi i rozpełzło się na wszystkie strony... – Basile zaczął pokazywać rękami. – Na krzakach, na trawie, gdzieniegdzie na werandach został wyschnięty śluz, jakieś łuski, grudki czegoś takiego...

– A co widziałeś na własne oczy?

– Nic. Kiedy przylecieliśmy, wszystko wyglądało dokładnie jak teraz, tylko mgła jeszcze wisiała nad rzeką.

– To znaczy, że świadków nie ma?

– Najpierw myśleliśmy, że uciekli wszyscy co do jednego. Ale później okazało się, że nie. O, w tamtym domku, ostatnim, na samym brzegu, świetnie sobie żyje dosyć sędziwa osoba, która nie miała najmniejszego zamiaru uciekać...

– Dlaczego? – zapytał Tojwo.

– Nie mam pojęcia! – odpowiedział Basile, unosząc brwi i rozkładając ręce. – Wyobrażasz sobie? Dookoła panika, wszyscy latają jak opętani, drzwi zero-kabiny wyrwali z korzeniami, a ta jak gdyby nigdy nic... Potem my przylatujemy, rozwijamy szyki bojowe, szable do boju, bagnet na broń i wtedy ona wychodzi na ganek i surowym głosem prosi nas o zachowanie ciszy, ponieważ swoimi wrzaskami przeszkadzamy jej spać!

– A czy rzeczywiście była panika? – zapytał Tojwo.

– I to jeszcze jaka – powiedział Basile, ostrzegawczo unosząc dłoń. – Było tu osiemnaście osób, kiedy się to wszystko zaczęło. Dziewięcioro zwiało na gliderach. Pięcioro uciekło przez kabinę. A troje oszalałych ze strachu popędziło do lasu, tam zabłądzili, tak że odnaleźliśmy ich z najwyższym trudem. Możesz nie mieć żadnych wątpliwości, była panika, była... Była panika, były jakieś potwory i nawet ślady zostały. Ale dlaczego staruszka się nie przestraszyła, tego nie wiemy. W ogóle jest jakaś dziwna, ta staruszka. Słyszałem na własne uszy, jak oświadczyła naszemu dowódcy: „Trochę późno przylecieliście, gołąbeczki. Nic im już nie pomożecie. Wszystkie zginęły..."

Tojwo zapytał:

– Co ona miała na myśli?

– Nie wiem – odparł Basile z niezadowoleniem. – Przecież mówię, dziwna jakaś staruszka.

Tojwo spojrzał na jadowicie różową willę, zawierającą dziwną staruszkę. Ogródek wokół domu był wyraźnie znacznie bardziej zadbany. Obok stał glider.

– Nie radzę jej niepokoić – powiedział Basile. – Lepiej niech się sama obudzi, może wtedy...

W tym momencie Tojwo wydało się, że za jego plecami coś się rusza i gwałtownie się odwrócił. Zza drzwi klubu wyzierała blada twarz o szeroko otwartych, przerażonych oczach. Przez kilka sekund nieznajomy milczał, następnie jego bezkrwiste wargi poruszyły się i człowiek powiedział ochrypłym głosem:

– Wyjątkowo głupia historia, prawda?

chciał słyszeć. Ale sprawa była unikalna, pozbawiona jakichkolwiek precedensów w przeszłości (mam szczerą nadzieję, że w przyszłości nic podobnego już nigdy się nie wydarzy), więc przyjęto nas obu bez słowa sprzeciwu.

Na wyspie Matuku od niepamiętnych czasów sterczał starodawny, na wpół rozwalony radioteleskop. Kto go zbudował i po co, nie udało się nigdy ustalić.

Wyspę uważano za bezludną, odwiedzały ją tylko nieliczne grupy delfinerów oraz przypadkowe pary, które szukały pereł w przejrzystych zatoczkach na północnym wybrzeżu. Jednakże, jak dosyć szybko stało się wiadome, właśnie tam w ciągu ostatnich kilku lat zamieszkała na stałe zdublowana rodzina Głowanów. (Obecne pokolenie może już nie pamięta, co to za jedni. Przypominam: to rasa rozumnych kynoidów z planety Saraksz, która na pewien okres nawiązała bardzo bliskie kontakty z Ziemianami. Te wielkogłowe, mówiące psy towarzyszyły nam w wędrówkach po Kosmosie i miały nawet na naszej planecie coś w rodzaju przedstawicielstwa dyplomatycznego. Mniej więcej trzydzieści lat temu odeszły i dalszych kontaktów z nami już nie nawiązały).

Na południu wyspy była okrągła wulkaniczna zatoka. Nieopisanie brudna, jej brzegi zarosły jakąś obrzydliwą, cuchnącą pianą. Prawdopodobnie paskudztwo to było pochodzenia organicznego, dlatego że przyciągało nieprzebrane stada morskich ptaków. Poza tym wody zatoki były martwe. Nawet wodorosty rozmnażały się w nich nad wyraz niechętnie.

I na tej wyspie miały miejsce zabójstwa. Ludzie zabijali się nawzajem i było to do takiego stopnia straszne, że nikt nie miał odwagi – i to w ciągu kilku miesięcy – poinformować o tym środków masowego przekazu.

Dość szybko wyjaśniło się, że wina, a ściślej przyczyna wszystkiego, kryje się w szczególnych właściwościach gigantycznego syluryjskiego mięczaka, prehistorycznego, monstrualnego głowonoga, który jakiś czas temu osiedlił się na dnie zatoki. Prawdopodobnie zepchnął go jakiś tajfun. Biopole tego potwora, od czasu do czasu wypływającego na powierzchnię, wywierało depresyjny wpływ na wysoko rozwiniętą psychikę. W szczególności u człowieka powodowało katastrofalne obniżenie poziomu motywacji – pod wpływem tego biopola człowiek stawał się aspołeczny, mógł zabić kolegę, który niechcący wrzucił do wody jego koszulę. I zabijał.

A więc Tojwo Głumow wbił sobie do głowy, że ten mięczak to właśnie owa przepowiedziana przez Bromberga jednostka Monokosmu w procesie powstawania. Trzeba przyznać, że na samym początku, kiedy faktów jeszcze w ogóle nie było, te pomysły wyglądały dosyć przekonywająco (jeśli w ogóle można mówić o logice konstrukcji, zbudowanej na fantastycznych przesłankach). I trzeba było widzieć, jak krok za krokiem cofał się pod naporem nowych danych, które codziennie zdobywali wstrząśnięci tragedią specjaliści od głowonogów oraz paleontolodzy...

Dobił Tojwo pewien student biolog, który wygrzebał w Tokio japoński manuskrypt z trzynastego wieku, zawierający opis tego, czy też może identycznego monstrum (cytuję według swego dziennika): „We Wschodnich morzach widuje się katapumoridako w kolorze purpury o nieprzebranej mnogości długich cienkich rąk, wysuwa się z okrągłej muszli wielkości trzydziestu stóp z ostrzami i grzebieniami, oczy jakby gnijące, cały obrośnięty polipami. Kiedy wypływa, leży na wodzie płaski, na podobieństwo wyspy, rozsiewając wokół smród, wydziela białą materię, by przywabić ptaki i ryby. Kiedy się gromadzą, łapie je rękami bez żadnego wyboru i pożywia się nimi. W noce księżycowe leży kołysząc się na falach, wlepiając oczy w nieboskłon, rozmyśla o głębinach wód, które go zrodziły. Rozmyślania te są tak posępne, że porażają ludzi i stają się ludzie podobni tygrysom".

Pamiętam, że kiedy Tojwo to przeczytał, milczał przez kilka minut pogrążony w głębokiej zadumie, następnie westchnął – jak mi się wydało – z ulgą i powiedział: „Tak. To nie to. I bardzo dobrze, byłoby zbyt obrzydliwe". Według jego wyobrażeń Monokosm powinien być istotą wystarczająco wstrętną, ale może jednak nie do tego stopnia.

Monokosm w postaci syluryjskiej ośmiornicy nie pasował do jego wyobrażeń. (Dokładnie tak, jak – co chciałbym przy okazji zaznaczyć – nie pasował ten mięczak do żadnych wyobrażeń specjalistów: ze swoim jadowitym biopolem, ze swoim rozsuwanym pancerzem, ze swoim wiekiem, przewyższającym czterysta milionów lat).

W ten sposób pierwsza poważna sprawa, do której zabrał się Tojwo Głumow, skończyła się na

niczym. Podobnych niewypałów miał później jeszcze niemało i wreszcie w połowie 98-ego roku poprosił mnie o pozwolenie zajęcia się opracowaniem materiałów dotyczących masowych fobii. Zgodziłem się.

DOKUMENT 3

RAPORT - MELDUNEK
Nr 011/99

KOMKON-2
Ural-Północ

Data: 20 marca 99 roku
Autor: Tojwo Głumow, inspektor
Temat: 009 „Wizyta starszej pani"
Treść: kosmofobie, syndrom pingwina

Analizując przypadki powstawania kosmicznych fobii w ciągu ostatnich lat, doszedłem do wniosku, że w związku z tematem 009 mogą być dla nas interesujące materiały dotyczące tzw. syndromu pingwina.

Bibliografia:
Asmodeusz Moebius, referat na XIV konferencji kosmopsychologów, Ryga 84;
Asmodeusz Moebius, „Syndrom pingwina", PKP („Problemy kosmicznej psychologii") 42, 84;
Asmodeusz Moebius, „Ponownie o etiologii syndromu pingwina", PKP 44, 85.

Dane biograficzne:

Moebius Asmodeusz Mateusz, doktor medycyny, członek korespondent Akademii Nauk Medycznych Europy, dyrektor filii Światowego Instytutu Kosmicznej Psychopatologii (Wiedeń). Urodzony w Insbruku 24.06.36. Wykształcenie: wydział psychopatologii (Sorbona), Drugi Instytut Medycyny Kosmicznej (Moskwa), Wyższe kursy bezprzyrządowej akwanautyki (Honolulu). Podstawowe dziedziny zainteresowań naukowych, nie związane z wykonywanym zawodem: kosmo- i akwafobie. Od 81 do 91 zastępca przewodniczącego Głownej Komisji Lekarskiej Zarządu Floty Kosmicznej. Obecnie uznany powszechnie założyciel i czołowy reprezentant szkoły tzw. polimorficznej kosmopsychopatologii.

7 października 84-ego roku na konferencji kosmopsychologów w Rydze doktor Asmodeusz Moebius wygłosił referat o nowym rodzaju kosmofobii, którą nazwał „syndromem pingwina". Fobia ta jest rodzajem niegroźnej dewiacji, objawiającej się natrętnymi koszmarami, które nawiedzają chorych w czasie snu. Wystarczy, żeby chory zasnął, by natychmiast poczuł się zawieszony w kosmicznej pustce, absolutnie bezradny i bezsilny, samotny, przez wszystkich zapomniany, zdany na łaskę bezdusznych i nieprzezwyciężonych mocy. Odczuwa fizycznie okropną duszność, wie, że jego ciało przenika na wskroś unicestwiające, twarde promieniowanie, czuje jak zanikają i miękną jego kości, jak kipi i zaczyna wyparowywać mózg, ogarnia go nieprawdopodobnie intensywne uczucie rozpaczy i wtedy chory się budzi.

Doktor Moebius nie uznał tej choroby za niebezpieczną, ponieważ po pierwsze – nie towarzyszyły jej żadne uszkodzenia psychiki albo somy, a po drugie – bardzo łatwo poddawała się ambulatoryjnej psychoterapii. „Syndrom pingwina" zwrócił uwagę dokrota Moebiusa przede wszystkim dlatego, że był jakościowo nowym zjawiskiem, do tej pory nigdy i przez nikogo nie opisanym. Zaskakujące było, że choroba atakowała ludzi bez względu na płeć, wiek czy zawód, ale nie mniej zaskakujące było i to, że nie wykryto żadnego związku syndromu z indeksem genetycznym pacjentów.

Doktor Moebius, zainteresowany etiologią zjawiska, poddał zebrany materiał (około tysiąca dwustu przypadków) wielostronnej analizie według osiemnastu parametrów i z satysfakcją wykrył, że w siedemdziesięciu ośmiu procentach przypadków syndrom powstawał u ludzi, którzy odbywali dalekie kosmiczne podróże na statkach typu „Widmo-17 - pingwin". „Oczekiwałem czegoś podobnego - oświadczył doktor Moebius. - O ile pamiętam, to nie pierwszy przypadek, kiedy konstruktorzy oferują nam niedostatecznie atestowaną aparaturę. Właśnie dlatego nazwałem odkryty przeze mnie syndrom nazwą statku i niechaj posłuży to jako memento".

Konferencja w Rydze, na podstawie referatu doktora Moebiusa, podjęła decyzję o czasowym zakazie eksploatacji statków typu „Widmo-17-pingwin" do czasu pełnego usunięcia wad powodujących fobie.

informacje o wizycie Szamana w Instytucie Dziwaków, nareszcie doznałem olśnienia i zapomniałem o zmywaniu jakichkolwiek głów.

Moja sytuacja była okropna, ponieważ nie miałem z kim porozmawiać. Po pierwsze nie miałem żadnych propozycji. A po drugie nie wiedziałem, z kim jeszcze mogę rozmawiać, a z kim już mi nie wolno. Znacznie później wypytywałem swoich pracowników, czy moje zachowanie w te straszne (dla mnie) kwietniowe dni 99-ego roku nie wydało im się cokolwiek dziwne. Sandro był wtedy zajęty tematem „Rip Van Winkle", sam znajdował się w stanie absolutnego oszołomienia i dlatego nic nie zauważył. Grisza Serosowin twierdził, że byłem wtedy szczególnie skłonny do przemilczeń i na każdą jego inicjatywę odpowiadałem zagadkowym uśmiechem. A Kikin jak to Kikin - dla niego już wtedy było „wszystko jasne". Zaś Tojwo Głumowa moje ówczesne zachowanie niewątpliwie musiało doprowadzać do szału. I doprowadzało. Tylko że ja naprawdę nie wiedziałem, co mam zrobić! Ganiałem swoich pracowników jednego po drugim do Instytutu Dziwaków, za każdym razem czekałem, co z tego wyniknie, nigdy nic nie wynikało, więc goniłem tam następnego i znowu czekałem.

W tym samym czasie Gorbowski umierał u siebie w Krasławie.

W tym samym czasie Atos-Sidorow czekał aż go znowu położą do szpitala i nie było żadnej pewności, że kiedyś jeszcze z niego wyjdzie.

W tym samym czasie Dania Łogowienko pierwszy raz po wieloletniej przerwie wprosił się do mnie na herbatę i przez cały wieczór wspominał jakieś nieistotne głupstwa z dawnych lat.

W tym czasie nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji.

I wtedy wybuchła ta historia w Małej Peszy.

Nocą, z piątego na szósty maja, wyrwała mnie z łóżka służba awaryjna. W Małej Peszy (nad rzeką Peszą, która wpada do Zatoki Czeskiej Morza Barentsa) pojawiły się jakieś potwory, które spowodowały wybuch paniki wśród mieszkańców osiedla. Grupa awaryjna w drodze, śledztwo trwa.

Zgodnie z obowiązująca pragmatyką byłem zobowiązany wysłać na miejsce wypadku któregoś ze swoich inspektorów. Posłałem Tojwo.

Niestety raport-meldunek inspektora Głumowa o wydarzeniach i jego działalności w Małej Peszy zaginął. Mnie w każdym razie nie udało się go odnaleźć. Tymczasem bardzo chciałbym pokazać, w jaki sposób Tojwo prowadził dochodzenie i to pokazać możliwie szczegółowo, dlatego więc będę musiał uciec się do rekonstrukcji wydarzeń, opartej na mojej pamięci i na rozmowach z uczestnikami tych wydarzeń.

Nietrudno zauważyć, że proponowana rekonstrukcja (jak również wszystkie następne) zawiera oprócz niewątpliwych, potwierdzonych faktów również pewne opisy, metafory, epitety, dialogi i inne elementy literatury pięknej. Bo jednak chciałbym, aby czytelnik zobaczył przed sobą żywego Tojwo, takiego jakim go pamiętam. A same dokumenty do tego nie wystarczą. Zresztą, jeżeli się chce, można traktować moje rekonstrukcje jako szczególnego rodzaju zeznania świadka.

★

MAŁA PESZA. 6 MAJA 99 ROKU. WCZESNE RANO.

Z góry osiedle Mała Pesza wyglądało tak, jak powinno wyglądać takie osiedie o godzinie czwartej rano. Sennie. Spokojnie. Pusto. Około dziesięciu różnobarwnych dachów półkolem, placyk zarośnięty trawą, kilka gliderów stojących tu i ówdzie na skarpie nad rzeką. Rzeka wydawała się nieruchoma, bardzo zimna i nieżyczliwa, strzępy białawej mgły wisiały nad sitowiem po przeciwnej stronie.

Na ganku klubu stał człowiek z głową zadartą do góry i śledził wzrokiem glider. Jego twarz wydała się Tojwo znajoma i nie było w tym nic dziwnego - Tojwo znał wielu ze służby awaryjnej, mniej więcej co drugiego.

Posadził maszynę obok ganku i wyskoczył na wilgotną trawę. Ranek był tu zimny. Człowiek na ganku miał na sobie ogromną puchatą kurtkę z mnóstwem specjalnych kieszeni, z gniazdkami do najróżniejszych butli, regulatorów, gaśnic oraz innych przedmiotów koniecznych w czasie pełnienia służby.

– Dzień dobry – powiedział Tojwo. – Bazyli, jeśli się nie mylę?

– Witaj, Głumow – odparł tamten, wyciągając rękę. – Zgadza się. Basile. Dlaczego tak długo?

Tojwo wyjaśnił mu, że zero-T tu, w Małej Peszy, nie wiadomo dlaczego nie przyjmuje, że wyrzuciło go w Dolnej Peszy, że musiał wziąć tam glider i lecieć dodatkowe czterdzieści minut ponad rzeką.

Styczeń 82. Powstaje grupa inicjatywna WEPI (nazywana tak według inicjałów założycieli), jednocząca lekarzy, psychologów, socjologów, filozofów i prawników. To właśnie grupa WEPI rozpoczęła i doprowadziła do końca walkę o przyjęcie Poprawki.

Luty 82. Pierwszy mityng przeciwników fukamizacji przed gmachem Światowej Rady.

Czerwiec 82. Formalne ukonstytuowanie się opozycji wobec „Ustawy" wśród członków Komisji Ochrony Macierzyństwa i Małego Dziecka.

Dalsza chronologia wydarzeń moim zdaniem nie jest już interesująca. Czas (trzy i pół roku) potrzebny Światowej Radzie na wszechstronne przestudiowanie zagadnienia i przyjęcie Poprawki jest czasem dość typowym. Za to nietypowa wydaje mi się proporcja między ogromną liczbą zwolenników Poprawki i liczbą ekspertów. Przeważnie masowi zwolennicy nowego prawa – to minimum dziesięć milionów ludzi, eksperci zaś reprezentujący ich interesy (prawnicy, socjologowie, specjaliści w danej dziedzinie) – to zaledwie kilkadziesiąt osób. W naszym przypadku masowi zwolennicy Poprawki (kobiety odmawiające zgody, ich mężowie, krewni, przyjaciele, sympatycy, osoby popierające ruch z przyczyn religijnych lub filozoficznych) właściwie nigdy nie byli naprawdę masowi. Liczba uczestników ruchu nigdy nie przewyższała pół miliona. Jeżeli zaś chodzi o specjalistów, to jedna tylko grupa WEPI w chwili przyjęcia Poprawki liczyła 536 specjalistów.

5. Po przyjęciu Poprawki odmowy nadal trwały, chociaż zmniejszyła się ich liczba i to znacznie. Ale co najważniejsze – w ciągu całego 85 roku zmienił się charakter epidemii. Ściślej mówiąc, nie można już teraz tego zjawiska nazwać epidemią. Jakie by istniały prawidłowości („łańcuchy odmowy", koncentracja w określonych punktach geograficznych), wszystkie znikły. Teraz każdy przypadek odmowy nosi absolutnie przypadkowy, jednostkowy charakter, przy czym uzasadnienia typu A i B w ogóle znikły, przeważa powoływanie się na Poprawkę. Z tego widocznie powodu, faktów odmowy nie uważa się za przejaw fukamifobii. Ciekawe, że wiele kobiet, które w swoim czasie kategorycznie nie zgadzały się na fukamizację, a także aktywnie uczestniczyły w ruchu zwolenników Poprawki, obecnie całkowicie utraciły zainteresowanie tym problemem i przy porodzie nawet nie wykorzystują prawa odwołania się do Poprawki. Z kobiet, które nie wyraziły zgody na fukamizację w latach 81–85, przy następnych porodach nadal nie zgadzało się zaledwie 12%. Trzecia odmowa fukamizacji zdarza się niezmiernie rzadko, w ciągu piętnastu lat zarejestrowano kilka przypadków.

6. Uważam za konieczne szczególne zwrócenie uwagi na dwie okoliczności:

A) Prawie zupełne zniknięcie fukamifobii po przyjęciu Poprawki objaśnia się zwykle dobrze znanymi czynnikami natury psychosocjologicznej. Współczesny człowiek akceptuje tylko te ograniczenia i obowiązki, które wypływają z moralno-etycznych zasad rządzących społecznością. Każde inne ograniczenie, czy też zobowiązanie innego rodzaju, człowiek odbiera z uczuciem (nieuświadomionej) wrogości i (instynktownego) wewnętrznego sprzeciwu. Wobec tego naturalne jest, że zwalczywszy przymus fukamizacji, człowiek traci powód do wrogości i zaczyna traktować fukamizację neutralnie, jak każdy zwyczajny zabieg medyczny.

Zgadzając się w całości z przytoczonymi wyżej argumentami, niemniej jednak podkreślam możliwość innej interpretacji, interesującej z punktu widzenia tematu 009. Konkretnie – cała zreferowana przez mnie historia pojawienia się i zniknięcia fukamifobii daje się znakomicie wytłumaczyć jako rezultat ukierunkowanego i precyzyjnie obliczonego działania obcej i rozumnej woli.

B) Epidemia fukamifobii dokładnie zbiega się w czasie z pojawieniem się „syndromu pingwina" (patrz mój raport-meldunek nr 011/99).

Sapienti sat — ***Tojwo Głumow***

(koniec Dokumentu 4)

Teraz już mogę stwierdzić z całkowitą pewnością, że właśnie ten konkretny raport-meldunek spowodował w mojej świadomości jakby zrzucenie pętających ją więzów, co w ostatecznym rezultacie doprowadziło mnie do Wielkiej Iluminacji. I przy tym, chociaż brzmi to teraz dosyć zabawnie, ten zwrot zaczął się od mimowolnej irytacji, którą wywołały u mnie niedwuznaczne i dość prostackie aluzje Tojwo do jakoby złowieszczej roli „wertykalistów" w historii Poprawki. W oryginale raportu ten akapit jest upstrzony grubymi, czerwonymi podkreśleniami – świetnie pamiętam, że zamierzałem solidnie zmyć Tojwo głowę za to, że do takiego stopnia puścił wodze swojej fantazji. Ale wtedy właśnie dotarły do mnie

1. Stwierdziłem, że typ „Widmo-17-pingwin" został poddany wyjątkowo starannemu przeglądowi, w czasie którego nie wykryto jakichkolwiek istotnych konstruktorskich niedociągnięć, a więc bezpośrednia przyczyna powstawania „syndromu pingwina" nadal ukryta jest we mgle niejasności. (Zresztą, chcąc sprowadzić ryzyko do zera, Zarząd Floty Kosmicznej wycofał „pingwina" z linii pasażerskich i zalecił przystosowanie go do pilotów automatycznych). Przypadki „syndromu pingwina" zaczęły gwałtownie maleć i o ile wiem, ostatni był zarejestrowany trzynaście lat temu.

Jednak nadal nie byłem usatysfakcjonowany. Niepokoiło mnie te 22 procent badanych, których związki ze statkami typu „Widmo-17-pingwin" pozostawały niejasne. Z tych 22 procent (według danych doktora Moebiusa) 7 procent nigdy nie widziało „pingwina" na oczy, a pozostałe 15 procent nie mogło na ten temat powiedzieć nic rozsądnego; albo nie pamiętali, albo nigdy nie interesowały ich typy statków, na których wychodzili w kosmos.

Rzecz jasna, znaczenie statystyki w hipotezie o związku „pingwinów" z powstawaniem fobii nie ulega żadnej kwestii. Jednak 22% to wcale nie mało. Ponownie poddałem materiały Moebiusa wielopłaszczyznowej analizie według dwudziestu dodatkowych parametrów, przy czym parametry te wybierałem, przyznaję, najzupełniej przypadkowo, ponieważ nie miałem w zapasie żadnej, nawet najskromniejszej, hipotezy. Parametry były na przykład takie: daty startów z dokładnością do miesiąca, miejsce urodzenia z dokładnością do regionu, hobby z dokładnością do klasy... i tak dalej...

Jednakże sprawa okazała się nad wyraz prosta i tylko odwieczne przywiązanie ludzkości do przekonania o izotropowości Wszechświata nie pozwoliło doktorowi Moebiusowi zauważyć tego, co mnie udało się dostrzec. Stwierdziłem co następuje: „syndrom pingwina" atakował ludzi latających trasami kosmicznymi na Saule, na Redutę i na Kasandrę. Inaczej mówiąc przez podprzestrzenny sektor przejścia 41/02.

„Widmo-17-pingwin" nie był niczemu winien. Po prostu znakomitą większość statków w tym czasie (początek lat sześćdziesiątych) bezpośrednio z doków kierowano na trasę Ziemia – Kasandra – Zefir i Ziemia – Raduta – EN 2105. 80% statków na tych trasach stanowiły wówczas „pingwiny". W ten sposób staje się jasne 78% doktora Moebiusa. Co zaś dotyczy pozostałych 22% chorych, to 20 latało tą trasą na statkach innego typu, a reszta, czyli 2%, nie latała nigdy i nigdzie, ale to nie odgrywa już żadnej roli.

2. Dane doktora Moebiusa są z całą pewnością niepełne. Wykorzystując zebrane przez niego historie choroby, a także dane archiwów Zarządu Floty Kosmicznej, stwierdziłem, że w interesującym nas okresie wymienioną trasą podróżowało 4512 osób w obie strony, spośród których 183 ludzi wielokrotnie (przede wszystkim członkowie załóg). Ponad dwie trzecie tej grupy nigdy nie znalazło się w polu widzenia doktora Moebiusa. Nasuwa się wniosek, że albo okazali się odporni na „syndrom pingwina", albo z nieznanych nam przyczyn nie uznali za konieczne zwracać się do lekarza. W związku z tym wydało mi się nadzwyczaj ważne ustalenie:

– czy byli wśród członków tej grupy ludzie, którzy okazali się odporni na syndrom;

– jeśli tacy byli, stwierdzić, czy nie da się ustalić przyczyn tej odporności albo chociażby bio-socjo-psychologicznych parametrów, według których osoby te różnią się od podatnych na chorobę.

Z tymi pytaniami zwróciłem się do doktora Moebiusa. Odpowiedział mi, że ten problem nigdy go nie interesował, ale intuicyjnie skłonny był przypuszczać, że istnienie tego rodzaju parametrów jest bardzo mało prawdopodobne. W odpowiedzi na moją prośbę zgodził się zlecić zbadanie tego problemu jednemu ze swych laborantów, ostrzegając mnie, że na rezultaty przyjdzie czekać co najmniej dwa, trzy miesiące.

Aby nie tracić czasu, rozpocząłem poszukiwania w archiwach Centrum Medycznego Zarządu Floty Kosmicznej i spróbowałem przeanalizować dane dotyczące wszystkich 124 pilotów, którzy regularnie latali interesującą nas trasą, w interesującym nas czasie.

Elementarna analiza dowiodła, że w każdym razie dla pilotów prawdopodobieństwo zachorowania na „syndrom pingwina" wynosi mniej więcej 1/3 i NIE ZALEŻY od liczby rejsów na „niebezpiecznej" trasie. Tak więc wydaje się bardzo możliwe, że: a) dwie trzecie ludzi jest odpornych na „syndrom pingwina" i b) człowiek pozbawiony odporności ma szanse zachorować z prawdopodobieństwem bliskim 1. Właśnie dlatego kwestia odróżnienia człowieka uodpornionego od nieodpornego wydaje się szczególnie interesująca.

3. Uważam za konieczne dosłowne przytoczenie uwag doktora Moebiusa zawartych w przypisach do jego artykułu »Raz jeszcze o etiologii „syndromu pingwina"«. Doktor Moebius pisze:

„Otrzymałem interesującą informację od kolegi Kriwokłykowa (krymska filia Drugiego Instytutu Medycyny Kosmicznej). Po publikacji mojego referatu na ryską konferencję napisał do mnie, że od wielu miesięcy śnią mu się sny, których fabuła jest niezwykle podobna do koszmarów dręczących chorych dotkniętych „syndromem pingwina" – wydaje mu się, że jest zawieszony w przestrzeni kosmicznej, daleko od gwiazd i planet, nie czuje swojego ciała, ale widzi je, podobnie jak nieprzeliczone obiekty kosmiczne, zarówno fantastyczne, jak i realne. Ale w odróżnieniu od innych chorych nie odczuwa przy tym żadnych negatywnych emocji. Przeciwnie, przeżycia te wydają mu się interesujące i przyjemne. Ma wrażenie, że jest samodzielnym ciałem niebieskim, które porusza się po wybranej przez siebie trajektorii. Sam ten ruch daje mu zadowolenie, ponieważ zmierza do określonego celu, obiecującego mnóstwo ciekawych przeżyć. Widok konstelacji gwiezdnych wywołuje u niego uczucie niepojętego zachwytu itd. Przyszło mi do głowy, że w osobie kolegi Kriwokłykowa mamy do czynienia z przypadkiem pewnej inwersji „syndromu pingwina", która w świetle zreferowanych przeze mnie w artykule wyników badań może być niezmiernie interesująca teoretycznie. Jednakże rozczarowałem się – okazało się, że kolega Kriwokłykow nigdy nie podróżował na gwiazdolotach typu „Widmo-17-pingwin". Niezależnie od tego wciąż mam nadzieję, że inwersja „syndromu pingwina" jednak realnie istnieje jako zjawisko psychiczne i będę wdzięczny każdemu lekarzowi, który zechce nadesłać mi jakiekolwiek nowe dane dotyczące tego tematu".

Informacja:

Kriwokłykow Iwan Georgiewicz, lekarz psychiatra bazy „Lemboy" (EN 2105), w interesującym nas okresie niejednokrotnie przebywał trasę Ziemia – Reduta – EN 2105 na gwiazdolotach różnych typów. Zgodnie z danymi WMI Kriwokłykow w chwili obecnej znajduje się w bazie „Lemboy".

W czasie mojej rozmowy z doktorem Moebiusem dowiedziałem się, że w ostatnich latach stwierdził „pozytywną" inwersję „syndromu pingwina" jeszcze u dwóch ludzi. Odmówił podania ich nazwisk ze względu na obowiązujące go zasady etyki lekarskiej.

Nie podejmuję się komentowania zjawiska inwersji „syndromu pingwina" w szczegółach, jednakże wydaje mi się oczywiste, że nosicieli tej inwersji powinno być więcej niż jest to nam wiadome obecnie.

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu 3)

Dokument nr 3 przytoczyłem tu nie tylko dlatego, że był to jeden z najbardziej obiecujących raportów złożonych przez Tojwo Głumowa. Czytając go wciąż od nowa, poczułem, że – jak mi się wydaje – po raz pierwszy wpadliśmy na prawdziwy trop, chociaż wtedy nawet mi do głowy nie przyszło, że od niego rozpocznie się łańcuch wydarzeń, które odegrają decydującą rolę w moim związku z Wielką Iluminacją.

21 marca przeczytałem meldunek Tojwo o „syndromie pingwina".

25 marca Szaman urządził swoją demonstrację w Instytucie Dziwaków (dowiedziałem się o tym dopiero w kilka lat później).

A 27 marca Tojwo przedstawił mi raport-meldunek w sprawie fukamifobii.

DOKUMENT 4

RAPORT-MELDUNEK
nr 013/99

KOMKON-2
Ural-Północ

Data: 26 marca 99 roku
Autor: Tojwo Głumow, inspektor
Temat: 009 „Wizyta starszej pani"
Treść: fukamifobia, historia poprawki do „Prawa o obowiązkowej bioblokadzie".

Analizując wypadki powstawania masowych fobii w ciągu ostatnich stu lat, doszedłem do wniosku, że w ramach tematu 009 mogą być dla nas interesujące wydarzenia, które poprzedzały przyjęcie 2.02.85 roku przez Światową Radę znanej poprawki do „Prawa o bioblokadzie".

Należy wziąć pod uwagę:

1. Bioblokada czyli Procedura Tokijska jest systematycznie stosowana na Ziemi i na Peryferiach przez

dodać nieuniknione stresy fizyczne, nieuniknione neurotyczne zjawiska... Wszystko to, mówiąc z grubsza, stanowi grunt sprzyjający powstawaniu fobii. Jednakże wyciąganie wniosku, że tego rodzaju spekulacjami można cokolwiek wyjaśnić w tej zdumiewającej historii? To byłoby przedwczesne. Zdecydowanie przedwczesne i niepoważne.

Pytanie: Czy istnieją jakieś różnice między kobietami, które nie zgodziły się na szczepienie, a innymi? Fizjologiczne, psychiczne... Czy przeprowadzano badania tego rodzaju?

Odpowiedź: Mnóstwo. I nic konkretnego nie udało się stwierdzić. Ja osobiście zawsze uważałem i uważam do dzisiaj, że fukamifobia to fobia uniwersalna, jak na przykład fobia na zero-przejścia. Tylko że fobia na zero-przejścia jest zjawiskiem bardzo rozpowszechnionym, lęk przed pierwszym zero-przejściem odczuwa praktycznie każdy człowiek niezależnie od płci i zawodu, później ten lęk mija bez śladu... fukamifobia zaś jest zjawiskiem bardzo rzadkim, na szczęście. Mówię „na szczęście", ponieważ do tej pory nie umiemy fukamifobii leczyć.

Pytanie: Jeśli pana dobrze zrozumiałem, profesorze, nie znamy ani jednej konkretnej przyczyny wywołującej fukamifobię?

Odpowiedź: Potwierdzonej przyczyny nie znamy. Istnieje natomiast mnóstwo, dziesiątki hipotez.

Pytanie: Na przykład?

Odpowiedź: Na przykład propaganda przeciwników fukamizacji. Na wrażliwą naturę, do tego jeszcze w ciąży, tego rodzaju propaganda mogła wywrzeć określony wpływ. Albo, powiedzmy, hipertrofia instynktu macierzyńskiego, instynktowna potrzeba uchronienia swojego dziecka od jakichkolwiek zewnętrznych czynników, chociażby nawet pożytecznych... Chce pan zaprzeczyć? Nie trzeba. Zupełnie się z panem zgadzam. Te wszystkie hipotezy w najlepszym wypadku wyjaśniają tylko nadzwyczaj wąski zestaw faktów. Jeszcze nikomu nie udało się wyjaśnić zjawiska „łańcucha odmowy" ani geograficznych osobliwości zjawiska... i absolutnie nikt nie rozumie, dlaczego to wszystko zaczęło się akurat na wiosnę 81 roku i to nie tylko na Ziemi, ale i bardzo daleko od Ziemi...

Pytanie: A dlaczego to się skończyło w 85 roku, to można objaśnić?

Odpowiedź: A wie pan, że można. Niech pan sobie wyobrazi, że sam fakt przyjęcia Poprawki mógł odegrać wystarczającą rolę w wygaśnięciu epidemii. Oczywiście, nadal zostaje wiele niejasności, ale to są szczegóły.

Pytanie: Czy nie sądzi pan, że epidemia mogła powstać w wyniku jakichś nieostrożnych eksperymentów?

Odpowiedź: Teoretycznie jest to możliwe. W swoim czasie sprawdzaliśmy i tę hipotezę. Żadnych eksperymentów, które mogłyby spowodować masowe fobie na Ziemi się nie przeprowadza. Poza tym, niech pan nie zapomina, że fukamifobia powstała jednocześnie i poza granicami Ziemi...

Pytanie: A jakiego rodzaju eksperymenty mogłyby wywołać fobie?

Odpowiedź: Zapewne wyraziłem się niezbyt precyzyjnie. Mogę wyliczyć cały szereg, jeśli tak można powiedzieć, technicznych sposobów za pomocą których u pana, u zdrowego człowieka, można wywołać jakąś tam fobię. Proszę zwrócić uwagę – właśnie JAKĄŚ TAM. Na przykład będę pana naświetlać przy określonym reżymie koncentratem Neutrino i wywołam u pana fobię. Ale jaka to będzie fobia? Lęk próżni? Lęk wysokości? Lęk lęku? Tego nie mogę z góry przewidzieć. A o tym, żeby wywołać u człowieka taką specyficzną fobię jak fukamifobia, lęk przed fukamizacją... nie, o tym nie może być mowy. Może tylko w połączeniu z hipnozą? Ale jak to zrealizować praktycznie? Nie, nie, to jest niepoważne.

4. Przy całej swojej geograficznej (i kosmograficznej) specyfice, przypadki fukamifobii pozostały jednak zjawiskiem nadzwyczaj rzadkim w praktyce lekarskiej i same z siebie raczej nie doprowadziłyby do zmian w prawodawstwie. Jednakże epidemia fukamifobii bardzo szybko z problemu medycznego stała się problemem o charakterze społecznym.

Sierpień 81. Pierwsze zarejestrowane protesty ojców, noszące jeszcze prywatny charakter (skargi do miejscowych i regionalnych instytucji medycznych, pojedyncze listy do miejscowych Rad.)

Październik 81. Pierwsza zbiorowa petycja 124 ojców i dwóch lekarzy położników do Komisji Ochrony Macierzyństwa i Małego Dziecka przy Radzie Światowej.

Grudzień 81. Na XVII Światowym Kongresie Stowarzyszenia Położników po raz pierwszy występują przeciwko fukamizacji grupy lekarzy i psychologów.

szczęśliwym wypadku. Rodząca B. (pierwszy poród) nawet niczego nie próbowała uzasadniać, a najmniejsze próby przekonania jej powodowały histerię. „Nie chcę i koniec!" – powtarzała. Rodząca C. (trzeci poród, protestowała po raz pierwszy) zachowywała się bardzo rozsądnie i spokojnie, i uzasadniała swoją decyzję niechęcią do decydowania o losie dziecka bez jego wiedzy i zgody. „Jak urośnie, niech samo decyduje" – oświadczyła.

(Cytuję te uzasadnienia dlatego, że są bardzo typowe. Z pewnymi wariacjami argumentacja powtarzała się w 95% przypadków. W literaturze przedmiotu przyjęta jest następująca klasyfikacja. Odmowa zgody typu A – w pełni racjonalna, ale uzasadnienie w zasadzie nie do sprawdzenia, 25%. Odmowa typu B – fobia w czystej formie, zachowanie histeryczne, irracjonalne, 65%. Odmowa typu C – argumenty natury etycznej, 10%. Typ R (rzadki) – nadzwyczaj różnorodne w formie i treści odwoływanie się do przyczyn natury religijnej, związki z egzotycznymi systemami filozoficznymi itd., około 5%.

18 kwietnia, w tym samym szpitalu, nie wyraziły zgody jeszcze dwie kobiety, podobne odmowy zarejestrowano na innych oddziałach położniczych regionu. Pod koniec miesiąca tego rodzaju przypadki liczono już w setki i rejestrowano je we wszystkich zakątkach naszego globu, a 5 maja przyszła pierwsza wiadomość o odmowie już poza granicami Ziemi (Mars, Wielki Syrt). Epidemia, wybuchając i opadając, trwała do 85 roku, tak że w momencie przyjęcia Poprawki liczba kobiet odmawiających zgody na szczepienie wyniosła około 50 000 (0,1% wszystkich rodzących).

Rozwój epidemii pod kątem fenomenologii zbadany został bardzo dokładnie i z wysokim stopniem wiarygodności, jednakże pomimo to nie udało się znaleźć przekonywającego wyjaśnienia.

Stwierdzono na przykład, że epidemia miała jakby dwa geograficzne ośrodki – jeden w Afryce równikowej i drugi na północno-wschodniej Syberii. Narzuca się analogia z prawdopodobnymi ośrodkami powstania człowieka, ale analogia ta, rzecz jasna, niczego nie wyjaśnia.

Drugi przykład. Odmowy były zawsze indywidualne, jednakże w granicach każdego oddziału położniczego kolejna odmowa jakby powodowała następną. Stąd określenie „łańcuch odmów z N ogniw". Liczba N mogła być bardzo znaczna – na oddziale położniczym kliniki w Howeko „łańcuch odmowy" zaczął się 11.09.83 roku i trwał do 21.09. wciągając wszystkie rodzące, które były przyjęte do szpitala, tak że ostateczna długość „łańcucha" wyniosła 19 kobiet.

W niektórych szpitalach epidemia wybuchała i wygasała wielokrotnie. Na przykład w Bernie, w Pałacu Niemowlęcia powracała dwanaście razy.

Pomimo wszystkiego, co zostało powiedziane, w znakomitej większości szpitali na Ziemi nikt o odmowach nawet nie słyszał. Podobnie rzecz się miała w większości pozaziemskich kolonii. Jednakże w tych miejscowościach, w których wybuchała epidemia (Wielki Syrt, baza Saula, Kurort), rozwijała się według tych samych prawidłowości co na Ziemi.

3. Na temat przyczyn powstania fukamifobii istnieje dość obszerna literatura. Zaznajomiłem się z najbardziej istotnymi pozycjami, które zarekomendował mi profesor Deruyod z Centrum Psychologii w Lhassie. Jestem zbyt słabo przygotowany, aby sporządzić kompetentny przegląd tych prac, ale wydaje mi się, na ile mogę sądzić, że nie istnieje jakakolwiek spójna teoria dotycząca fukamifobii. Dlatego ograniczę się do przytoczenia fragmentu mojej rozmowy z profesorem Deruyodem.

Pytanie: Czy uważa pan za możliwe, aby fobia powstała u człowieka zdrowego i zadowolonego z siebie?

Odpowiedź: Szczerze mówiąc uważam to za niemożliwe. Fobia u zdrowego człowieka powstaje zawsze jako skutek przeciążenia psychicznego bądź fizycznego. Jest raczej wątpliwe, czy taki człowiek może być zadowolony z siebie. Inna rzecz, że człowiek, szczególnie w naszych burzliwych czasach, nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, że przechodzi kryzys... Subiektywnie może uważać, że jest absolutnie w porządku, może być zadowolony i pojawienie się fobii z punktu widzenia dyletanta może wydawać się niepojęte...

Pytanie: Czy dotyczy to również fukamifobii?

Odpowiedź: Wie pan, ciąża z pewnego punktu widzenia do dziś jeszcze okryta jest tajemnicą... Wystarczy powiedzieć, że dopiero bardzo niedawno zrozumieliśmy, że psychika ciężarnej kobiety jest psychiką binarną, wynikiem diabelnie skomplikowanego oddziaływania ukształtowanej już psychiki dorosłego człowieka i antenatalnej psychiki płodu, o której dzisiaj praktycznie nie wiemy nic... A jeżeli

około 150 lat. Bioblokada jest terminem nienaukowym, używanym na ogół przez dziennikarzy. Lekarze specjaliści nazywają ten zabieg fukamizacją na cześć sióstr Natalii i Hosiko Fukami, które po raz pierwszy uzasadniły teoretycznie i zastosowały ten zabieg w praktyce. Celem fukamizacji jest podwyższenie naturalnego poziomu zdolności adaptacyjnej organizmu ludzkiego do zewnętrznych warunków (bioadaptacja). W swojej klasycznej formie fukamizację stosuje się wyłącznie wobec noworodków, zaczynając od ostatniego okresu rozwoju płodu. O ile udało mi się stwierdzić, zabieg ten podzielony jest na dwa etapy.

Wprowadzenie surowicy (kultura „bakterii życia") o kilka rzędów wielkości zwiększa odporność organizmu na wszelkie znane infekcje wirusowe, bakteryjne, zarodnikowe, a także na wszelkie trucizny organiczne. (I to jest właściwa bioblokada).

Odhamowywanie podwzgórza mikrofalami wielokrotnie podwyższa zdolność organizmu do przystosowywania się do takich fizycznych czynników środowiska zewnętrznego jak twarde promieniowanie, szkodliwy skład atmosfery, wysokie temperatury. Poza tym wielokrotnie wzrastają regeneracyjne zdolności organizmu, zwłaszcza jeżeli chodzi o uszkodzone organy wewnętrzne, zwiększa się zakres widma świetlnego, które odbiera siatkówka, wzmacnia się podatność na psychoterapię itd.

Pełny tekst instrukcji dotyczącej fukamizacji przytaczam poniżej.

2. Fukamizację stosowano do 85 roku jako zabieg obowiązkowy zgodnie z prawem „O obowiązkowej bioblokadzie". W 82 roku pod obrady Światowej Rady wniesiono projekt poprawki przewidującej zniesienie obowiązku fukamizacji dla noworodków urodzonych na Ziemi. Poprawka przewidywała zmianę fukamizacji na tak zwaną szczepionkę dojrzałości, przeznaczoną dla osób, które ukończyły szesnaście lat. W 85 roku Rada Światowa (większością zaledwie 12 głosów) przyjęła poprawkę do „Ustawy o obowiązkowej bioblokadzie". Zgodnie z tą poprawką obowiązek fukamizacji został zniesiony, jej stosowanie zależy wyłącznie od zgody rodziców. Osoby, które nie przeszły fukamizacji w wieku niemowlęcym, otrzymały prawo, w myśl którego mogły się następnie nie zgodzić na „szczepionkę dojrzałości", jednakże w takim wypadku traciły one możliwość pracy w zawodach związanych ze znacznymi fizycznymi i psychicznymi obciążeniami. Według danych WMI, w chwili obecnej żyje na Ziemi około miliona nastolatków, które nie przeszły fukamizacji i około dwudziestu tysięcy osób, które nie zgodziły się na „szczepionkę dojrzałości".

INSTRUKCJA

w sprawie przeprowadzenia etapowej antenatalnej i postnatalnej fukamizacji noworodka

1. Ustalić ścisły termin początku akcji porodowej metodą całkowitej parzystej. Zalecane metody diagnozowania: radioimmunologiczny analizator NIMB, zestaw FDH-4 i FDH-8.

2. Nie później niż 18 godzin przed pierwszymi skurczami macicy określić objętość płodu i objętość wód płodowych ODDZIELNIE.

Uwaga: poprawkę Lazarewicza stosować OBOWIĄZKOWO! Obliczenia przeprowadzać WYŁĄCZNIE według normografów Instytutu Bioadaptacji, biorąc pod uwagę różnice rasowe.

3. Ustalić niezbędną dawkę surowicy UNBLAF. Pełną, stabilną i trwałą immunizację na białkowe czynności i związki organiczne białkopodobne oraz struktury gantoidalne otrzymujemy przy dawce 6.8094 gamma-molów na gram tkanki limfoidalnej.

Uwaga: A) Przy indeksie objętości mniejszej niż 3.5 dawkę zwiększa się o 16%;

B) Przy ciąży wielorakiej łączna dawka surowicy musi być zmniejszona o 8% na każdy płód (bliźnięta – 8%, trojaczki – 16% itd.).

4. Na sześć godzin przed pierwszymi skurczami poprzez przednią ścianę brzucha w jamę owodni wprowadzić za pomocą zero-iniektora obliczoną dawkę surowicy UNBLAF. Wprowadzać surowicę od strony przeciwnej niż plecy płodu.

5. 15 minut po urodzeniu wykonać scyntygrafię grasicy noworodka. Przy indeksie grasicy mniejszym niż 3.8 wprowadzić dodatkowo przez pępowinę 2.6750 gamma-molów surowicy UNBLAF-II.

6. W razie podwyższenia temperatury NATYCHMIAST umieścić noworodka w sterylnym inkubatorze. Pierwsze karmienie piersią dopuszczalne jest dopiero po 12 godzinach normalnej temperatury.

7. 72 godziny po urodzeniu przeprowadza się odhamowanie adaptacyjnych stref podwzgórza. Topo-

graficzne określenie stref oblicza się według programu BINAR-I. Objętość stref podwzgórza powinna odpowiadać:

I – strefa – 36 42 neurony
II strefa – 178–194 neurony
III strefa – 125–139 neuronów
IV strefa – 460–510 neuronów
V strefa – 460–510 neuronów

Uwaga: przy przeprowadzaniu pomiarów należy upewnić się o całkowitym zaabsorbowaniu porodowej hematomy.

Otrzymane dane należy wprowadzić do BIO-IMPULSU.

RĘCZNA KOREKTA IMPULSU JEST KATEGORYCZNIE ZAKAZANA!

8. Umieścić noworodka w operacyjnej komorze BIO-IMPULSU. Przy umiejscawianiu główki SPECJALNIE UWAŻAĆ, żeby odchylenie według skali „stereotaks" wynosiło nie więcej niż 0.0014.

9. Odhamowywanie adaptacyjnych stref podwzgórza mikrofalami przeprowadza się w paradoksalnej fazie snu, co odpowiada 1,8–2,1 mw rytmu alfa encefalogramu.

10. Wszystkie obliczenia muszą być OBOWIĄZKOWO odnotowane w karcie informacyjnej noworodka.

Jeżeli chodzi o istotę wydarzeń, które poprzedzały w 85-ym roku przyjęcie poprawki do „Ustawy o bioblokadzie" ustaliłem co następuje:

1. W ciągu stu pięćdziesięciu lat praktykowania fukamizacji nie odnotowano ani jednego przypadku, w którym fukamizacja zaszkodziłaby dziecku. Dlatego nie ma nic zaskakującego w stwierdzeniu, że do wiosny 81 roku brak zgody matek na fukamizację należał do niezmiernie rzadkich wyjątków. Zdecydowana większość lekarzy, z którymi się konsultowałem, do wyżej wymienionej daty w ogóle nie słyszała nigdy o takich przypadkach. Zaś wystąpienia przeciwko fukamizacji o charakterze teoretycznym oraz propagandowym zdarzały się często. Oto najbardziej charakterystyczne publikacje w naszym stuleciu:

Ch. Debouque „Skonstruować człowieka?" Lyon, 32.

Pośmiertne wydanie ostatniej książki wybitnego (zapomnianego dzisiaj) antyeugenika. Druga część książki jest w całości poświęcona krytyce fukamizacji, określonej jako „bezpardonowe, a zarazem podstępne wtargnięcie w naturalny stan żywego organizmu". Podkreśla nieodwracalny charakter zmian, spowodowanych przez fukamizację („... nigdy i nikomu nie udało się ponownie zahamować odhamowanego podwzgórza..."), ale główny nacisk kładzie się na tę okoliczność, że ów typowo eugeniczny zabieg, poparty autorytetem ogólnoświatowego prawa, od bardzo wielu już lat stanowi szkodliwy precedens dla przeprowadzania nowych eksperymentów eugenicznych.

K. Pumiwur „Reader – prawa i obowiązki" Bangkok, 15.

Autor, wiceprezydent Światowego Stowarzyszenia Readerów, jest zwolennikiem maksymalnie aktywnego uczestnictwa we wszystkich działaniach ludzkości. Występuje przeciwko fukamizacji, opierając się na osobiście zebranych danych statystycznych. Twierdzi, że fukamizacja wpływa negatywnie na powstawanie u człowieka reader-potencjału i chociaż relatywnie ilość readerów nie uległa zmniejszeniu w epoce fukamizacji, jednakże w tym okresie nie pojawił się ani jeden reader, którego moc dałaby się porównać z mocą tych, którzy działali pod koniec 21-ego i na początku 22-ego wieku. Wzywa do zmiany dekretu o przymusowej fukamizacji, na początek chociażby dla dzieci i wnuków readerów. (Wszystkie materiały zawarte w książce zestarzały się beznadziejnie – w trzydziestych latach pojawiła się cała plejada readerów o niebywałej mocy – Aleksander Solemba, Peter Dzmomny i inni).

August Ksesys „Kamień obrazy" Ateny, 37

Znany teoretyk i misjonarz neofilizmu poświęcił swoją broszurę gwałtownej krytyce fukamizacji, zresztą krytyce raczej poetyckiej niż racjonalnej. W ramach pojęć neofilizmu, jako oryginalnej wulgaryzacji teorii Iakowtza, Wszechświat jest kontenerem nookosmosu, do którego po śmierci wpływa mentalno-emocjonalny kod osoby ludzkiej. Jak można sądzić, Ksesys nie ma pojęcia o fukamizacji, wyobraża ją sobie jako coś w rodzaju apendektomii i namiętnie wzywa do wyrzeczenia się brutalnego zabiegu, który okalecza i deformuje mentalno-emocjonalny kod. (Według danych WMI po przyjęciu poprawki ani jeden z członków kongregacji neofilistów nie zgodził się na fukamizację swoich dzieci).

J. Tosyvill „Człowiek zuchwały". Birmingham, 51.

Ta monografia reprezentuje dosyć typowy przykład całej biblioteki książek i broszur poświęconej propagandzie likwidacji postępu technicznego. Dla wszystkich tego rodzaju publikacji charakterystyczna jest apologia spetryfikowanych cywilizacji w rodzaju cywilizacji Tagory albo biocywilizacji Leonidy. Autorzy twierdzą, że postęp techniczny na Ziemi spełnił już swój cel. Ekspansja człowieka w Kosmosie potraktowana jest jako swego rodzaju społeczna rozrzutność, w perspektywie prowadząca do okrutnego rozczarowania. Człowiek Rozumny przekształca się w człowieka Zuchwałego, który w pogoni za ilością racjonalnej i emocjonalnej informacji traci jej jakość. (Należy przyz to rozumieć, że informacja w psychokosmosie ma nieporównywalnie większą wartość niż informacja o Zewnętrznym Kosmosie w najszerszym sensie tego słowa). Fukamizacja okazuje ludzkości niedźwiedzią przysługę właśnie dlatego, że sprzyja wyrodzeniu się Człowieka Rozumnego w Człowieka Zuchwałego, rozszerzając i faktycznie stymulując jego ekspansjonistyczne instynkty. Autorzy tych książek proponują, aby na początek odstąpić chociażby od odhamowywania podwzgórza.

K. Oksowiju „Ruch pionowy". Kalkuta, 61.

K. Oksowiju – kryptonim uczonego albo też grupy uczonych, którzy sformułowali i wprowadzili do obiegu znaną teorię tak zwanego pionowego postępu ludzkości. Pseudonimów nie udało mi się rozszyfrować. Mam podstawy przypuszczać, że K. Oksowiju to albo przewodniczący KOMKONu-1, Genadij Kosmow, albo ktoś z jego zwolenników z Akademii Społecznego Prognozowania. Książka, o której mowa, jest pierwszą monografią „Wertykalistów". Rozdział szósty poświęcony jest szczegółowej analizie wszystkich aspektów fukamizacji – biologicznych, społecznych i etycznych – z punktu widzenia teorii pionowego postępu. Podstawowe niebezpieczeństwo fukamizacji autor upatruje w możliwości jej niekontrolowanego wpływu na genotyp. Na potwierdzenie tych obaw autor przytacza po raz pierwszy (o ile udało mi się stwierdzić) dużo danych o wielu przypadkach dziedziczenia cech organizmu poddanego fukamizacji. Omówiono ponad sto przypadków, w których embrion jeszcze w łonie matki produkował przeciwciała, charakterystyczne dla skutków działania surowicy UNBLAF i ponad dwieście przypadków noworodków, które dziedzicznie miały już odhamowane podwzgórze. Ponadto zarejestrowano ponad trzydzieści przypadków przekazywania tych cech w trzecim pokoleniu. Autor podkreśla, że chociaż zjawiska te nie stanowią bezpośredniego niebezpieczeństwa dla zdecydowanej większości ludzi, niemniej są jaskrawą ilustracją faktu, że fukamizacja wcale nie jest tak dokładnie zbadana, jak twierdzą jej zwolennicy. Nie sposób nie zauważyć, że materiał został zebrany z niezwykłą starannością i podany niezmiernie sugestywnie. Na przykład kilka efektownych akapitów poświęconych jest tak zwanym alergikom G, dla których odhamowywanie podwzgórza jest przeciwwskazane. G – alergia jest niezwykle rzadkim stanem organizmu, który to stan można bardzo łatwo stwierdzić u płodu jeszcze w łonie matki i dlatego nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa – takiego noworodka po prostu nie poddaje się drugiemu etapowi fukamizacji. Jeśli zaś odhamowanie podwzgórza będzie G-alergikowi przekazane jako cecha dziedziczna, medycyna okaże się bezsilna i przyjdzie na świat człowiek nieuleczalnie chory. K. Oksowiju udało się wykryć jeden taki przypadek i nie szczędzi czarnej farby przy jego omawianiu. Jeszcze bardziej apokaliptyczny obraz maluje autor opisując świat przyszłości, w którym ludzkość pod wpływem fukamizacji rozpada się na dwa genotypy. Monografię tę wydawano wielokrotnie i odegrała ona najwidoczniej niepoślednią rolę w dyskusji nad Poprawką. Interesujący natomiast jest fakt, że ostatnie wydanie książki (Los Angeles 99) nie zawiera ani słowa o fukamizacji. Można to zrozumieć tylko w taki sposób, że autor jest w pełni usatysfakcjonowany przyjęciem Poprawki i los 99,9...% ludzkości, która w dalszym ciągu poddaje swoje dzieci fukamizacji absolutnie go nie interesuje.

Uwaga: kończąc ten rozdział, uważam za konieczne podkreślić, że wybór materiałów przeprowadzałem według zasady oryginalności zawartych w nich koncepcji kierując się moim osobistym punktem widzenia. Z góry przepraszam, jeśli niezbyt wysoki poziom mojej erudycji wywoła niezadowolenie.

2. Najwidoczniej pierwsza odmowa poddania dziecka fukamizacji, która pociągnęła za sobą całą epidemię, została zarejestrowana w izbie porodowej osiedla K'sawa (Afryka równikowa). 17.04.81 roku wszystkie trzy rodzące, które zostały przyjęte w ciągu doby, zupełnie niezależnie od siebie, w różnej formie, ale absolutnie kategorycznie zabroniły personelowi szpitalnemu dokonywania fukamizacji. Rodząca A. (pierwszy poród) motywowała swój zakaz życzeniem męża, który niedawno zginął w nie-



Mirosław
P. Jabłoński

CZAS WODNIKA

I Od kilku dni panował ciężki upał. Powietrze stało w miejscu i Hoover ze zbolałą miną snuł się od rana po domu nie wiedząc, co począć. Wmawiał sobie, że jego stan jest wynikiem pogody, ale to nie była prawda. Także z powodu urlopu czuł się podle. Inspektor nie znosił urlopów i nie potrafił na to poradzić. Nie wykształcił w sobie umiejętności spędzania wolnego czasu, co teraz mściło się na nim okrutnie. Inspektor Edwin Hoover umiał tylko pracować, a z kolei charakter pracy nie przysparzał mu ani przyjaciół, ani kolegów. Oczywiście, nie licząc kolegów z pracy, ale na ich towarzystwo nie miał najmniejszej ochoty.

Hoover nie założył rodziny. Uznał, że charakter jego pracy nie pozwala na posiadanie żony i dzieci. Przyjaciółki miewał rzadko. Seks – zdaniem Hoovera – był śmieszny, a uprawianie go – poniżające, toteż jego dziewczyny szybko rezygnowały z uczynienia go otwartym i spontanicznym. W końcu Hoover doszedł do wniosku, że akt kupna i sprzedaży czyni miłość fizyczną mniej śmieszną i mniej poniżającą. Jedyną w ogóle możliwą do przyjęcia i uczciwą. Kupując był pewny, że jego godność w tej transakcji nie tylko nie ucierpi, ale nawet nie uczestniczy, jak podczas zakupów w markecie.

Dopracowawszy się tej filozofii, Hoover poczuł się niemal szczęśliwy. Najgorszy problem został rozwiązany. Inspektor pracował cały tydzień, weekend spędzał w wiadomy sposób i wszystko to funkcjonowało do czasu, gdy wreszcie kazano mu wykorzystać zaległe urlopy. To był cios. Urlopów uzbierało się tyle, że Hoover mógł się obawiać, iż na urlopie doczeka emerytury. Chodził po domu i nudził się, bo nie wykształcił w sobie żadnych zainteresowań poza zawodowymi. Nie polował, niczego nie kolekcjonował, nie uprawiał sportów poza strzelaniem do tarczy i walką wręcz. Przemyśliwał nad tym, że przecież ciągle zdarzają się odwołania inspektorów z urlopów. Cała literatura sensacyjna jest takimi przypadkami wprost naszpikowana! Dlaczego więc jego nie wzywają? Czy mają dość ludzi? Na pewno nie, ale zawzięli się, by wreszcie można było zamknąć statystykę firmy.

Wyszedł przed dom. Parne powietrze niemal go ogłuszyło. Odetchnął raz i drugi czując, że prawie się dusi. Powoli przychodził do siebie po wyjściu z klimatyzowanego wnętrza. Postał chwilę przy drzwiach nasłuchując zbawczego dzwonka holofonu, a nie usłyszawszy go powlókł się na basen. Na brzegu długo myślał, czy warto skoczyć do ciepłej jak zupa wody. Ostatecznie ruszył do nastawni, by włączyć urządzenie wytwarzające fale. Wrócił, stanął na słupku i właśnie przymierzał się do skoku, gdy usłyszał stłumiony terkot. Chcąc się zatrzymać, wykonał niezgrabny krok w powietrzu i runął do wody. Wściekłymi wymachami rąk wydobył się na powierzchnię, chwycił się brzegu basenu i wykasłując wodę podciągnął się w górę. Pognał do domu. Drzwi nie zdążyły się przed nim całkowicie otworzyć, więc dopadł aparatu poturbowany. Przed ociekającym wodą Hooverem zmaterializował się Szef Inspektoratu, Kenzo Akado. Hoover zamierzał zasalutować, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i niezdarnie odgarnął mokre włosy z czoła.

– Witaj, chłopcze – powiedział Akado poprawiając się w swoim skórzanym fotelu.

Towarzyszyło temu znajome skrzypienie i Hoover dopiero teraz poczuł się jak w domu. Akado był stary, siwy, pomarszczony jak zleżałe jabłko i sympatyczny jak gnom.

– Witam pana – powiedział grzecznie Hoover, a w duszy narastał mu radosny niepokój.

– Przepraszam, że cię niepokoję podczas wypoczynku – Akado przeleciał wzrokiem po stojącym w kałuży wody inspektorze – ale zaszły pewne sprawy...

Hoover wypuścił ze świstem powietrze przez zaciśnięte usta.

– ... które zmusiły mnie do tego. Nadeszła prośba o wysłanie jakiegoś inspektora w dość odległe miejsce, na Ampis. Wiesz gdzie to jest?

Hooverowi było to obojętne. Ważne jest co innego – jest zadanie, jest praca, jest przydział.

– Nie mam pojęcia – powiedział nad miarę radośnie. Akado spojrzał nań badawczo.

Hoover postanowił ograniczyć swój entuzjazm. Szef włożył palec za ściśnięty krawatem kołnierzyk koszuli i odkleił go z ulgą od szyi.

– Upał – stwierdził Hoover bez sensu.

– Ampis to zapadły kąt – powiedział Akado z westchnieniem, jakby to była jego wina. – Nie ma tam żadnych zakładów superhigh-tech, nie ma bogactw, w ogóle niczego. Poza tym daleko od głównych szlaków komunikacyjnych, stuprocentowe zachmurzenie, prawie ciągłe opady, niska kultura materialna. Planeta żyje z deszczu w przenośni i dosłownie. Hodują tam koprate, która wymaga wilgoci. Tak to w skrócie wygląda. Oczywiście, jest tam kosmoport, stolica, a w niej gubernator, ale jak to działa w praktyce, nie mam pojęcia.

Hoover też nie miał pojęcia, ale w tej chwili był tylko ciekaw, po co ma lecieć. Akado nie kwapił się z wyjaśnieniami. Sapał pod nosem bawiąc się – tak przypuszczał Hoover – niecierpliwością inspektora. Szef miał swoje słabości, które jako szefowi właśnie należało mu wybaczyć. W końcu Hoover nie wytrzymał.

– Proszę powiedzieć, co się tam dzieje, na tej Ampis?

Akado posapał jeszcze chwilę. Potem westchnął, skrzywił się i wytarł czoło chusteczką.

– Przeklęty upał – powiedział i zamilkł.

Hoover przestąpił z nogi na nogę nie odważając się ponowić pytania.

– Wprost nie wiem, co ci powiedzieć, chłopcze – Akado schował chusteczkę do kieszeni. – Nie mam pojęcia, co się tam stało. Dostaliśmy pełną ozdobników prośbę o przysłanie kogoś kompetentnego, ponieważ, słuchaj u-

ważnie, „na planecie dzieje się coś dziwnego, co może być niebezpieczne dla całej Federacji". Koniec cytatu.

– Nic więcej?

– Podpis. R. R. Rolison, gubernator. I jeszcze jego sekretarz o dziwnym nazwisku.

– Kiedy mam lecieć?

Akado zafrasował się.

– Nic pilnego, nic pilnego – wyrzucił z siebie pośpiesznie. – Jeżeli chcesz jeszcze wypocząć...

– Pan wie, że nie chcę! – zdenerwował się Hoover. – Za dwie godziny będę u pana!

– Nic pilnego – powtórzył Akado z rezygnacją i pewnym roztargnieniem, a potem zebrał się w sobie, jakby podjął ważną decyzję. – Jest jeszcze jedna sprawa. Chodzi o to, że dobrze by było, gdybyś to potraktował jako sprawę prywatną. Nieoficjalne śledztwo, rozumiesz?

Hoover nie rozumiał.

– To proste! – zapalił się Akado. – Jesteś przecież na urlopie! Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś pojechał zwiedzić Ampis, piękną, deszczową planetę. A przy okazji dowiesz się tego i owego. Na miejscu będziesz działał, jak się to mówi, z otwartą przyłbicą, ale tu u mnie nie dostaniesz żadnego zlecenia, żadnych diet, rozkazu wyjazdu, nic! Masz do wykorzystania dwa lata urlopu i oficjalnie nie wolno mi cię nigdzie wysyłać, nawet gdyby cały Rząd Federacji został porwany. Jasne?

Inspektor skinął głową i Akado zniknął.

*

Hoover nawet nie pofatygował się do Inspektoratu. Nie było takiej potrzeby. Udający się na wycieczkę pracownik nie ma podstaw do pobierania sprzętu, zaliczki ani taśm pamięciowych. Pracownik na urlopie jest wolny i niezależny. Taka sytuacja męczyła Hoovera, który nie lubił żadnych niejasności. Ale jednocześnie wiedział, że upieranie się nic nie da. Zadzwonił do „Space Travel Center" by zapytać o połączenia z Ampis. Bezpośrednich linii nie było. Za to następnego dnia odlatywał w tamte okolice próżniowiec pasażerski. Jeszcze dwie przesiadki i będzie mógł się rozkoszować deszczami do woli.

Następnego dnia Hoover stawił się na kosmodromie z pustymi rękoma. Wędrujące w powietrzu holonapisy zaprowadziły go do statku. W kabinie próżniowca rozgościł się nadzwyczaj szybko, właściwie prócz paczki papierosów (którą położył na stoliku) i paska bankowego (którego nie wyjmował), nie miał nic do wypakowania. W czasie podróży nic więcej nie było mu potrzebne. Koszt posiłków wliczony był w cenę biletu, rozrywki zaś oprócz alkoholu i panienek – bezpłatne. Hoover przestudiował dokładnie wszystkie propozycje, na czas podróży rezerwując sobie rudowłosą Grace. Innych zmartwień na razie nie miał, bo miejsca na dwóch kolejnych statkach, mających zawieźć go do celu, zamówił wcześniej.

II

Transportowiec przebił grubą powłokę granatowych od wilgoci chmur i osiadł na środku smaganego deszczem pola startowego. Hoovera opuszczono starą windą na ziemię i pozostawiono własnemu losowi. Dotkliwość deszczu odczuł natychmiast. To nie był zwykły deszcz, ale raczej bombardowanie ogromnych, oleistych kropli, z których jedna tylko mogła zalać całą twarz. Oślepiony Hoover obracał się w całkowitej ciemności, nie wiedząc, w którą stronę się udać. Każda wydawała się jednakowo zła. Najmniejsze światełko nie zdradzało obecności ludzi. Klnąc pod nosem ruszył na chybił trafił przed siebie i potykając się w ciemności brnął uparcie naprzód. W końcu wydało mu się, że widzi przed sobą jakiś ognik. Nie dowierzając sobie stanął, wytarł twarz i osłaniając ją od spadających kropli złożonymi dłońmi, wpatrywał się w mrok. Światełko było. Hoover z nową nadzieją ruszył w jego kierunku i z zadowoleniem stwierdził, że zbliża się ono nadspodziewanie szybko. Po chwili przystanął znowu, bo od zwiększającego się światła doszło go mechaniczne dudnienie. W następnym momencie dwie przeraźliwie jasne lampy przemknęły obok inspektora i pojazd ochlapawszy go błotnistą mazią zatrzymał się kawałek dalej z piskiem hamulców. Hoover zgarnął błoto z twarzy tylko po to, by ujrzeć spełnienie marzeń i najgorszych obaw jednocześnie: miał przed sobą spowity parą i spalinami samochód! Z wrażenia nie ruszał się z miejsca, więc pojazd jazgocząc tajemniczymi wewnętrznymi mechanizmami podjechał do niego tyłem. Błysnęło czerwienią i samochód znieruchomiał. Szyba w drzwiach opadła nieco i przez wąską szczelinę doleciał męski głos.

– Inspektor Hoover? Niech pan siada.

Drzwiczki wozu odskoczyły i zdrętwiały inspektor znalazł się w suchym i ciepłym wnętrzu. Rozbłysło światło. Hoover dostrzegł długiego i szczupłego mężczyznę z wysoką łysiną czołową na wąskiej, ptasiej głowie. Kierowca ubrany był w fałdzistą, szeleszczącą szatę z opuszczonym na plecy kapturem. Czując jak strużki wody płyną po jego plecach i spływając z łydek gromadzą się w butach, Hoover pozazdrościł obcemu praktycznego stroju.

– Nieco pan przemókł, prawda? Ale u nas to normalne, przyzwyczai się pan.

– Słaba pociecha – odezwał się inspektor. – Przysłał pana gubernator?

Obcy uruchomił silnik i pojazd ruszył przed siebie rozchlapując kałuże.

– Tak. Zabiorę pana do rezydencji, tam dostanie pan wszystko, czego potrzeba, by żyć tutaj.

Zapadło milczenie. Hoover szczękał zębami, a kierowca wpatrywał się uważnie w drogę wydobywaną z mroku światłami reflektorów.

– Jestem Scopolicky. John Scopolicky. Sekretarz gubernatora.

Hoover skinął głową. Poza tym cały dygotał. Scopolicky obserwował go spod oka.

– Zimno panu? Ogrzewanie jest włączone.

– Czemu... czemu jeździ pan czymś takim? – wystękał inspektor uważając, by nie przygryźć sobie języka.

Kierowca roześmiał się.

– Wiedziałem, że pan o to zapyta. Nawet założyłem się sam ze sobą, jak szybko to się stanie. I wygrałem!

– A na co pan postawił? – zaciekawił się Hoover.

Tak naprawdę, to umierał z zimna i było mu wszystko jedno.

– Że stanie się to przed przyjazdem do rezydencji. Odpowiem panu, ale myślę, że już sam pan to pojął. Tutaj nie da się latać, jest ciągle ciemno i ciągle pada. Na całej planecie żyje tylko kilkanaście tysięcy ludzi, więc nie opłaca się wprowadzać komputerowego systemu sterowania ślizgo- czy błyskolotów. To za drogie, a poza tym większość ludzi mieszka w stolicy. Ci co żyją dalej, wybrali takie rozwiązanie właśnie dlatego, by być z dala. Sprowadziliśmy więc samochody, to zupełnie wystarcza, a w naszych warunkach jest bezpieczniejsze niż śmigłowce czy awionetki.

– Jak można tu żyć? – spytał odruchowo Hoover, zanim naprawdę ugryzł się w język.

Pomyślał, że mógł tym pytaniem obrazić Scopolicky'ego. Tamten nie poczuł się jednak urażony. Musiał sobie zdawać sprawę, w jak dziwnych warunkach mieszka. Wzruszył ramionami.

– Już dojeżdżamy, ale zdążę opowiedzieć panu skróconą historię Ampis. Od jej odkrycia, do chwili przybycia pierwszego osadnika minęło sto lat, a i ten pierwszy nie zagrzał tu miejsca. To był jakiś szaleniec, który umyślił sobie, że z tutejszego deszczu będzie pędził bimber. Ale tego co wyprodukował nie chciał pić nawet on sam, a ten facet niczym nie gardził.

– Nawet on sam – powtórzył bezmyślnie Hoover.

– W końcu bimbrownik zwinął interes. Nastąpiła kilkuletnia przerwa, aż nagle zjawiło się kilka rodzin, które zwabione zostały możliwością uprawy kopraty, rośliny wymagającej ciemności, ogromnej ilości wilgoci i będącej podstawowym składnikiem wszystkich leków odmładzających. Niewiele jest miejsc w znanym nam wszechświecie nadających się do uprawy tej rośliny. To był rzeczywiście dobry interes, bo wszędzie indziej trzeba było kopracie stwarzać nakładem wielkich środków warunki, które tutaj były za darmo.

– Tylko że teraz ludziom trzeba było stworzyć warunki, które wszędzie są za darmo – uzupełnił Hoover.

Dreszcze i szczękanie zębami minęły, i czuł się na siłach do podjęcia rozmowy. Scopolicky skinął głową.

– Tak. Rząd obiecał uruchomienie regularnej linii promowej na End, a stamtąd można wszędzie dalej, jeżeli tylko są pieniądze. A forsa była, znaleźli się tacy, co myśleli, że mieszkać będą na sąsiedniej planecie, a na Ampis będą latać tylko do pracy. Ale linii promowej jak nie było, tak nie ma, ludzi zaś nieco przybyło. Trochę się urodziło, i tak powstało Rainy City, Deszczowe Miasto. Nikt o nas

nie dbał, sami je zbudowaliśmy, wyposażyliśmy, stworzyliśmy władze, a nawet mianowaliśmy gubernatora, bo wiadomo było, że i tak nikt przy zdrowych zmysłach nie przyleci tu rządzić, a „zesłańców" nie chcieliśmy. Wszelkie władze i urzędy funkcjonują jak w całej Federacji i nasz gubernator został przez nią zatwierdzony. Prawdę powiedziawszy, nie byliśmy Federacji do niczego potrzebni, ani ona nam. Jedyny kontakt, to wysyłka kopraty i przywóz magnetycznych sejfów odwrotną pocztą.

– A teraz? Co się stało teraz, że zwróciliście się do Rządu?

– Już dojeżdżamy – powiedział Scopolicky – najlepiej będzie, jak wyjaśni panu to sam gubernator.

III

Pałac gubernatora był bardzo jasno oświetlony jak na stosunki panujące na planecie. Hoover zdążył się już do nich przyzwyczaić, więc musiał zmrużyć oczy, gdy samochód wtoczył się na podjazd. Wysiadł i stojąc pod daszkiem przypominającym muszlę, czekał na swego przewodnika. Siedziba gubernatora przypominała swą architekturą budowle wieku kolonialnego. Być może była nawet wierną kopią posiadłości jakiegoś wicekróla.

– Niech pan wejdzie – rzekł podchodząc Scopolicky. – Tutaj wszystko jest otwarte, a etykieta nad wyraz swobodna. Niech pan tylko nie pluje na podłogę i wszystko będzie w porządku. Zresztą teraz zaprowadzę pana do apartamentu, musi się pan przebrać, wysuszyć. Spotkamy się na kolacji, przyjdę po pana.

– Tylko że ja nie mam w co się przebrać. W podróży wystarczył mi pasek bankowy, kupowałem jednorazówki.

– W szafie znajdzie pan wszystko, co potrzeba – uspokoił go Scopolicky, otwierając przed inspektorem drzwi apartamentu. – Niech pan się czuje, jak u siebie w domu.

Hoover został sam. Przez chwilę stał na środku pokoju i oglądał wnętrze godne najwybredniejszego sybaryty. Białe, złocone meble, ciężkie, aksamitne obicia i zasłony, lustra i mnóstwo dziwnych przedmiotów niewiadomego przeznaczenia. Za to nigdzie najprymitywniejszego nawet odbiornika holo. Tylko zwykły telefon, który inspektor i tak z trudem rozpoznał. Był zamaskowany w porcelanowej figurce psa. Hoover odetchnął, jasne że tutaj ptahoo-delic go nie dopadnie. Choć, kto wie ta straszna muzyka może byłaby w stanie przegnać nawet ampisańskie deszcze.

Zajrzał do szafy. Była pełna ubrań, garniturów, swetrów, kurtek, na półkach koszule, bielizna, na drążku krawaty, a w osobnej przegrodzie kilka kombinezonów takich, w jaki ubrany był Scopolicky. Widać podejmowano tu gości hołdujących najrozmaitszym modom. Kombinezony były w różnych kolorach, i Hoover wybrał dla siebie granatowy ze złotymi lampasami i naramiennikami. Do tego wysokie buty. Dorzucił do tego bieliznę i tak wyekwipowany poszedł się wykąpać. W przeciwieństwie do obfitości wody na zewnątrz, ta ujarzmiona w rury nie chciała płynąć obficie i nad wyraz smętnie sączyła się z prysznicowego sitka. Hoover zaintrygowany tym spędził nieco czasu, usiłując organoleptycznie dociec jej właściwości. Nie stwierdził nic ponad to, czego dowiedział się moknąc na płycie kosmodromu – że woda jest oleista, przezroczysta, bez zapachu, za to ma dziwny mdławy i zarazem cierpki smak, przypominający sok owoców brungo. Inspektor westchnął i zabrał się do mycia. Po skończonej toalecie ubrał się i zastanowił, czy iść samemu na poszukiwanie gubernatora, czy też czekać na znak od Scopolicky'ego. Wreszcie złapał za łeb porcelanowego kundla i odczekawszy, aż w jego łaciatym, biało-brązowym uchu rozlegnie się sygnał, powiedział do ogona:

– Zero!

– Centrala! Słucham? – odezwał się piskliwy głosik.

– Z sekretarzem Scopo... Nie, dziękuję, już nie trzeba – przerwał Hoover widząc, że drzwi jego apartamentu otwierają się i staje w nich Scopolicky.

Odstawił telefon na miejsce.

– Jestem gotowy – powiedział.

Ruszyli korytarzem wyłożonym chodnikiem z szorstkiego tworzywa. Hoover odniósł wrażenie, że to naturalny materiał i przez cały czas przyglądał mu się, podejrzliwie patrząc pod nogi.

– To włókno kopraty – rzucił mimochodem Scopolicky, otwierając przed inspektorem drzwi.

Znaleźli się w obszernej, białej i prawie pustej sali, jeżeli nie liczyć wielkiego podłużnego stołu, senatorskich krzeseł z wysokimi oparciami i szczupłej szatynki w kanarkowym kombinezonie. Właśnie ku tej kobiecie sekretarz poprowadził Hoovera, a gdy zatrzymali się przed nią, powiedział:

– Inspektor Hoover, gubernatorze. Gubernator Roma Ridley Rolison.

Dokonawszy prezentacji usunął się na bok, a zdziwiony inspektor przywitał się z panią gubernator. Dłoń miała małą, ciepłą i niespodziewanie mocną.

– Proszę siadać – odezwała się Roma Rolison. – Kolacja stygnie!

W trakcie posiłku nie rozmawiali i Hoover odniósł wrażenie, że pomimo zapewnień Scopolicky'ego o swobodzie obyczajów, dopytywanie się o cel własnej misji byłoby nietaktem.

Barbarzyństwo! – ocenił w myśli ten stan rzeczy.

Przyzwyczajony był działać w pośpiechu i nie oglądając się na dobre obyczaje. Ale odezwał się dopiero, gdy otarł usta serwetką.

To też koprata? – zażartował pod adresem jedzenia.

– Czy było aż tak złe? – zaniepokoiła się gubernator, jakby sama sterczała nad garnkami w kuchni.

Hoover wzruszył ramionami. Widocznie okazywanie poczucia humoru również nie należało tutaj do dobrego tonu.

– Inspektor żartował, Threear – powiedział pobłażliwie Scopolicky ratując Hoovera przed palnięciem następnego głupstwa. – Wprowadziłem go już nieco w nasze sprawy, głównie mówiliśmy o historii.

– Ach, tak – odparła z roztargnieniem gubernator. Znać było, że nie zrozumiała związku, ale widocznie już się do tego przyzwyczaiła, bo nie pytała dalej. Hoover westchnął.

– Przejdźmy do gabinetu – zaproponowała Roma Rolison. – Przy kawie porozmawiamy.

W gabinecie kawę podała im owa piskliwa osóbka z centrali łączności i zostali sami.

– Sprawa, dla której wezwaliśmy pana, jest nietypowa – zaczął Scopolicky, chcąc ułatwić zadanie pani gubernator.

Hoover potulnie skłonił głowę, choć w duchu pomyślał, że pan sekretarz gówno wie, jakie sprawy są dla inspektorów typowe, a jakie nie. Zmilczał jednak, nie chcąc opóźniać rozwoju wypadków.

– Tak – podjęła wprowadzona w ten sposób w temat gubernator. – Ta sprawa nie będzie prawdopodobnie wymagała od pana żadnych z waszych osławionych umiejętności, nie będzie pan musiał walczyć, posługiwać skomplikowanym sprzętem, kamuflować, skradać, et cetera...

Hoover powtórnie pokornie skłonił głowę na znak zgody, chociaż z dużo większym trudem przyszło mu powstrzymać się od wyrażenia zdania na ten temat. Pogodził się z myślą, że w oczach Romy Ridley Rolison jest on skrzyżowaniem Indianina Chytrego Lisa z Supermanem.

– Najdziwniejsze, a zarazem najgroźniejsze jest to – ciągnęła – że rzecz dzieje się najzupełniej jawnie, nikt nie kryje się z przynależnością do stowarzyszenia, a zarazem jest ono chyba groźne dla całej Federacji. Tak sądzimy.

Gubernator spojrzała wyczekująco na Scopolicky'ego i ten połapawszy się, skinął potakująco głową. Hoover pomyślał, że w końcu mniej więcej wie, o co chodzi. Kolejna organizacja, która nie lubi Rządu, uwiła sobie gniazdko w błotach Ampis.

– Oni zachowują się tak, jakby wiedzieli, że są nie do pokonania, że są silniejsi i nic im nie grozi. A jednocześnie oficjalnie niczego nie pragną, nie żądają – po prostu spotykają się i medytują. To wszystko co robią.

Hoover zacisnął zęby, policzył pod wyczekującym spojrzeniem obojga rozmówców do dziesięciu, a potem powiedział:

– Może zróbmy tak: ja będą zadawał pytania, a wy będziecie odpowiadać. To system sprawdzony od stuleci. Pytanie pierwsze: jakie to stowarzyszenie?

– Nazywamy je „Stowarzyszeniem Tysiąc". Oni...

– Chwileczkę – przerwał Hoover. – Jak są zorganizowani, jaka jest struktura tej grupy?

– To jest właśnie najtrudniejsza kwestia – powiedział wahając się Scopolicky – bo z jednej strony niby wszystko o nich wiadomo, a z drugiej zaś... Zresztą, sam pan zobaczy. Na czele stowarzyszenia stoi Wielki Wąż, który ma pod sobą – choć to wyrażenie niczego nie tłumaczy – dziewięciu Wodników, ci z kolei „przewodzą" dziewięćdziesięciu Smokom „wybranym" spośród około dziewięciuset Adeptów. W sumie jest to około tysiąca ludzi, stąd nazwa.

– I co pan w tym widzi niezwykłego? – nie wytrzymał Hoover. – Zasada stara jak świat i istniejąca od starożytnego Egiptu po dzisiejsze Wojska Galaktyczne. Tylko liczby różne.

– Ma pan rację, ale nie w tym jest niezwykłość „Tysiąca". Nie wiem, czy będę umiał panu wytłumaczyć, na czym to polega. Najkrócej rzecz ujmując, w każdej wymienionej przez pana formacji zasada przekazywania poleceń jest prosta – dowódca wydaje rozkaz swoim oficerom, ci podoficerom, a dalej są żołnierze, którzy rozkaz wykonują i meldunek o tym wraca do głównodowodzącego tą samą drogą. Dla uproszczenia załóżmy, że „Stowarzyszenie Tysiąc" jest strukturą wojskową. Otóż wtedy mielibyśmy armię, w której poborowi rozkazują oficerom, a nawet marszałkowi!

– Anarchia! – prychnął z pogardą i oburzeniem Hoover.

– Właśnie, że nie! – wykrzyknął Scopolicky. – „Stowarzyszenie" trzyma się dobrze i jest zdyscyplinowane. Moje porównanie z wojskiem nie jest najszczęśliwsze, bo wziąłem je z drugiego bieguna. U nich nie ma „dowódców", nie ma „rozkazów", tylko mnie brakuje słów na określenie tego, co się tam dzieje. To jest nowa struktura władzy! Nie możemy jej pojąć, chociaż każdy z tych ludzi zapytany z osobna, stara się nam wytłumaczyć wszystko i dokładnie. Wszyscy oni mówią to samo, tylko my nie rozumiemy. Im też brakuje słów. Żeby ich zrozumieć, trzeba być jednym z nich. Ale ja się boję, mnie oni przerażają i nie wstąpię tam. To jest właśnie pana zadanie.

– Kto jest Wielkim Wężem? – zapytał spokojnie inspektor.

– Kevin Shore, plantator kopraty.

– Porozmawiam z nim – zdecydował Hoover.

Scopolicky westchnął.

– To nic nie da. Myśmy już z nim rozmawiali. Mówił chętnie i... nic z tego nie wiemy.

– Ale jak ja...

– Nie – przerwała Roma Rolison. – Scopolicky ma rację. To nic nie da. Pan po prostu nic nie zrozumiał. I trudno się temu dziwić. To nie jest mafia, masoneria czy inny tajny związek. Raczej coś zbliżonego do buddyzmu lub lamaizmu, tylko bez ich hierarchii. Fakt, że Wielkim Wężem jest jakiś tam plantator, nie znaczy, iż jest ich przywódcą w pańskim rozumieniu tego słowa. Równie dobrze najważniejszą dla nich decyzję może podjąć najmłodszy Adept. Zresztą... John panu coś opowie.

Hoover spojrzał na sekretarza. Czuł się jak w domu wariatów, ale postanowił wytrwać do końca.

– Słucham – powiedział oschle.

– Widzi pan – zaczął niepewnie Scopolicky – my się z nimi liczymy... więc sam pan rozumie, na wszelki wypadek...

Inspektor skinął głową. Rozumiał. Rozumiał doskonale, że gubernator Roma Rolison i jej sekretarz panicznie boją się „Stowarzyszenia", choć ono nic złego na razie nie czyni. Czują się także odpowiedzialni przed Federacją, czego dowodem obecność tutaj inspektora. Zapalili więc Federacji świeczkę, a „Stowarzyszeniu" ogarek. Lub może nawet na odwrót.

– ... no, jednym słowem, powiedzieliśmy im o panu – wyrzucił wreszcie z siebie sekretarz.

– Im, to znaczy komu?

– Właśnie o to chodzi – ucieszył się niespodziewanie Scopolicky. – Ja napisałem do Shore'a, że choć jego stowarzyszenie trudno uznać za tajne czy spiskujące przeciw Federacji, to jednak gubernator czuje się w obowiązku poinformować Rząd o jego istnieniu, gdyż nie chce za nie brać na siebie odpowiedzialności. W związku z tym należy się spodziewać, że na Ampis przybędzie ktoś, najpewniej inspektor, w celu zbadania tej sprawy. Spytałem też w imieniu gubernatora, czy będzie pan mógł zapoznać się z ich działaniem.

– I co? – nie wytrzymał Hoover.

Scopolicky popatrzył na niego uważnie, wyraźnie grając na efekt.

– Ano właśnie. Niech pan sobie wyobrazi, że po kilku dniach pojechałem po pocztę gubernatorską i pucybut – w urzędach jest tu taka profesja, to konieczne przy naszej pogodzie – powiedział do mnie: „Panie sekretarzu, zgadzam się. Ten inspektor może nawet być z nami". Da pan wiarę?! Ten chłopak, który jest Adeptem zaledwie od tygodnia, zgodził się w imieniu Shore'a – Wielkiego Węża! I nie była to drwina, czy przejęzyczenie! Oni tak mówią, tak jakby byli jednym... no, jednym, czy ja wiem... jednym ciałem, nie to pompatyczne, jedną jaźnią, jednym człowiekiem... A, niech to cholera!

Scopolicky umilkł. Zapadła cisza, bo Hoover nie śpieszył się z wyrażeniem swojego zdania, a Threear od jakiegoś czasu popijała małymi łyczkami swoją wstrętną kawę.

– A co oni jako „Stowarzyszenie" w ogóle robią? – spytał po chwili inspektor.

– Nic – powiedziała Roma Rolison odstawiając filiżankę. – Doskonalą się – wycedziła ze złością.

– Jednak porozmawiam z tym Shore'em – zdecydował Hoover. – Gdzie go można znaleźć?

IV

Hoover jechał w zupełnej ciemności, bo światła reflektorów grzęzły w deszczu na kilka metrów przed maską wielkiego wozu. Jechał powoli, przechylony w przód nad kierownicą, i wytrzeszczając oczy usiłował przebić się wzrokiem przez zwartą zasłonę wody. Trzy wielkie wycieraczki włączone na największą szybkość z trudem tylko utrzymywały szybę w stanie umiarkowanej przejrzystości. Duża lepkość i napięcie powierzchniowe tutejszej wody czyniły ją mało podatną na ludzkie i mechaniczne zabiegi.

Na siedzeniu obok Hoovera leżała rozpostarta mapa, a po niej turlała się włączona latarka. Drogi ubywało rozpaczliwie wolno, i Hoover zaczynał żałować, że nie zabrał Scopolicky'ego, który wręcz się narzucał, by zostać jego kierowcą. Było to rozsądne, Scopolicky znał doskonale teren i jako urodzony tutaj, przywykł do tych nieludzkich warunków. Ale inspektor uparł się, że pojedzie sam. I teraz, mimo że według obliczeń i zapewnień pana sekretarza powinien być już od godziny na farmie Shore'a, kręcił się beznadziejnie gdzieś na pustkowiu, bez nadziei na trafienie do celu.

Drogi w ścisłym tego słowa znaczeniu w ogóle nie było; to, po czym jechał, zasługiwało najwyżej na miano polnej dróżki. Jej jedyną zaletą było to, że trudno ją było zgubić, gdyż nie tyle ją zbudowano, co wydeptano na nasypie podobnym do kolejowego. Dzięki temu woda umykała w dół, nie tworzyły się nawet większe kałuże. Hoover jechał więc czymś w rodzaju grobli otoczonej zewsząd wodą. Od czasu do czasu od tego ziemnego wału odchodziły prostopadłe ramiona prowadzące do zabudowań poszczególnych farmerów. Jedynym więc zadaniem inspektora było nie przegapić odpowiedniej odnogi i uważać cały czas, by w ciemności nie zjechać z nasypu. To zakończyłoby jego podróż bezapelacyjnie.

Przestrzeganie tych dwóch prostych warunków bardzo zmęczyło Hoovera. Byłby gotów zawrócić, gdyby nie to, że do celu pozostało mu mniej drogi niż do Rainy City. Nagle dostrzegł błyskające pomarańczowe światło zapowiadające kolejny rozjazd i kolejny drogowskaz. Według mapy powinna to być właściwa droga. Dodał niecierpliwie gazu i po chwili z poślizgiem zahamował przed słupem dźwigającym sygnalizator i tablicę z odblaskowym napisem:

COPRALAND

Farma Mr Shore'a

Inspektor z trudem wycofał wóz w lepkim błocku i skręcił w lewo. Przyspieszył, gdyż droga była w lepszym stanie. Miękkie pacnięcia kropel wody o dach samochodu przyśpieszyły swoje staccato i Hoover poczuł mdłości. Wyobrażał sobie, że to nie woda tłucze o blaszane nad-

Jan Grabowski





wozie, ale nieprzerwany grad ślimaków, małży, meduz i innych amorficznych tworów wydających ohydny, mlaszczący dźwięk. Po chwili odgłosy zmieniły się, wóz wpadł na wyasfaltowany odcinek drogi i Hoover jechał w sapiąco-świszczącym poszumie rozcinanej galarety. Wręcz czuł opór, jaki spadająca z czarnego nieba i lepiąca się do karoserii maź stawia ruchowi maszyny.

Wokół pojaśniało, ukazał się rząd latarń zawieszonych nad drogą i inspektor zaczął gwałtownie hamować. Samochód wjechał łagodnie wznoszącą się pochylnią na podjazd w kształcie tunelu. Tunel był jasno oświetlony, szeroki i jednocześnie pełnił funkcję garażu i parkingu. Ślimaki przestały spadać z nieba, wszystko ucichło i Hooverowi minęły mdłości. Zjechał na wolne miejsce i wysiadł z wozu. Ruszył do drewnianych, zamczystych wrót odcinających się czernią od prawej strony tunelu, będącej jednocześnie ścianą wielkiego, ponurego domu.

Bunkier – z niechęcią ocenił go w myśli Hoover i poszukał obok drzwi sygnalizatora.

Nic takiego nie było, tylko na czarnych dechach błyszczała głowa złotego lwa z ciężkim kółkiem w kształcie węża połykającego własny ogon. Inspektor poruszył kółkiem, ale bez specjalnego efektu akustycznego. Jednak po chwili coś zaskrzeczało nad nim. Podniósł odruchowo głowę.

V

– Czego się pan napije?– zapytał Shore. – Gin, whisky, brandy?

Shore był niskim, chudym mężczyzną koło pięćdziesiątki. Miał rzedniejącą czuprynę nieokreślonego koloru, wydatny nos, bladobłękitne oczy i rude wąsy. Poruszał się zdecydowanie, sprężyście, a uścisk jego dłoni był mocny i krótki. Pomimo swej chudości, z powodu której przypominał zagłodzonego niewolnika, znać po nim było niepospolitą siłę fizyczną i dynamizm. W rozchełstanej, kraciastej koszuli, spranych spodniach i gumowych butach przypominał pierwszych osadników Dzikiego Zachodu.

– Whisky – powiedział Hoover. – Bez lodu.

Rozglądał się wokół. Gabinet gospodarza był ogromny, wysoki, pełen skórzanych, przepastnych kanap i foteli, z ciemnym biurkiem, obrazami i bronią na ścianach. Na podłodze znalazły dla siebie miejsce cztery różne dywany. Nie było tu ani jednego nowoczesnego sprzętu, za to pod ścianą stały wielkie oszklone szafy biblioteczne pełne książek. W pomieszczeniu nie było okna.

– Sam pan tu mieszka? – spytał inspektor przyjmując drinka.

Gospodarz skinął głową. Usiadł na fotelu naprzeciw Hoovera i nogą wsunął pomiędzy nich niski stolik. Upił mały łyk trunku i odstawił szklaneczkę. Inspektor nie poszedł w jego ślady, łyknął najpierw połowę i czując miłe ciepło, bawił się przetaczając szkło między dłońmi.

– Sam – powiedział Shore. Założył obie ręce za głowę i świdrował inspektora swoimi bladymi oczkami.

– Kawaler?

– Żona mieszka w Rainy City, ale wybiera się na End, a może dalej. Nie wiem dokładnie.

– Dzieci?

– Brak.

– Pojedzie pan w ślad za żoną? – zapytał Hoover zły na siebie, że grzęźnie w prywatnym życiu tamtego.

Shore nie czuł się tym w najmniejszym stopniu zażenowany czy obrażony.

– Nie. Tu jest moje miejsce, tu mam dom, który sam zbudowałem. Nie, nie chcę wyjeżdżać.

– Nie chce pan, czy nie może? – inspektor przypuścił atak.

– Co pan ma na myśli mówiąc: „nie może”? – zapytał spokojnie Shore.

– Stowarzyszenie. Jest pan przywódcą, Wielkim Wężem. Nie sądzę, żeby mógł pan stąd wyjechać.

– Dlaczego nie?

– Nie puściliby pana.

– To niezupełnie tak. Pan nie rozumie – rzekł Shore podnosząc szklaneczkę.

Wypili obaj.

– Właśnie po to przyjechałem. Żeby zrozumieć. Więc puściliby pana, czy nie? Ja twierdzę, że nie.

– Może ma pan rację... Tak, w pewien sposób.

– W pewien sposób?

– Ja czuję, że jestem im potrzebny. I oczywiście odwrotnie. Inaczej nie da się tego powiedzieć.

– Ale pan podobno jest szefem. Załóżmy, że wzywa pan do siebie swoich dziewięciu Wodników i mówi im, że wyjeżdża. I co się dzieje dalej?

Shore uśmiechnął się pobłażliwie.

– Nic. Po pierwsze nie wezwałbym ich, bo nikogo wezwać nie mogę. Nawet najmłodszego Adepta. To zresztą nie jest potrzebne. Prędzej oni mogą wezwać mnie.

Hoover zacisnął szczęki.

– A dalej? Gdyby jednak?

– Dalej? Jeżeliby wszyscy chcieli, żebym wyjechał i gdybym ja tego chciał – to tak.

– Chcieli, czy pozwolili? Nazywajmy rzeczy po imieniu!

– Chcieli. Ale ja nie chcę.

Inspektor westchnął, kółko się zamknęło.

– Zacznijmy jeszcze raz – powiedział z rezygnacją – jest pan szefem i...

– Panie Hoover! – przerwał mu gospodarz. – Niech pan zrozumie, że przykłada pan złą miarkę! Nie jestem niczyim „szefem”, jak pan to nazywa. Jutro może się okazać, że jestem jednym z dziewięćdziesięciu Smoków lub Adeptów!

– Degradacja? – zapytał żywo inspektor.

Shore wybuchnął śmiechem.

– Nic pan nie rozumie, drogi inspektorze. Uważa pan stowarzyszenie – zostańmy przy tej nazwie, chociaż my się tak nie nazywamy – za formację typu wojskowego, hierarchicznego, trwałego jak piramidy i doskonale panu znanego. Zwłaszcza to ostatnie jest ważne, bo przez to utożsamia pan formę z treścią. Nie winię pana o to, bo nasza forma, forma „stowarzyszenia” sugeruje to. Jest „przywódca” – Wielki Wąż, są (w pana pojęciu) – „zastępcy” – Wodnicy, dalej Smoki i Adepci. Słowem klasyczna piramida. Czyż nie tak?

Zgnębiony Hoover skinął głową.

– Właśnie. I tu tkwi błąd pańskiego rozumowania. Nie potrafi pan pojąć, że pod tą znaną formą kryje się twór całkowicie amorficzny. Jak plazma. Gdy zdjąć z niej foremkę, to rozlezie się we wszystkich kierunkach, a w nieważkości przyjmie kszałt kuli – i dalej jest sobą, dalej funkcjonuje!

– Po co więc wam foremka?

– Nam? – Ależ inspektorze! Nam ona wcale nie jest potrzebna. To wy jej potrzebujecie i wtłoczyliście nas w nią. Wy jesteście tą formą!

– A pańskie stowarzyszenie to „treść”?

– Zaczyna pan rozumieć. Tak. Jak ten deszcz padający na zewnątrz. Ujęty w rowy, zbiorniki, rurociągi, rury, zdławiony zaworami, kranami i sitkami pryszniców nadal jest tym samym deszczem. Mówić, że jestem przywódcą jakiegoś stowarzyszenia, to to samo co twierdzić, że woda w garnku jest szefem deszczu tylko dlatego, że ona jest jedna, a kropel tysiące!

Zapadła cisza. Hoover wpatrywał się w Shore'a, a potem otrząsnął się jakby właśnie wyszedł spod owych „tysięcy kropel”.

– Pan jest szalony – powiedział spokojnie i z przekonaniem.

Shore podniósł się, wziął obie szklaneczki, dopełnił je alkoholem i wróciwszy wręczył jedną inspektorowi.

– Woda? Dlaczego właśnie woda? – zapytał Hoover.

Łyk whisky przywrócił mu jasność myślenia.

Mirosław Piotr JABŁOŃSKI

Ur. w 1955 r. w Zakopanem; inżynier mechanik, ogrodnik warzywnik, kierowca zawodowy, były rzemieślnik, od niedawna absolwent Studium Scenariuszowego przy PWSFTiTV w Łodzi. Autor trzech nie zakupionych scenariuszy filmowych.

Znamy jego dwie powieści: „Kryptonim Psima" (Iskry, 1982) – częściowo wykorzystana przez P. Szulkina w filmie „Ga, ga – chwała bohaterom", i z programu III PR – „Schron", oraz wspólny z A. Drzewińskim zbiór opowiadań „Posłaniec" (Nasza Księgarnia, 1987). W przygotowaniu w wydawnictwach powieści: „Nieśmiertelny z Oxa" (GLOB) i „Trzy dni Tygrysa" (Iskry), oraz zbiór opowiadań „Czas Wodnika" (Iskry).

M.P. Jabłoński publikował w „Nurcie", „Problemach", „Przeglądzie Technicznym", „Piśmie", „ITD" i „Fantastyce" (opow. „Wyliczanka" nr 7/85). Od 15 lat nie może niczego opublikować w „Młodym Techniku" nad czym bardzo boleje. Słuchowisko M.P.J. „Mańkut" zostało zakupione przez IV program PR.

(mp)

– To proste – odparł Shore zakładając znowu ręce za głowę. – Woda to jest coś najbardziej naturalnego i od początku swego istnienia wtłoczonego w zbiorniki. Zbiorniki oceanów, mórz, jezior, et cetera. Woda to kolebka życia, słyszał pan o tym? Powstałe życie było równie wolne i amorficzne jak ona, potem zaczęło się wspinać na wyższe stopnie organizacji, później jeszcze wylazło z trudem na ląd. A potem stworzyło sobie foremkę – cywilizację!

Inspektor odetchnął z ulgą. Był w domu. Nawet odczuł zawód graniczący z rozczarowaniem. A więc kolejna grupa propagująca powrót do natury i zwalczającą cywilizację w ogóle, a Rząd Federacji w szczególności! Zaczął szukać w myśli łagodnych środków prewencyjnych, gdy Shore odezwał się znowu.

– Chyba wiem, o czym pan myśli – powiedział. – Myli się pan. Nie jesteśmy kontestatorami, nie zamierzamy niczego rozwalać, nie chcemy cywilizacji wysadzić w powietrze. To nie ten etap. Jesteśmy już dalej, czy może wyżej. Oczywiście, podważamy od środka naszą foremkę – cywilizację, ale uwalniamy umysły, a nie ręce. Chcemy, by ludzkość stała się jak woda – amorficzna i jednorodna. Wszyscy rządzą i nikt nie rządzi. Demokracja amorficzna – tak to nazwę na pana użytek, bo chyba musi pan złożyć jakiś meldunek czy sprawozdanie? Prawda?

Hoover skinął głową.

– Tak – powiedział. – Ale niestety muszę także zakazać wam dalszej działalności dopóki rzecz nie zostanie dokładnie zbadana. Pańskie poglądy uważam za wysoce niebezpieczne. Jeżeli dobrze zrozumiałem, zamierza zatrzymać pan rozwój cywilizacji, a nawet cofnąć ludzkość do stanu praameby!

– Zamierzamy dać ludzkości to, co sama utraciła. Powiem inaczej, nie podważamy foremki, tylko zrywamy kajdany z naszych umysłów. Umysłów, powtarzam. Doskonalimy się, staramy wznieść na poziom, na którym cywilizacja pojmowana tak jak dotąd, cywilizacja techniczna, jest bez znaczenia. Niechże pan wreszcie zrozumie – do tej pory ludzkość była larwą, poczwarką – widocznie było to konieczne! – a teraz następuje przemiana w motyla. Motylowi niepotrzebny jest kokon!

– Motyl krótko żyje – przypomniał Hoover.

– Zgoda. Dla nas krótko. Ale i tak dłużej, niż trwa nasze istnienie wobec czasu wszechświata. A życie naszego motyla może trwać miliardy lat! Pan wie, że byli już wcześniej tacy, którzy dążyli do tego. Niech pan wspomni filozofie i religie Wschodu. Tajemne praktyki, medytacje, itp. Cała mitologia hinduska jest oparta na opowieściach o ludziach, którzy przez medytacje (wedle legend trwających i tysiąclecia!) stawali się równi bogom. Można powiedzieć, że to byli nasi prekursorzy, choć tak naprawdę, to rzecz tyczy ludzi, u których odzywały się reliktowe, atawistyczne cechy życia w morzu, cechy zgubione i stłamszone przez rozwój materialny, a nie duchowy. Ale powtarzam, może tak trzeba było, może najpierw ludzkość, a ogólnie wszelkie wysokozorganizowane życie musi zbudować sobie kokon i przeżyć w nim wszelkie plagi, by wreszcie móc rozwinąć skrzydła!

– Tamte systemy jednak upadły.

– Jak wszystko dobre, co przychodzi za wcześnie. Może jednak nie tyle upadły, co zostały przysypane gadżetami cywilizacji. Pod spodem, pod warstwą cywilizacyjnego popiołu, tli się jednak cały czas żar. Pan wie, że na Ziemi po dziś dzień Dalaj Lama ma swych wyznawców i tajemnice Lhasy nie zostały zgłębione? Pan przyleciał tu, na Ampis, ale równie dobrze mógłby pan zwiedzać Tybet czy hinduskie świątynie. Czemu im nie zakazuje pan działalności? Zresztą i nam nie ma pan czego zabraniać, bo nie prowadzimy żadnej działalności w pańskim rozumieniu. Nie agitujemy, nie rozrzucamy ulotek, nie wysadzamy w powietrze pałacu gubernatora. Nic. Co prawda, spotykamy się od czasu do czasu, ale nawet i to nie jest konieczne.

– Telepatia?

– Coś w tym stylu. Może raczej empatia, bo i to polega na przekazywaniu uczuć i stanów emocjonalnych, a nie myśli. My to nazywamy po prostu „czuciem". Nie spotykamy się, tylko „czujemy". Ale to najmniej ważne, to tylko wstęp. Czujemy, co myślą inni.

– Ja też? Czyta pan w moich myślach? – przeraził się Hoover.

– Oczywiście, że nie. W ogóle nie „czytamy w myślach", jak pan to nazwał, a nasze czucie zachodzi tylko pomiędzy tymi, którzy tego chcą. Jeżeli ktoś nie chce mieć z nami nic wspólnego, to jego umysł jest dla nas zamknięty jak magnetyczny sejf. To sprawa dobrowolności, nie sądzi pan chyba, że budujemy boski świat przemocą.

– Były już precedensy.

Shore skinął głową.

– Wiem.

– Zastanawiam się – zaczął z wahaniem inspektor – dlaczego pan mi to wszystko mówi? Tak otwarcie? A może to nie jest wszystko, może to tylko pierwsza warstwa, pod którą czają się kolejne „prawdy"? Taka „cebula" dla przygłupich inspektorów Federacji?

– Pan sądzi wszystko i wszystkich po sobie. Po pierwsze wiem, że nawet jeżeli nie pan sam w tej chwili, to Federacja jest w posiadaniu środków, które wydobędą z każdego każdą prawdę. Nie gram jednak na zwłokę, mówię z panem szczerze z tych samych przyczyn, o których już wspominałem. Nic nie budujemy na przemocy, lub fałszu. To słabe fundamenty, wzniesiony na nich choćby najsolidniej gmach, zawsze się w końcu rozleci. Zresztą, nie musiał pan wcale rozmawiać ze mną. To samo powiedziałby panu każdy Adept. Zaoszczędziłby pan sobie drogi. Pan po prostu odcisnął na mnie formę „mojego przywództwa".

Hoover zamarł. Zdawało mu się, że nareszcie odkrył słaby punkt.

– Nie sądzi pan – zaczął ostrożnie – że to co pan proponuje, zaprowadzi ludzkość do zguby? Do zatraty? Posłużę się pańskim porównaniem z wodą. Wszak takie amorficzne społeczeństwo jeden człowiek, lub jedna istota, może ująć w karby. Jak wodę. Kazać jej płynąć betonowym korytem i obracać łopatki generatorów. Za darmo. To samo z pańskimi ludźmi. Widzę społeczeństwo doskonałych niewolników. Doskonałych, bo nie wiedzą, że są niewolnikami i dlatego się nie buntują! A chyba pan słyszał o odkryciu Obcych? Czy nie sądzi pan, że stworzył pan tutaj „piątą kolumnę"? To woda na ich młyn – że powiem dosadnie i obrazowo.

Shore uśmiechnął się.

– Myśli pan wciąż tymi samymi, ciasnymi kategoriami. Obcy to też woda. Inna, ale woda.

Hooverowi opadła szczęka.

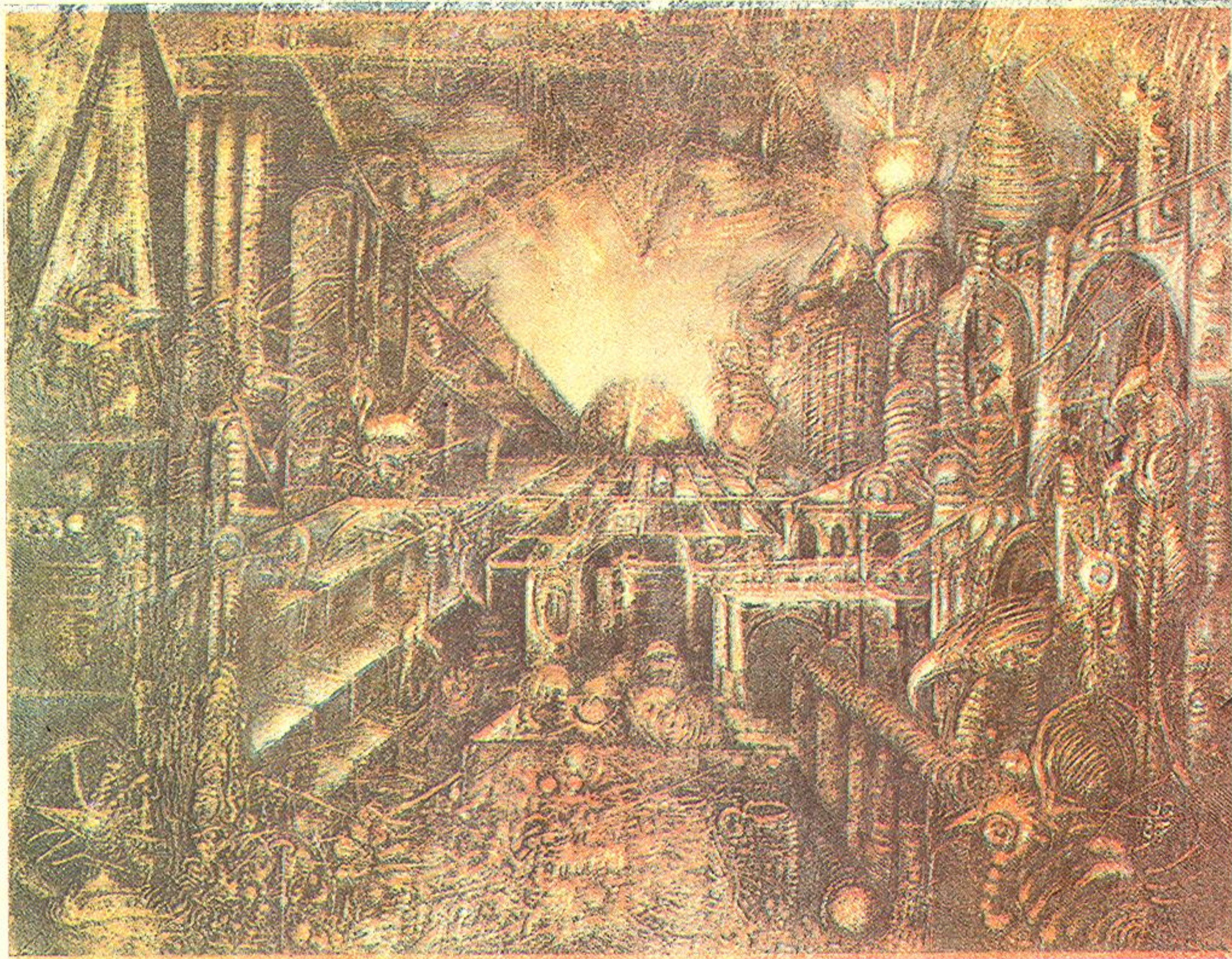
– Utopia – wyszeptał. – Utopić się można!

– A poza tym – ciągnął Shore nie zważając na oszołomienie inspektora – woda może też być groźna. Wie pan, jak wygląda powódź lub przerwanie tamy? Nikt wtedy nie odmawia wodzie siły i niszczycielskich zdolności.

– Do tego jednak potrzebna jest „forma" – otrząsnął się Hoover. – Ktoś musi pokierować, spiętrzyć, ująć w koryto. Musi być przywódca wydający rozkazy. Kto? Pan?

– Nikt. Albo potrzeba. Warunki zewnętrzne. Ktoś, kto chce odcisnąć nową formę. To powoduje, że pojawia się reakcja, ciśnienie, napór. Boi się pan, że staniemy się niewolnikami kosmitów? Żeby tak było, muszą ująć to nasze nowe społeczeństwo w ramy. To forma. My te ramy rozerwiemy. To treść. Każdy układ hierarchiczny, jakiego pan jest reprezentantem, zagorzałym wyznawcą i orędownikiem, jest do zburzenia. Jak piramida, z której wziął wzór. Z trudem, ale można ją rozbić. Układu amorficznego nie. Nie „zburzy" pan oceanu, nie zniszczy chaosu. To prawo natury – entropia stale wzrasta, chaos rośnie, a my cały czas staraliśmy się działać na przekór – porządkować i budować. Chcieliśmy przeciwdziałać niepodważalnym prawom natury. Zamiast brać z niej przykład. To nielogiczne, stąd nasze niepowodzenia.

Jan Grabowski



– A my? A człowiek? Przecież nie można istnieć bez formy?

– Kto to wie? Może człowiek to forma przejściowa do... bo ja wiem, skupisk wolnej woli? Człowiek też idzie na przekór entropii i płaci za to śmiercią, którą jest naznaczony od poczęcia. Wysoka organizacja stworzona kosztem skomplikowanej sieci i dużej energii musi się kiedyś rozpaść. My robimy dopiero pierwszy krok, nie wiemy co będzie dalej, podejrzewamy tylko. Więc „medytujemy", pracujemy, niczego nie burzymy, bo i tak samo zniszczeje, a nawet budujemy, bo kokon ciągle jeszcze jest potrzebny. Jesteśmy poczwarkami, a tu, na Ampis zaczął się proces przemiany. Ja na niego czekam. Wie pan, ile mam lat?

– Pięćdziesiąt? – zaryzykował Hoover.

– Osiemdziesiąt pięć – wyznał Shore. – To koprata. Odmładza. Ja zaczekam.

VI To wszystko bzdury, szaleństwo i rojenia chorego umysłu – myślał Hoover przewracając się po posłaniu i daremnie starając się zasnąć.

Pomimo zmęczenia sen nie nadchodził. Inspektor był tak poruszony rozmową ze Shorem, że myśli kłębiły się w nim jak wir wodny.

Co, do cholery, z tą wodą? – zdenerwował się. Czy ja też już zwariowałem? To ta przeklęta planeta, ten deszcz. Boże jedyny! Od samego deszczu padającego latami bez przerwy można oszaleć, a co dopiero w takim zakazanym miejscu! Tych wszystkich ludzi trzeba leczyć. Wyłapać, wywieźć w jakieś suchsze miejsce i samo im przejdzie! Byle nie mieli za dużo kontaktów z wodą. Z piaskiem też nie! Bo to podobne, jak każde przeciwieństwo, a poza tym piasek stanowi równie wdzięczny obiekt do porównań. Gotowi jeszcze pozamieniać się w wydmy!

Uspokajał się w ten sposób, lecz czuł, że nie o to chodzi. Nie szaleństwo ogarnęło tych ludzi, tak jak nie uważał za szaleńców wyznawców różnych praktykowanych jeszcze religii. To było coś podobnego. Wiara. Wiara zaprawiona domieszką w nowy sposób pojmowanego adwentyzmu, masoństwa i naturalnej filozofii. Pomimo zapewnień Shore'a czuł pod tym wszystkim wywrotowe zapędy. Nie wierzył mu.

„Niech pan się sam przekona" – powiedział plantator. „Niech pan otworzy swój umysł, pozwoli czuć innym, i sam niech pan czuje".

Hoover przeraził się wtedy. Nigdy! Uznał propozycję za bezwstydną. Miałby pozwolić, by inni ludzie, obcy i niebezpieczni, najpewniej wrogowie Federacji, której był jednym z milionów strażników, mieli dostęp do jego mózgu! Do jego wiedzy, tajemnic służbowych? Mieliby wpływać na niego, by zaraził się tym samym niebezpiecznym szaleństwem? Nie.

A jednak leżąc teraz w jednym z pokoi niesamowitego domu Shore'a czuł obrzydliwie pociągającą chęć spróbowania, sprawdzenia na sobie samym, jak jest naprawdę. Co jest tą prawdą. W pewien sposób było to nawet jego obowiązkiem, bo inaczej nie mógłby złożyć obiektywnego meldunku. Czy jednak po takim doświadczeniu jego sąd pozostawałby nadal bezstronny? Bardzo w to wątpił. I bał się. Bał się, że wtedy nie byłby już sobą. Buntował się przeciwko propozycji plantatora, bo była przeciwna całej historii ludzkości, której i Hoover był spadkobiercą.

Wstał. Przeszedł się po bezokiennym pokoju. Dotknął ściany i wstrząsnął nim dreszcz. Nie wiedział dlaczego. Ściana nie była wilgotna ani specjalnie zimna, wewnątrz niej szły rury ogrzewające. To raczej jego wyobraźnia podsuwała mu widok wielkiego, betonowego, bezokiennego bloku o zaokrąglonych kantach i płaskim dachu, po którym ciągle spływają tony wody. Inspektorowi wydało się nawet, że słyszy jak ta lepka ciecz spływa z szelestem po ścianach. Jak się tam ślini i mlaszcze.

Przemierzył jeszcze raz pokój i wrócił na posłanie. Położył się i przykrył. Był zdecydowany. Zdecydował się, chociaż wszystko się w nim buntowało przeciwko uznaniu, że ten zwariowany Shore może mieć rację. Przeciw niemu świadczyło wszystko – cały z trudem wzniesiony gmach jego wiedzy, wielusetletnia praktyka, wychowanie, dążenia, marzenia, a nawet wiara. Nawet ludzkie niebo miało strukturę hierarchiczną. I nagle okazuje się, że to z czego ludzkość była tak dumna, jest jedynie okresem przejściowym, prowadzącym ku wyższym szczytom.

Hoover przewrócił się na bok. To, że podjął decyzję, choćby nawet miała okazać się błędną, uspokoiło go na tyle, że mógł próbować zasnąć.

Rano, gdy zjawił się w jadalni, plantator kończył śniadanie. Przywitali się.

– Dobrze, że pan wstał – powiedział Shore. – Chciałem zapytać, kiedy zamierza pan wracać? Nie wypraszam pana, ale nie mogę dotrzymywać mu towarzystwa. Mam robotę, nazwijmy ją polową, choć to raczej zajęcie dla nurka. Jeżeli zamierza pan zostać u mnie na dłużej, to może się pan „okopać" w domu lub zapraszam ze sobą. Nie jest to, co prawda, zbyt interesujące i można nieźle zmoknąć, ale zawsze stanowi jakąś rozrywkę.

– Chętnie pójdę z panem, jeżeli to nie przeszkadza.

Hoover pośpiesznie zjadł śniadanie, ubrał się według wskazówek plantatora i ruszyli do wyjścia. Jednak Shore poprowadził inspektora nie w stronę podjazdu, na którym został krążownik szos Romy Rolison, lecz do podziemi swego bunkra i w przeciwnym kierunku. Znaleźli się w czymś w rodzaju wewnętrznej przystani, betonowej, wilgotnej i ponurej. Stąd Hoover po raz pierwszy zobaczył jak wygląda dzień na Ampis. Nie był to miły widok.

W szarym, męczącym półmroku rozjaśnianym przez nieliczne lampy mieszczące się w betonowych niszach wsiedli do łodzi uzbrojonej w przedziwne oprzyrządowanie. Jego zastosowanie Hoover miał poznać dopiero za dobrą chwilę. Płaskodenna łódź zabuczała silnikiem i wypłynęła na „pole" koprаty. Shore włączył reflektory i wycieraczki rozmazujące wodę po szybach nadbudówki, dzięki czemu Hoover po raz pierwszy w miarę wyraźnie zobaczył tajemniczą roślinę. Nie była imponująca i chociaż przywieziona z odległej planety, zdawała się nieodłącznie należeć do Ampis. Czarne, sękate i pokrzywione jak palce rachityka gałęzie ozdobione seledynowymi listkami wyrastały prosto z wody. Shore zatrzymał łódź i inspektor zobaczył wtedy jeszcze coś. Z większości rozgałęzień zwieszały się moknąc na deszczu ciemne, dosyć grube i gęste nici. Cały krzew sprawiał upiorne wrażenie, a ich plantacja mogła wstrząsnąć najodporniejszym miłośnikiem horrorów. Inspektor nie zaliczał się do nich.

– Zbieracie te listki? – spytał Hoover, żeby w ogóle coś powiedzieć, i głośno, z wysiłkiem przełknął ślinę.

Shore włączył silnik i najbliższe krzaki wyciągnęły po nich swe gruzłowate ręce topielców. Gałęzie skrobnęły po nadbudówce. Hoover zamknął oczy.

– To nie są listki – wyjaśnił Shore. – To kwiaty. Koprata właśnie zaczęła kwitnąć. Za miesiąc, dwa nie poznałby pan plantacji. Wszystko tu będzie seledynowe, nawet woda, bo w niej się będą odbijać kwiaty. Każdy ma około pół metra średnicy i podobny jest do goździka. Wtedy je zbieramy. A liście, to owe „nici", które jak zauważyłem, nie zrobiły na panu najlepszego wrażenia.

Hoover chciał odruchowo potwierdzić, ale ugryzł się w język.

Płynęli więc w milczeniu po „lesie topielców", jak inspektor nazwał w myślach plantację i nie było widać końca uprawom. Co jakiś czas drogę zagradzała im ziemna grobla niosąca na sobie drogę podobną do tej, którą wczoraj nadjechał Hoover i dzieląca teren na szachownicę płytkich basenów. Wtedy Shore zatrzymywał łódź, z jej burt wysuwało się sześć metalowych, szczudlastych nóg i pojazd przekraczał przeszkodę. Inspektor dziwił się takiemu rozwiązaniu do chwili, gdy przybyli na miejsce i okazało się, że „nogi" nie służą wyłącznie przekraczaniu grobli, ale są napędem podczas pracy. Shore oczyszczał spory akwen ze starych krzewów. Polegało to na tym, że specjalny siłownik, tak zwana łapa śmierci zamocowana na rufie łodzi wyrywała krzaki z podłoża. Szło to dosyć opornie i łódź musiała być podczas tego zabiegu stabilnie zakotwiczona. Czasami nie dawało się jednak wyrwać jakiegoś bardziej wyrośniętego „topielca" i Shore, w gumowym stroju, wskakiwał do wody sięgającej mu do pasa i zakładał pod korzenie mały ładunek wybuchowy. Wracał na łódź, detonował ładunek i „topielec" wylatywał w powietrze.

– Nie używamy tu kół ani gąsienic – odpowiedział Shore na nie zadane pytanie inspektora. – Dla dojazdu są zbyt powolne, a na plantacji niszczą ziemię, ubijając ją zanadto.

Hoover skinął głową. Miał dosyć i nic go to nie obchodziło. Obiad zjedli w ciasnej nadbudówce łodzi, która najwyraźniej była przeznaczona dla jednej osoby. Potrącali się co chwilę łokciami, rozlewali napoje i przepraszali co kilkanaście sekund.

Po obiedzie nic się nie zmieniło. Shore nadal wyrywał swoje krzaki, a Hoover mając dość jego milczącego towarzystwa wyszedł na pokład. Stanął pod małym daszkiem nadbudówki i patrzył na pracującą „łapę śmierci". Co jakiś czas Shore nie patrząc na niego wyskakiwał z łodzi do wody i zakładał ładunki. Wybuch, mlaszczące bicie wody o burty, kołysanie i spokój. Potem znów kilka kroków i operacja się powtarzała. Shore już za każdym razem musiał zakładać ładunki, bo dotarli do najstarszych krzewów. Tempo pracy spadło i Hoover zaczął się zastanawiać, czy nie pomóc plantatorowi choćby w prowadzeniu łodzi, by nie musiał za każdym razem wracać za stery, gdy po kolejnym wybuchu coś uderzyło go w ramię. Niezbyt mocno. Popatrzył odruchowo na ramię, a potem poszukał wzrokiem wokół siebie. Jest. Koło jego obutych w gumowce nóg leżał odłamany wybuchem kawałek gałęzi. Nie dłuższy niż pięć cali. Hoover schylił się, podniósł znalezisko i przyjrzał mu się ciekawie. Zanim jeszcze na dobre zrozumiał co widzi, żołądek podjechał mu do gardła. Czarny, krótki i lekki patyk miał różowojasny przełom, w którym perliły się czerwone kropelki soków rośliny. Z obu końców odłamanego fragmentu zwisały, czy też może – jak się wydawało Hooverowi – wiły się białe włókna kojarzące się nieodparcie z nerwami. Stanął mu przed oczami chodnik z kopraty. Rucił histerycznym gestem ułomek za burtę i sam za nią zwymiotował. Teraz rozumiał, dlaczego hydrauliczny siłownik nazywa się poetycznie „łapą śmierci". Zrzucił z głowy kaptur pozwalając, by deszcz zmoczył mu głowę. Umył twarz i wrócił do sterówki.

– Niech pan włazi do wody – powiedział do Shore'a. – Poprowadzę łódź.

VII

Wieczorem siedzieli w jadalni wielkiego domu. Skończyli posiłek i przeszli do gabinetu Shore'a. Plantator napełnił kieliszki, nie pytając już Hoovera, co podać.

– Jutro rano wracam – powiedział inspektor pociągając pierwszy łyk.

Shore skinął głową.

– Dziękuję za pomoc. Sam nie skończyłbym dzisiaj.

Hoover nie odpowiedział, wołał nie rozwijać tematu.

– Chciałem też powiedzieć, że zdecydowałem się.

Shore podniósł brwi w geście wyrażającym uprzejme zdziwienie i umiarkowaną ciekawość.

– Zdecydowałem się spróbować – brnął dalej inspektor – czuć. Nie wiem tylko, jak to zrobić. Chciałbym, żeby pan jako Wielki... to znaczy, żeby mi pan wyjaśnił co mam robić...

– Nic. Jeśli pan naprawdę chce, to nic więcej nie trzeba robić. Ale ponieważ to pierwszy raz, więc dam panu radę: proszę iść do swojego pokoju i położyć się lub usiąść wygodnie. Na początku, żeby nawiązać kontakt, potrzebne jest odosobnienie i zamknięcie, brak wszelkich dźwięków i widoków. Potem to bez znaczenia, chociaż izolacja wzmaga doznania.

Hoover potoczył wzrokiem wokół.

– To dlatego – powiedział.

Plantator skinął głową.

– Właśnie. A dalej już nic. Jeżeli się pan odreaguje, uwolni od zahamowań, poczuje pan. I to wszystko.

Hoover bez słowa dopił swoją whisky i ruszył na górę. W pokoju nie zdejmując ubrania ułożył się wygodnie na posłaniu. Przymknął oczy. Czuł lekkie napięcie i zdenerwowanie, które rosło wraz z tym, jak myślał, że to właśnie ono przeszkodzi mu w kontakcie. Nie bardzo wiedział, jak ma sam sobie pomóc. Zaczął równo oddychać i rytmicznie naprężać mięśnie jak w treningu izostatycznym. Przerwy pomiędzy kolejnymi skurczami robił coraz dłuższe, aż wreszcie poczuł, że jest pusty i spokojny. I w tej pustce coś się wykreowało. Nie wiedział jeszcze co, bo niewyraźne. Pierwsze doznanie przypominało muśnięcie skóry skrzydłem motyla.

Dlaczego właśnie motyla? – zastanowił się. – Kto mówił o motylu?

Drugie wrażenie było wyraźniejsze i zdecydowanie nieprzyjemne. Nieprzyjemne, bo po raz pierwszy odczuł w sobie obecność kogoś innego. Nie jednego, kilku istnień. Przeraził się, zastanowił, czy nie pora się cofnąć. Potem może być za późno i goście pozostaną w nim na zawsze. Wrażenie momentalnie minęło. To go uspokoiło, pomyślał, że w razie potrzeby zawsze może się wyłączyć. Mimo oczekiwania i spokoju wrażenie nie wracało.

Zastanawiają się – pomyślał.

Zaczął sobie wyobrażać wodę – równy jak stół, jednorodny ocean otaczający planetę. Ślizgał się po jej mokrej powierzchni nie mogąc w nią wniknąć. I nagle zanurzył się. Krzyknął z przestrachu i bólu. Poczuł w sobie już nie kilka istnień, ale setki. Wrażenie było nie do opisania i opanowania, jak orgazm i jak śmierć. Po pierwszych skurczach psychiki przyszło rozkołysane uspokojenie, obce jaźnie rozgościły się w nim nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Na razie czuł jedynie ich obecność, czuł w całkowitej ciemności, że nie jest sam, a właściwie, że jest jednocześnie częścią i całością, mieścił w sobie wszystkich i sam był wchłonięty przez setki umysłów. Poczuł, że jego zachwyt był też ich udziałem. Zaniepokoiło go to. Czyżby dlatego? Czy to stowarzyszenie wampirów polujących na takie psychiczne dziewice jak on?

Wrażenie bliskości nieco zbladło, zrozumiał, że wszystkie jego wahania i wątpliwości zamykają mu drogę w głąb. Musiał oddać bez reszty i przyjąć bez reszty. Gdy to zrobił, zaczął widzieć. I to nie ponury ciemny pokój, w którym ktoś leżał na posłaniu z zamkniętymi oczyma, tylko pochmurny dzień plantacji kopraty po drugiej stronie planety, czuł wodę i ładunek wybuchowy w ręce, ładunek na długiej, ostrej, aluminiowej żerdzi przypominającej oszczep. Wbijał go głęboko pod korzenie jednocześnie tańcząc w nocnym lokalu Rainy City z atletycznym, łysiejącym blondynem. W pałacu gubernatora łączył rozmowę z namiestnikiem Endu, gdy z hukiem wywaliło mu oponę na drodze do Rainy Village, gdzie czekała na niego żona z kolacją. Poczuł pieczenie ręki, gdy sparzyła się promiennikiem. Umierał na resid w nędznym szpitaliku w osadzie plantatorów, a zaraz potem poczuł pierwszą rozkosz młodziutkiej dziewczyny i usłyszał oklaski jakimi nagrodzono go w teatrze „Rainbow" przy Rainbow Street w stolicy. Tępy ból rozdarł mu nagle miednicę, spojrzał w dół, dziecko było mokre i okrwawione, łaskotało mu pierś gdy ssało, popił więc łykiem whisky na dole w gabinecie, i wyrżnął w pysk Scopolicky'ego, z którym szamotał się na ulicy. Nagle, jakby ktoś przekręcił włącznik, znalazł się gdzieś daleko i wysoko. Niczym bóg spoglądał z wyżyn na tysiące gwiazd i planet, a na każdej ktoś umierał, był, kochał, pracował... Zrozumiał, że jest Nadjaźnią, która choć powstała ledwo z tysiąca umysłów, to może sięgnąć poza zasłonę tajemnicy poznania. A gdyby wszyscy... Zrozumiała, że miała rację, gdy sprzeczała się wczoraj sama ze sobą na temat wyższości wody na piramidą. Wszechświat ciągle się rozszerzał, bezwład rósł, należało za nim podążać, rozpełznąć się do jego granic. Piramida tego nie potrafi, nawet przesuwanie wciąż dalej i dalej małych piramidek granicznych, wyznaczających obszar poznania i władzy (co do tej pory robiono) nic nie da. Trzeba się rozlać od krańca do krańca, a potem przecieknąć, czy przelać do innego kosmosu!

Miałam rację – pomyślała Nadjaźń. – Jeszcze jestem za mała, za słaba by ogarnąć sobą wszystko. Za słaba, by zatopić Wielką Piramidę. Rozpuszczę ją powoli w sobie, kamień po kamieniu, głaz po głazie. Jest człowiek, który może mi w tym przeszkodzić, mały kamyczek, który nazywa się Edwin Hoover i jest jednym ze strażników Wielkiej Piramidy. Jego pierwszego chcę wyrwać z jej fundamentów!

VIII

Hoover rozsiadł się wygodnie w swoim pokoju w hacjendzie na Ptahoo i czekał na połączenie z Akado. Nawet się nie rozebrał, miał nadal na sobie te same gumowe buty, w których odleciał z Ampis.

– A to pan, inspektorze! Już pan wrócił?

Hoover uśmiechnął się do hologramu szefa.

– Właśnie.

Bezceremonialnie zaczął z mozołem ściągać wysokie buty, aż poczerwieniał na twarzy z wysiłku.

– No i co? Chce pan złożyć meldunek?

– Tylko notatkę – wysapał Hoover. – Nie ma po co pisać raportów. Miał pan rację, tam się nic groźnego nie dzieje, a gubernator jest zbyt nerwowy. Uspokoiłem go. Kilku plantatorów kopraty, jak pan wie głównego składnika wszelkich leków i odżywek odmładzających, śni o nieśmiertelności. Trudno się dziwić, że wariują, bo toną w deszczu i nie mają na co wydać zarobionej ciężko forsy. To wszystko.

– Dobra – westchnął Akado. – W nagrodę za pomyślne wieści może pan dokończyć urlop.

Akado zniknął. Hoover postał chwilę boso na środku salonu, potem włożył na powrót te same buty i pomaszerował do pawilonu z narzędziami. Wyjechał stamtąd małą koparką i zabrał się do pracy. Przez trzy godziny wrzucał ziemię do basenu, aż jej warstwa sięgnęła prawie metra. Potem wszedł tam z łopatą, wyrównał ziemię i wyjął z kieszeni pojemnik z nasionami kopraty otrzymanymi od Shore'a. Nasiona wysiał w równych rzędach i wrócił do koparki, by je przyrzucić cienką warstwą gleby. Potem odkręcił zawór wody i poszedł coś zjeść.

Po obiedzie woda stała niemal równo z brzegiem basenu i Hoover zamknął jej dopływ. Deszczownice, agregaty chłodzące i tunel zaciemniający nad basenem postanowił zrobić w najbliższych dniach. Nie musiał się śpieszyć, zanim krzewy urosną ponad lustro wody, minie kilka tygodni. Popatrzył na swoje dzieło. Był zadowolony.

Może to śmieszne, ale postanowił żyć najdłużej, jak tylko się da.

1986

Mirosław P. Jabłoński

Mickiewicz Adam

(1798–1855)

Poeta, prozaik

Urodził się 24 grudnia 1798 r. w Zaosiu pod Nowogródkiem. Studiował na Wydziale Literatury Uniwersytetu Wileńskiego. W latach 1819–1829 uczył historii, literatury i prawa w szkole powiatowej w Kownie. Był współzałożycielem Towarzystwa Filomatów (1817). Pierwsze wiersze programowe ogłaszał w początkach lat dwudziestych (m.in. „Oda do młodości", „Pieśń filaretów"). W 1822 r. wydał w Wilnie tom pierwszy „Poezji" zawierający „Ballady i romanse" oraz „Wiersze różne". W 1822 r. ukazał się drugi tom „Poezji", „Grażyna" oraz „Dziadów" część II i IV. Aresztowany za udział w tajnych stowarzyszeniach i propagandę patriotyczną (1823) został uwięziony w klasztorze bazylianów wileńskich. Jesienią 1824 r., skazany na zatrudnienie w szkolnictwie w centralnych guberniach Cesarstwa Rosyjskiego, opuścił Litwę. Po trzymiesięcznym pobycie w Petersburgu został skierowany do Odessy (w 1826 r. ukazały się jego „Sonety krymskie" – refleksje z wycieczki na Krym). Lata 1825–1828 spędził w Moskwie; zatrudniony formalnie w kancelarii generała-gubernatora, nawiązał liczne przyjaźnie ze środowiskiem rosyjskiej elity intelektualnej (Puszkin, Polewoj, Wołkonska, Żukowski). W 1829 r. wydał „Konrada Wallenroda", w rok później opublikował „Poezje" (t. 1–2). W 1829 r. opuścił Rosję udając się w podróż po Europie. Był w Berlinie (słuchał m.in. wykładów Hegla), w Dreźnie (gdzie poznał generała Kniaziewicza), w Pradze, w Karlsbadzie (tu spotkał się z E. Odyńcem), w Bonn, wreszcie w Rzymie, gdzie został wprowadzony do salonów arystokracji poznając m.in. przyszłego Napoleona III. W 1830 r. wyjechał do Szwajcarii, potem wrócił do Rzymu i tu dotarła do niego wiadomość o wybuchu powstania. W 1831 r. przedostał się do Wielkopolski, ale wobec klęski zrywu niepodległościowego zaniechał dalszej podróży. Powrócił do Drezna, gdzie napisał m.in. trzecią część „Dziadów". 31 lipca 1832 r., wraz z grupą emigrantów, przybył do Paryża. Tu, z niewielkimi przerwami, przeżył resztę życia. Nie związał się z żadnym ze stronnictw emigracyjnych. Swoje przekonania zawarł w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego". Od kwietnia do czerwca 1833 r. był redaktorem i głównym publicystą „Pielgrzyma Polskiego". W 1834 r. opublikował „Pana Tadeusza", od listopada 1839 r. wykładał literaturę łacińską w Akademii w Lozannie, jednak mimo sukcesów na tym stanowisku, jesienią 1840 r. wrócił do Paryża obejmując katedrę literatury słowiańskiej w Collège de France. Kierunek polityczny wykładów (opozycyjny wobec monarchii lipcowej) oraz propaganda towianizmu spotkały się z ostrą krytyką prasy polskiej i francuskiej. W 1844 r. władze zawiesiły Mickiewicza w czynnościach profesora. W 1848 r. przybył do Rzymu z zamiarem pozyskania Piusa IX dla swych idei. W przededniu Wiosny Ludów zebrał kilkunastu ochotników jako zawiązek legionu, którego cele ideowe ogłosił w „Składzie zasad" (1848). Wraz z przedstawicielami lewicy francuskiej założył w Paryżu dziennik „La Tribune des Peuples" („Trybuna Ludów"), był jego redaktorem i publicystą. Szansę rewolucyjnej przebudowy Europy łączył z żywotnością idei napoleońskiej. Po zamachu stanu w 1851 r. został usunięty ostatecznie z katedry, w 1852 r. otrzymał skromne stanowisko w Bibliotece Arsenału. Po przystąpieniu Francji do wojny krymskiej (1854) udał się do Turcji, aby wesprzeć akcję formowania legionów polskich do walki z Rosją. Zmarł nagle, najprawdopodobniej na cholerę, 21 listopada 1855 r. w Stambule. Pochowany w Montmorency we Francji – w 1890 r. jego zwłoki przeniesiono do sarkofagu w katedrze wawelskiej.

Adam Mickiewicz jest autorem traktatu noszącego nazwę **„Historia przyszłości"**, prekursorskiego wobec osiągnięć europejskiej fantazji naukowej. Niestety, z całego dzieła dochowało się do dziś zaledwie kilka kart przechowywanych w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Autor, za namową przyjaciół, zniszczył swoje rękopisy – ich publikacja mogła zaszkodzić sprawie polskiej, jako że traktat ustanawiał nader odważną wizję przyszłości, rozbieżną z ówczesną sytuacją społeczno-polityczną. Jak udało się ustalić, istniało kilka wersji utworu: pierwsza powstała w Petersburgu w 1829 r. (rękopis zaginął – jego treść znamy z informacji przyjaciela poety – Odyńca); druga wersja powstała w Paryżu i Dreźnie, pisana w latach 1831–1835 (podobno została spalona w 1833 r. – jest to tzw. redakcja pierwsza); trzecia wersja stanowiąca „Wyjątek z listu do jednego z redaktorów" została ogłoszona w języku polskim w „Pielgrzymie Polskim" 28 czerwca 1833 r; czwarta wersja powstała po napisaniu „Pana Tadeusza" w latach 1834–1835 (tzw. redakcja druga – rękopis zniszczony); fragment piąty – zachowany w autografie (właściwie dwa fragmenty: krótszy i dłuższy) – stanowi własność Biblioteki Polskiej w Paryżu; szósta wersja – znana z redakcji Jana Scovazziego – przekazana Władysławowi Mickiewiczowi, powstała około 1842 r. (rękopis został spalony); wersja siódma to „Improwizacja na temat przyszłości według opowiadania S. Gałęziowskiego".

Wiadomość o tytule utworu zawdzięczamy Antoniemu Odyńcowi. On też informuje o założeniach pierwszej wersji „Historii przyszłości". Obserwacja konkretnych osiągnięć współczesnej wynalazczości, pierwszych prób technicyzacji życia doprowadziła Mickiewicza do oryginalnego obrazu przyszłych czasów, w których człowiek przezwycięży czas i przestrzeń i nawiąże komunikację międzyplanetarną. Autor traktatu zdawał sobie sprawę z roli komunikacji kolejowej, stąd też jego Europa zostaje pokryta siecią „kolei żelaznych, które przemienią postać świata". Dzięki nim, a także dzięki „olbrzymim statkom", przemierzającym oceany dojdzie do powstania instytucji międzynarodowych targów. „(Opowiadał Mickiewicz) *o całych miastach domów i sklepów budowanych z żelaza na kołach, a pędzących po kolejach żelaznych ze wszech stron lądu na jarmark pod Lizboną, dokąd znowu ocean, w olbrzymich okrętach przynosi płody innych części świata*"; Pojawiają się w jego prognozie „*archimedesowe zwierciadła ustawione na ogromnych przestrzeniach w ten sposób, że ogniste litery, odbite w pierwszym, w oka mgnieniu odbijane są w ostatnim*", olbrzymie teleskopy, „*przez które z balonów można całą Ziemię obejrzeć a z Ziemi widzieć co dzieje się na jej satelitach*", akustyczne przyrządy, za pomocą których „*siedząc spokojnie przy kominku w hotelach, można słuchać dawanych w mieście koncertów lub wykładów lekcji publicznych*".

Traktat Mickiewicza wyprzedza o wiele lat fantastyczne prognozy Verne'a, ale jest również nader odważny w ocenie przemian społecznych i świadomościowych. Autor „Historii" okazał się głębokim realistą dostrzegając istotne uzależnienia pomiędzy osiągnięciami nauki, techniki i przemysłu a typem psychicznym wytwarzającego je człowieka, jego charakterem, postawą, moralnością, kulturą. Racjonalna wizja przyszłości nie zyskuje całkowitej aprobaty Mickiewicza. Postęp techniczny, rozwój przemysłu budzą obawę, że ułatwione życie i komfort doprowadzą człowieka do jednostronnego rozwoju. Po pierwsze pogrąży się on w kult rozumu i materializmu, tracąc zdolność do porywu ideowego, po drugie – w gnuśność, egoizm, obojętność, które zadecydują o bezbronności całych społeczeństw nie przygotowanych na odparcie ataku innych zbiorowości zachowujących siłę, wolę, pragnienie przekształcania świata. Przewiduje Mickiewicz gigantyczne starcie Azji z Europą, najazd na Europę Chińczyków, który odeprze Polska, ratując przed zagładą kulturę zachodnioeuropejską. Zwycięską bitwę nad Wisłą stoczy wódz-kobieta (nowa Emilia Plater), stojąca na czele niewiast i młodzieży, jedynego odłamu społeczeństwa, który nie wyzbył się uczucia poświęcenia i heroizmu.

Traktat Mickiewicza jest nie tylko utopijnym obrazem przyszłości, ale także historią. Opisana wizja została ujęta z pozycji spraw należących już do przeszłości. Narrator wypowiada swoje kwestie w trzecim wieku przyszłego tysiąclecia, on sam jest historykiem, a jego dzieło – historiografią. Wyjściowa sytuacja fabularna przypada na rok 2000, dwa dalsze rozdziały przedstawiają obraz lat 2100–2200. Tworzy w ten sposób Mickiewicz nowy gatunek literacki: „imaginary history" i to na długo przed analogiczną koncepcją Herberta Wellsa. Na genezę pierwszej wersji „Historii przyszłości" wpłynęła, być może, lektura technicznej utopii T. Bułharyna „Prawdopodobnyje niebylicy ili stranstwowanije po swiete w dwad'cat dewjatom wiekie" (druk w 1824 r. w „Litieraturnych Listkach" XVIII–XX, XXIII–XXIV). Wizja Polski ratującej Europę przed zagładą jest śladem mesjanistycznych zainteresowań poety, ale także rodzajem literackiej „odpowiedzi" na zdławienie powstania listopadowego. Stosunkowo najciekawsza jest sama koncepcja „zagrożenia ze Wschodu": na najeźdźców wybrał Mickiewicz Chińczyków, choć ówczesne Chiny nie były silne pod względem politycznym i były uzależnione od Anglii. Tworząc rodzaj „prognozy katastroficznej" dał wyraz pewnym możliwościom rozwiniętym na szerszą skalę w literaturze i filozofii XX-lecia (przemyślenia Spenglera, Znanieckiego, Zdziechowskiego, scjentyficzne „opowieści o wojnie" w wydaniu Umiastowskiego, Barszczewskiego, Marczyńskiego; twórczość Stanisława Ignacego Witkiewicza).

Druga wersja „Historia przyszłości" nawiązuje do publicystycznej fazy utopii oświecenia: narracja przybiera postać historiograficznego opisu wolteriańskiego. Autor ukazuje sytuację polityczną we Francji po obaleniu rządów Ludwika Filipa. Europa zostaje ogarnięta rewolucją. Republikanie dostają się w kleszcze dwóch armii: mo-



narchistycznej i wojsk sfederowanych (nieludzkich w okrucieństwie proletariuszy, którzy doprowadzili do rozłamu w starej partii radykalistów na „realistów" i „ludzi"). Na czele sfederowanych stają rozzuchwaleni bandyci: Dydko, Wiszatiel, Oprawca domagający się zniesienia prawa dziedziczności, zastąpienia nazwisk liczbami. Krwawe walki kończą się rzezią armii monarchistów, a republikanie rozprawiają się z proletariuszami. Znać w tych prognozach echa Wiosny Ludów, zapowiedź nieuchronnych zmian politycznych, które zwiększają nadzieję na wyzwolenie Polski, ale zarazem przerażają konsekwencjami rozpętanych żywiołów, zwierzęcych instynktów. W „Wyjątku z listu do jednego z redaktorów" powraca Mickiewicz do założeń „romansu naukowego" kreśląc ironiczną wizję przyszłej Polski na tle nowych instytucji społecznych i „cudownych wynalazków". W kraju buduje się olbrzymie gmachy, w powszechnym obiegu znajduje się moneta zwana „kościuszkiem", powstaje nawet nowe słownictwo odpowiadające aktualnym potrzebom socjalnym (wodnica, wielki bakałarz etc.).

Wersja zrodzona po napisaniu „Pana Tadeusza" mówi o zwycięstwie rewolucji listopadowej, jest zatem rodzajem „historii alternatywnej" (dziś: historyczno-fantastyczne powieści Teodora Parnickiego; „Człowiek z Wysokiego Zamku" Philipa Dicka). Na uwagę zasługuje „Improwizacja na temat przyszłości" zamieszczona w „Avant-propos" Władysława Mickiewicza do wydanych „Melanges posthumes", Serie I – s. 156 i nast.) Jest to improwizacja wygłoszona w okresie kiedy Mickiewicz znajdował się pod wpływami towianizmu i dość radykalnie zmienił swój pogląd w kwestii postępu społecznego. Sama wypowiedź powstała jako replika na koncepcję miasta-falansteru Fouriera zawartego w traktacie „Traite de L'association domestique et agricole" (1822). Mickiewicz poznał doktrynę saint-simonistów w czasie pobytu w Rosji, przestudiował ją dokładniej w Paryżu – wywołała ona u niego lęk przed przyszłością, w której człowiek zostałby zagubiony w społeczeństwie zaprogramowanym przez pedantyczne i małostkowe reformy. W satyrycznej improwizacji mówi poeta o mieście okrytym dachem, wyparkietowanym jak mieszkanie, ogrzanym i oświetlonym, odciętym od przyrody, kaprysów klimatu. Poza miastem znajduje się „szczęśliwa wyspa", pozbawiona dobrodziejstw cywilizacji, lecz dostępna tylko nielicznym. Autor karykaturuje tu przyszłe społeczeństwo dobrobytu – odizolowane od natury, wyręczane przez technikę z walki o byt, „umniejszone" duchowo, nie widujące nawet księżyca i gwiazd, a więc odcięte od źródła wzruszeń i najcenniejszych podniet estetycznych. Nietrudno zauważyć, że polemizując z koncepcjami saint-simonistów tworzy Mickiewicz zalążki nowej odmiany literackiej – antyutopii, choć nie jest w swych spostrzeżeniach osamotniony (traktaty Ruskina, Musseta, Emersona).

Bibliografia wybrana:

– S. Skwarczyńska, *Mickiewicza „Historia przyszłości" i jej realizacje literackie"* (w:) „Łódzkie Towarzystwo Naukowe", 1964,

– M.P. Aleksiejew, *Zamysły „Historii przyszłości" Mickiewicza i russkaja utopiczeskaja mysl 20-tych i 30-tych godow XIX wieka"* (w:) „Slavia" XXVIII/1, 1959.

Adam Mickiewicz

Historia przyszłości

(Redakcja I. Rozdział I)

Aż do tej chwili Francja, niszczona wojną domową, nie mogła wziąć żadnego czynnego udziału w sprawach Federacji europejskiej. Sfederowani domagali się ustawicznie pomocy. Utrzymywali, że Francuzi winni swoje zagadnienia wewnętrzne podporządkować wielkiej sprawie europejskiej, że nie mogą spodziewać się pokoju trwałego, dopóki ta sprawa nie będzie rozstrzygnięta: że chodzi najpierw o zadanie ostatecznego ciosu dawnemu porządkowi w Europie, po czym dopiero przyjdzie pora na rozprawy nad konstytucjami narodowymi i nad sprawami miejscowymi. Nie ulega wątpliwości, że Francja, gdyby popchnęła swe armie ku Elbie i ku Tybrowi, mogłaby zadecydować o losie Europy. Ale naczelnicy Republiki, znużeni przewlekłą wojną domową, nie bezzasadnie przerażeni okropnościami, jakich widownią były Niemcy i Włochy, zagrożeni w końcu sami przez proletariuszy, dalecy byli od tych sympatii dla Sfederowanych, jakie głosili publicznie. Dali przeto odpowiedź, że nie odważyliby się mieszać w sprawy swoich sąsiadów przed zapewnieniem pokoju i szczęścia Francji. Proletariusze natomiast, rozzuchwaleni powodzeniem i sympatiami Europy, parli zażarcie do dalszej wojny (...)

Obie armie francuskie zajmowały w dalszym ciągu stanowiska wyczekujące, nie ważąc się na żadne stanowcze posunięcie. Republikanie mieli 70 000 piechoty, 15 000 kawalerii i straszliwą artylerię. Była to siła więcej niż wystarczająca przeciw proletariuszom, których artyleria była prawie żadna, a kawalerii starczyło zaledwie do pełnienia służby w straży przedniej (...). Spodziewano się (także) przekupić kilku przywódców proletariackich, rozjątrzyć ich nienawiści wzajemne, liczono zatem na zwłokę w nadziei, że wyczerpanie się żywności i niezgoda dopomogą do zdemoralizowania i rozprężenia tego obozu, tak źle zorganizowanego.

I rzeczywiście, wzajemne zawiści proletariuszy, tłumione długo w obliczu niebezpieczeństwa, wybuchały w tym czasie na nowo (...). Partią najliczniejszą i najsilniejszą była zawsze stara partia radykalna (...), partii tej nadano imię realistów, dla jej niechęci do wszelkich teorii oderwanych. Poczęto ich niebawem oskarżać o arystokratyzm z powodu dumy, z jaką chcieli zawsze stać na czele armii i kierować wszelkimi obradami.(...)

Aby wznieść budowlę społeczną trzeba zacząć od podwalin, trzeba jasno określić ideę wieku, trzeba sformułować wiarę socjalną.

Stosownie do tych poglądów ogólnych przedkładano różne ulepszenia natychmiastowe i konieczne. Chciano zacząć od zaniechania nazwy p r o l e t a r i u s z e. Nazwa ta, jakkolwiek lepsza bez wątpienia od tytułu obywatela, przestała już odpowiadać wymaganiom czasu, nie wyrażała żadnej określonej idei, miała w sobie coś rzymskiego, nie była łatwo zrozumiała dla ludzi innej narodowości. Długo rozprawiano nad tym, jaką by ją nazwą zastąpić, aż zgodzono się na jedno, aby nie przybierać żadnej. Patrioci winni by się nazywać całkiem po prostu l u d ź m i, zatem nazwą tak ogólną, że kto by się wzdragał jej przyjąć, mógłby słusznie być ścigany jako nieprzyjaciel ludzkości.

Proletariusze nie przestawali dotąd nosić swych nazwisk rodzinnych. Barbarzyński ten zwyczaj wywodził się z czasów feudalnych, kiedy to nazwisko oznaczało zarazem posiadanie ziemi. Należało je co prędzej znieść, aby ułatwić obalenie prawa dziedziczenia. Imiona chrzestne wobec zniesienia chrześcijaństwa stały się również zbyteczne i śmieszne. Był jednak i wzgląd poważniejszy, przemawiający za ich usunięciem. Nazwisko jakieś, okryte świetnością na drodze zwycięstw albo odkryć naukowych, a podawane z ust do ust, zawsze w końcu staje się rodzajem sztandaru. Człowiek, który je nosi, choćby nawet popełnił błędy lub zbrodnie, wywiera długo jeszcze pewien wpływ, działający bezprawnie i niebezpiecznie dla równości. Zawsze w nazwisku jest coś odrębnego i osobistego. Przedkładano zatem, aby nazwiska zastąpić znakami liczb, gdyż te nie wyrażają nic jako takie i łatwo je można zmieniać. W ten sposób Francja, podzielo-

na na dziesięć serii, obejmowałaby w każdej serii pewną liczbę obywateli. Pierwszy urzędnik pierwszej serii nosiłby numer 1, jego podwładni 2, 3 itd. Prości obywatele nie mieliby żadnego współczynnika. Liczba byłaby nadawana według numeru cywilnego aktu urodzenia, a współczynnik według stopnia hierarchii, cywilnej albo wojskowej. Jakiś jenerał albo urzędnik złożony z urzędu, tracąc swój współczynnik, znikałby z ludzkiej pamięci i wracał w szereg prostych numerów swej serii. System tego rodzaju zadałby ostatni cios osobistej miłości własnej tudzież indywidualności.

Głównie jenerał Jakub (nazwisko swoje rodzinne porzucił on był od dawna) wielki myśliciel i mówca porywający, był tym, który przyczynił się najwięcej do dzieła tej wielkiej reformy i pierwszy poświęcił swe imię chrzestne, wsławione w tylu bojach. Przyjął on numer 1, a jego zwolennicy uformowali się natychmiast w serie i rozliczyli według stopni wojskowych.

Niestety, poważna część proletariuszy, obstająca przy swoich dawnych przesądach, odrzuciła te ulepszenia. Przyszło stąd do rozdwojenia w obozie. Nieraz nawet przychodziło do bójek. Prześladowano się nawzajem, tak, że armia rozprzężona całkowicie, wydawała się bliską rozsypki.

Zostawiliśmy armię Sfederowanych w pełnym odwrocie ku Prusom. Armia ta po niepowodzeniach, jakie spotkały ją w Belgii, usiłowała utorować sobie drogę do Polski, a po drodze zamierzała, jak się zdawało, zagarnąć Berlin. Tymczasem armia saska, otrzymawszy przesadne wieści o zwycięstwie w Ostendzie i o pośpiesznym cofaniu się Sfederowanych, ruszyła przeciąć tym ostatnim odwrót. Przekroczyła Odrę i marszem forsownym posunęła się na Berlin (...).

Przez dwa dni obie armie obserwowały się w milczeniu. Ale wodzowie Sfederowanych: Węgier Wizat i Ukrainiec Didko, pragnąc niecierpliwie wszczęcia bitwy i dążąc do wywabienia monarchistów z ich oszańcowanego obozu, uciekli się do manewru uświęconego pełnym sukcesem. Pchnęli na miasto znaczną część swojej piechoty. O świcie przypuszczono szturm, wdarto się na mury, poczęto mordować mieszkańców i podłożono ogień w czterech rogach miasta (...).

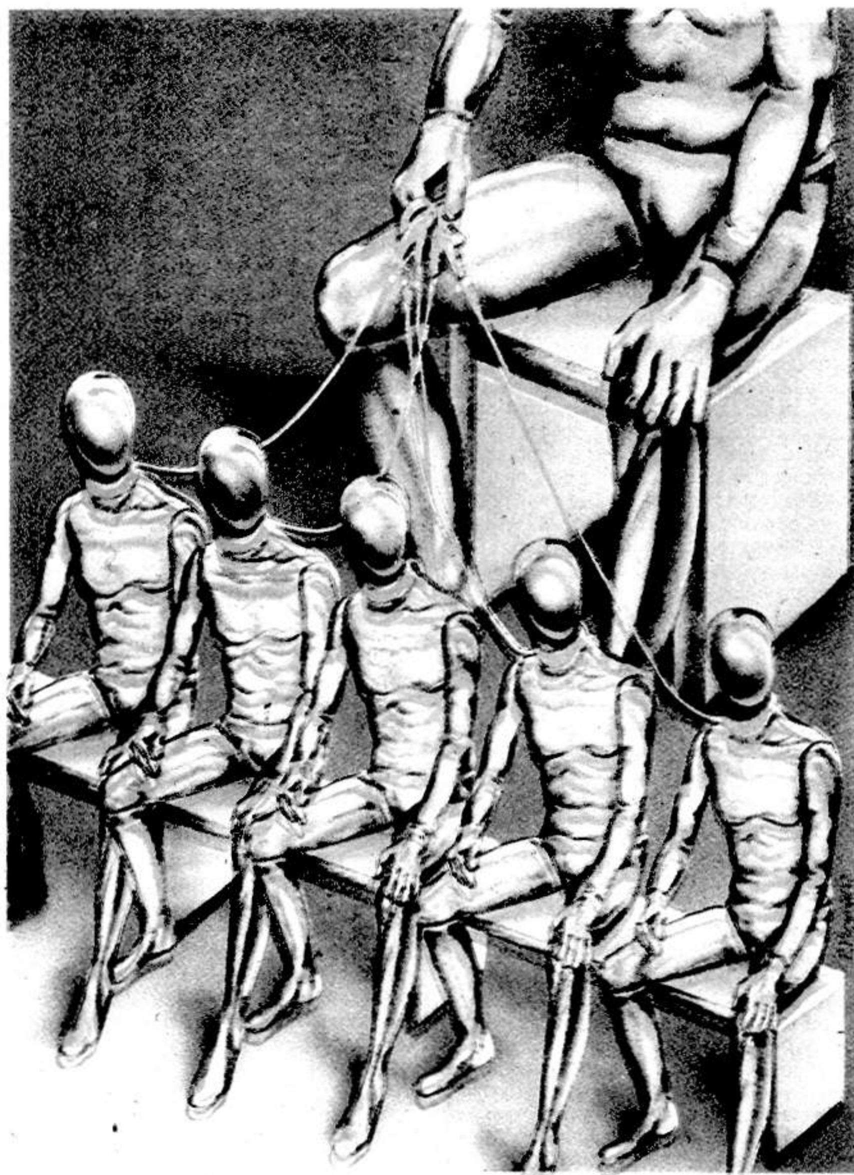
Wizat i Didko działali bardzo roztropnie (...). Zebrali resztę swojej piechoty uzbrojonej przeważnie w piki i siekiery, utworzyli z tego zwartą masę i pchnęli ją na nieprzyjaciela w kierunku centrum jego armii. Ten tłum piechurów, dziesiątkowany ogniem armatnim i rotowym, zdołał jednak zbliżyć się do linii nieprzyjacielskiej. Wówczas monarchiści podsunęli się ku nim na obu skrzydłach, aby ich otoczyć i zniszczyć. Na to tylko czekali rewolucjoniści. Widząc kolumny nieprzyjacielskie w ruchu i korzystając z pewnego nieładu, jaki się wkradł do centrum ich armii, rzucili tam całą swoją konnicę, rozkazując jej, aby pchała przez sobą masy powstańców, aby przejechała po nich, złamała środek nieprzyjacielski i uderzyła następnie na skrzydło prawe i lewe. Pięćdziesiąt dwa tysiące kawalerii węgierskiej, czeskiej i kozackiej ruszyło z miejsca z krzykiem przerażającym. Piechota rewolucyjna, zagrożona własną kawalerią, rzuca się biegiem w szeregi nieprzyjaciół, rąbie i kosi wszystko co jej staje w drodze. Złamane bataliony już podawały tył, kiedy straszliwa lawina kawalerii, otaczając z nagła tę skłębioną masę, miażdży ją i rozbija w puch. Rzeź trwała cały dzień i do późna w noc, piaszczyste równiny pod Berlinem nie dawały uciekającym żadnego schronu. Liczbę zabitych różnie podają autorzy: jedni podnoszą ją do dwustu tysięcy, drudzy podają tylko sto pięćdziesiąt tysięcy. W każdym razie, to pewna, że cała armia monarchistów zginęła na placu boju (...).

Sfederowani podzielili teraz swe zastępy na dwie wielkie armie, pierwsza z nich, pod dowództwem Niemca noszącego nazwisko Oprawcy, posunęła się biegiem Morza Północnego i zająwszy wszystkie tamtejsze porty od Hamburga po Antwerpię, przeprawiła się do Anglii. Armia druga, złożona prawie wyłącznie z kawalerii pod wodzą Didka i Wizata, szybkim marszem przebyła Niemcy Środkowe i przez wąwozy Tyrolu wkroczyła do Włoch(...).

Tymczasem proletariusze francuscy stali wciąż na swych stanowiskach, nie cofając się, ani nie posuwając naprzód. (...) Z tej bierności skorzystali przebiegle republikanie. Napadli znienacka na pozycje tamtych, zdobyli wiele z nich, zagrozili nawet fortyfikacjom Marsylii i oszańcowanemu obozowi Lyonu. Wodzowie proletariaccy, widząc położenie prawie bez wyjścia, wysłali poselstwo do armii Sfederowanych we Włoszech. Armia ta przewaliła się wkrótce przez wszystkie wąwozy Alp i zalała Szwajcarię...

Adam Mickiewicz, Historia przyszłości, redakcja I, rozdział pierwszy (w:) A. Mickiewicz, Dzieła, tom VI (Pisma prozą, cz. II), przew. komitetu red. J.Krzyżanowski, Czytelnik, Warszawa 1955.

Przygotował Andrzej Niewiadowski



Andrzej Brzezicki

Nowe spotkania

Pod koniec roku 1986 wydawnictwo „Iskry" opublikowało kolejną pozycję z broszurowej serii science fiction. Jak zapowiedziano w przedmowie, jest to pierwsza część zbioru opowiadań, których autorzy podejmują klasyczny w literaturze fantastycznej temat kontaktu z obcymi cywilizacjami.

Autor zbioru, Maciej Parowski, zadał sobie niemało trudu, aby z aktualnej (wyjątek stanowi opowiadanie Janusza A. Zajdla) twórczości młodych polskich pisarzy wybrać utwory, które najbardziej będą odpowiadały jego koncepcji. Parowski wiedział o zagrożeniach wypływających z tego rodzaju zestawienia. Pisze o tym w przedmowie: *„...każdy z autorów widzi inne realia, szanse i niebezpieczeństwa kontaktu, ale niemal wszystkie rozważania o spotkaniu służą do mówienia o człowieku, do snucia ziemskich hipotez lub ostrzeżeń, do opowiadania bardzo antropocentrycznych dowcipów"*. Słusznie też zauważa, iż w owych próbach *„...ujawniają się doświadczenia najnowszego kina i fantastyki światowej, fascynacja myślą Wschodu, a także szkołą polskiego felietonu i studenckiego kabaretu"*.

Moim zdaniem, autor wyboru dał się jednak trochę zwieść pozorom i zapomniał o tym, co głosili młodzi twórcy dwa lata temu, podczas spotkania na warszawskich Dniach Fantastyki. Otóż zapowiedzieli oni chęć tworzenia dobrej literatury rozrywkowej, co im się zresztą, sądząc po przeczytanych opowiadaniach, w mniejszym lub większym stopniu udało.

Większość z nich jest po prostu dobrze napisaną literaturą rozrywkową, dla której sztafaż typowy dla science fiction jest jedynie pretekstem do słownej zabawy czy żonglerki pomysłami. Opowiadania te są w większości oparte na dobrych, co trzeba przyznać, wzorach amerykańskiej i angielskiej literatury tego typu reprezentowanej przez takich autorów, jak Alistair McLean czy Le Carre. Naszym młodym twórcom, co prawda, trochę jeszcze do nich brakuje, ale pierwsze próby są wcale niezłe.

Cechą charakterystyczną wielu opowiadań zamieszczonych w „Bliskich spotkaniach" jest sposób potraktowania tematu. Są to w większości teksty satyryczno-ironiczne, a chwilami wręcz sarkastyczno-kostyczne, napisane dobrym, płynnym językiem. Ale odmiennie od Parowskiego uważam, że autorom prezentowanym w zbiorze jest (z małymi wyjątkami) dokładnie obojętne o czym piszą. W opowiadaniach tych nie ma tak często występującego kiedyś w science fiction zaangażowania i fascynacji nowymi sytuacjami czy nawet wiary w ewentualną możliwość rozwiązania konfliktów i problemów ziemskich obywateli.

I tu zgodziłbym się z Maciejem Parowskim, że *„...literatura fantastyczna młodych jest... mądrzejsza, bardziej świadoma niż była nią polska proza SF przed kilkunastu laty"*. Młodzi twórcy po prostu powrócili na ziemię, stwierdziwszy, że rozwiązanie problemów można znaleźć jedynie między ludźmi. Stąd większość tych opowiadań jest bardzo „antropocentryczna". Fakt, że są one ironiczne, wynika chyba między innymi z ich niewiary w możliwość zrealizowania tego chwalebnego celu.

Wydaje mi się, że autorzy prezentowani w zbiorze Parowskiego, jak również i inni, którzy jeszcze nie znaleźli uznania w oczach dokonującego wyboru, są na najlepszej drodze, aby włączyć się w popularny na rynkach zachodnich nurt political fiction. Tendencje te występują szczególnie wśród pisarzy zachodnioniemieckich, czego przykładem może być drukowane niedawno w „Fantastyce" opowiadanie Armera.

W „Bliskich spotkaniach" występuje jeszcze jeden, dość charakterystyczny podział – idzie mianowicie o odmienność utworów napisanych przez panie – Zofię Beszczyńską i Emmę Popik. Ich twórczość to rodzaj fantastyki poetyckiej, jak napisał Parowski *„...operującej mniej wyobraźnią alegoryczną, a bardziej projektującą"*. Uciekają one od problemów ziemskich, starając się opisać, wczuć w tę tajemniczą istotę Nieznanego, która nas swego czasu tak fascynowała.

Czytelnicy zbioru sami wybiorą, który sposób potraktowania tematu, a może nawet i całego gatunku będzie im bardziej odpowiadał, co przy możliwościach kontaktu z autorem wyboru, przyniesie efekt w postaci drugiej części „Bliskich spotkań".

Wawrzyniec Sawicki

Bliskie spotkania. Opowiadania fantastyczne. Wybór: Maciej Parowski. Iskry, Warszawa 1986 r. Cena 50 zł.

Po prostu bestseller

W tej samej, jubileuszowej, pięćdziesiątej „Fantastyce", w której pisałem o bestsellerze Stephena Kinga i Petera Strauba z 1984 roku – „The Talisman", ukazała się notatka Franza Rottensteinera z relacją o opublikowanej w „Publisher's Weekly" liście bestsellerów 1985 roku. Na owej liście miejsce co najmniej honorowe zajmują znów dwie książki Kinga, wydane w niebagatelnych nakładach 600 000 i 300 000 egzemplarzy. Duży to sukces tego niezwykle czynnego pisarza, usprawiedliwiający chyba bliższe zainteresowanie się jego twórczością. Zwłaszcza że książka, która zajęła na liście miejsce piąte, zdobyła jednocześnie prestiżową nagrodę magazynu „Locus" w kategorii najlepszego zbioru opowiadań.

Popularność Stephena Kinga tym bardziej zastanawia, jeśli weźmiemy pod uwagę specyfikę zbioru „Skeleton Crew", na który składają się dwadzieścia trzy teksty różniące się pomiędzy sobą pod każdym względem. Najdłuższy z nich, „The Mist" ma rozmiary samodzielnej powieści (144 strony), „For Owen" natomiast liczy sobie dokładnie stron dwie i podobnie jak „Paranoid. The Chant", ma formę wiersza czy też pieśni. Niektóre utwory powstawały na zamówienie lub z myślą o druku w mniej lub bardziej prestiżowych czasopismach („Yankee", „Fantasy and Science Fiction", „Playboy"), inne („Cain Rose Up", „Here There Be Tigers", „The Reaper's Image") pisane były „do szuflady". Co więcej – opowiadanie najstarsze („The Reaper's Image" z 1965 roku) powstało osiemnaście lat wcześniej niż opowiadanie najnowsze („The Ballad of the Flexible Bullet" z 1983 roku). Pierwsze było dziełem osiemnastoletniego młodzieńca, przystępującego do nauki w college'u, ostatnie jest arcydziełem w pełni ukształtowanego pisarza o niezwykle sprawnym warsztacie literackim. Zestawienie obu tekstów wymagało sporej odwagi, a błyskawiczne rozejście się 600-tysięcznego nakładu świadczy o tym, że istnieją sytuacje, w których taka odwaga może się nawet opłacić.

Tajemnica powodzenia powieści i co bardziej niezwykłe – opowiadań Kinga polega na tym, że – operując w ramach niezbyt szanowanego gatunku jakim jest „horror", traktuje on owe ramy tak, jakby były zrobione z bardzo elastycznej gumy. Potrafi z niezwykłą wręcz lekkością, prostotą, a nawet dezynwolturą sparodiować konwencję nie tracąc kontaktu z czytelnikiem i nie nadużywając jego wyobraźni. Umie wykorzystać akcesoria horroru, lecz potrafi także balansować na najcieńszej linie prawdopodobieństwa. W „The Mist" pojawiają się zatem wielokrotnie wyśmiewane i parodiowane „macki", nie są one jednak niczym więcej niż konwencjonalnym sygnałem zagrożenia, a fabuła utworu dotyczy obserwacji, jak na to zagrożenie reagują typowi Amerykanie zamknięci w wielkim supermarkecie idyllicznej prowincji stanu Maine. „Cain Rose Up" to niewiele więcej (ale też i niewiele mniej) niż wiwisekcja sytuacji, kiedy oblany podczas egzaminów student mści się na profesorach i kolegach strzelając z okna swego pokoju do przypadkowych przechodniów. W „Here There Be Tigers" prześladowane, na skutek słabości pęcherza, dziecko wyobraża sobie tygrysa ukrytego w szkolnej toalecie, który pożera znienawidzoną nauczycielkę. Nieszczęśliwy pisarz, mający na karku głupią, grubą żonę i nieudanego syna, kreuje przy pomocy edytora tekstu nową rzeczywistość, w której żeni się z atrakcyjną bratową i ma z nią zdolnego syna elektronika, podczas gdy „naprawdę" nieco wcześniej zginęli oni w katastrofie samochodowej („Word Processor of the Gods"). Anatomię tekstów można byłoby opisywać dalej (jest na przykład w „Skeleton Crew" także miejsce na bardziej konwencjonalną, fatalną w skutkach fascynację seksualną – „Nona") nie jest to jednak konieczne. Różnorodne motywy czytelnik z łatwością sprowadza do nieoczekiwanego, wspólnego mianownika: znanej mu, codziennej rzeczywistości, w której najbliższy sąsiad po prostu zwariował w trakcie strzyżenia wypielęgnowanego trawnika.

Tylko raz, w „The Ballad of the Flexible Bullet" „paperbackowy" autor – Stephen King ociera się o prawdziwą sztukę. To niezwykłe opowiadanie (o książce napisanej przez szalonego pisarza, która zaraża szaleństwem kolejnych ludzi) jest jedyną w całym tomie potraktowaną serio próbą opisania „innego" świata – i próbą najzupełniej udaną. W pozostałych opowiadaniach King zatrzymuje się w pół kroku, stawia kropkę w chwili, w której jego bohater ostatecznie przekracza granicę normalności. Tymczasem samo zderzenie zwykłego świata z niezwykłą nań reakcją wystarczy, by stworzyć atmosferę prawdziwej grozy. Granica rzemiosła, tak jak granica szaleństwa, pozostają prawie nienaruszone, a to co otrzymuje do ręki czytelnik nie jest niczym więcej niż – po prostu bestsellerem.

Krzysztof Sokołowski

Stephen King: *Skeleton Crew.* London 1985.

Nagrody Nobla ożywiają nasze życie literackie i wydawnicze. W 1986 r. dostaliśmy kilka książek Goldinga, a wśród nich drugie wydanie najsłynniejszej jego powieści z 1954 r. – „Władca Much". Strach pomyśleć jak długo jeszcze czekalibyśmy na to wznowienie bez decyzji Szwedzkiej Akademii.

James Gunn zalicza książkę do powieści kultowych, podobnie jak „Paragraf 22" Hellera, jak „Władcę Pierścieni" Tolkiena. U nas w głównym nurcie rolę książki kultowej spełniało jeszcze niedawno „Pod wulkanem" Lowry'ego. W latach siedemdziesiątych kultową powieścią była bez wątpienia „Gra w klasy" Cortazara i może „Sto lat samotności" Marqueza, a przed wojną bodajże „Klub Pickwicka" Dickensa. Książki kultowe to znaczy czytane bez końca, cytowane przez wielbicieli, dyktujące pewien styl życia oraz myślenia i używane jako podstawa przyjacielskiego kodu. Obecnie, wśród polskich fantastów czyta się w ten sposób Raymonda Chandlera, wybitnego przedstawiciela czarnego kryminału. Z czystej fantastyki – na pewno wszystko co wyszło spod pióra Philipa K. Dicka. A z polskiej? Szczerze mówiąc nie wiem. Kiedyś może „Solaris"? Ale dziś Lema nie odczytujemy już tak pasjonacko. I teraz, Golding? W 1963 r. Peter Brook nakręcił znaczący film na podstawie powieści. My dostajemy drugie polskie wydanie w dwadzieścia lat po pierwszym, tym razem w nakładzie 50 tys. Jak na kult trochę mało, ale jest szansa, że parę osób książkę przeczyta.

Diabeł nie śpi!

Ci, którym się to uda nie będą żałować, choć we wspomnianym gronie międzynarodowych rarytasów wygląda powieść Goldinga na najmniej wyszukaną. Rzecz napisana jest prosto, alegoryczny i moralizatorski zamiar powieści leży na wierzchu, oczywista jest też jej inspiracja biblijna. Nie ma igraszek z formą, z językiem, nie ma eksperymentów z czasem. Na bezludnej wyspie, pełnej jak biblijny raj smakowitych owoców, ląduje w wyniku katastrofy samolotu grupka angielskich chłopców i zaczyna od zera. Najpierw wspólnie i zgodnie wybierają wodza, by jak w „Umowie społecznej" Jana Jakuba Rousseau zrzec się części suwerenności na rzecz wybranej osoby. Potem stanowią prawa. Demokratycznie podejmują decyzje. Dzielą się zadaniami. Ale w toku nadto licznych obrad (choroba demokracji) uprawiają gadulstwo, demagogię, pogardę dla słabszych maluchów. Nieodpowiedzialne mędrkowanie chłopców sprawi, że zgaśnie ognisko, właśnie wtedy, gdy dym mógłby przywołać przepływający obok statek. Ta sama nieodpowiedzialność i stadność zachowań doprowadzi do pożaru, w którym zginie jeden z malców. Potem mamy narastający konflikt między Ralfem, legalnie wybranym przywódcą i strażnikiem ogniska, a Jackiem, agresywnym myśliwym. Ten konflikt, właściwie rewolta Jacka, kojarząca się nieco z konfliktem Kaina i Abla, doprowadzi społeczność chłopców do rozpadu i moralnego upadku.

Jest w książce więcej biblijnych tropów, a wśród nich najważniejszy – zjawi się na wyspie diabeł-kusiciel. Najpierw w postaci rojeń o wężu lub innym potworze czającym się w mroku. Później to co realne duchowo, co kłębi się w duszy, zyskuje, jak uczy Jung, postać fizyczną. Diabeł przybywa na wyspę w dwu wcieleniach: Władcy Much, świńskiego łba wbitego przez myśliwych na pal i Zwierza, trupa lotnika, który nocą spadł z nieba. Diabeł-symbol staje się wkrótce wymowną i skutecznie działającą rzeczywistością. Potrafi skłócić społeczność chłopców. Potrafi doprowadzić do zamordowania dwu wartościowych, choć pozbawionych charyzmy istot, które mogłyby mu stanąć na drodze. Dlatego muszą zginąć zabici przez kolegów: Prosiaczek, tłuścioszek w okularach, będący nie wysłuchanym mędrcem i Simon, wrażliwa istota, ktoś w rodzaju kapłana, który miewa widzenia.

Prowadzi nas Golding do samych źródeł tajemnicy zła bez wykrętów i właściwej dwudziestemu wiekowi scjentystycznej wstydliwości. Cóż to jest diabeł? Otóż Władcę Much chłopcy wzniosą własnymi rękami. Gdy rozum śpi, budzą się upiory... Myśliwi powodowani głodem mięsa, chęcią zabawy, ale i poszukiwaniem bezpieczeństwa – dołączą do swego ambitnego wodza i złamią ustalone wcześniej prawa. Prawie wszyscy chłopcy dobrowolnie doprowadzą się do histerii, w której zabiją Simona, później poprą najgorszego ze swego grona w bezlitosnej walce o prestiż i władzę. Będą na siebie polować za pomocą obustronnie zaostrzonych dzid. Będą wymyślać barbarzyńskie symbole. Używając tych symboli spróbują przekupić ciemne moce. Spróbują – sami z siebie, ale i z inspiracji Belzebuba (filistyński Władca Much), który czeka na człowieka nawet na najmniejszej wysepce i czai się w zakamarku jego duszy, grając w niej kiedy przyjdzie pora na ambicji, pysze, wygodnictwie, strachu i bezkrytycznej potrzebie wspólnoty... Tym różni się powieść Goldinga od większości tego co powstaje i powstawało w fantastyce: Gwiezdne imperia zła! Agresorzy! Albo nasza fantastyka socjologiczna – z jej bohaterem, poczciwą jednostką tłamszoną przez gwiezdne systemy. Albo literatura polityczna, mówiąca o klasach, narodach, kapitałach czy gangach... Zimno, zimno! Golding idzie dalej, do sedna. Mamy wyspę, owoce, słońce, mamy cywilizowanych chłopców, nikt im niczego nie narzuca, nie naciska, nikogo nie przynosi w teczce i... nie wychodzi. Dlaczego wszystko się psuje? – pyta w powieści Ralf, pyta Prosiaczek. Winien Szatan, odpowiada Golding, szatan w postaci świńskiego łba na kiju i szatan w naszej duszy.

Nie wygląda to na myśl nową i wyrafinowaną ani na propozycję bezsprzeczną. W Polsce z Szatanem różnie bywało. W każdym razie Goldinga w tej materii warto wysłuchać. W czasie wojny, jako uczestnik bitew morskich zobaczył do czego są zdolni dorośli. Po wojnie, jako nauczyciel, dokładnie przyjrzał się dzieciom. Zobaczył tu i tam tego samego człowieka. Ciekawe byłoby dotrzeć dziś do jego wychowanków, mają koło pięćdziesiątki i niewykluczone, że wszyscy są sympatyczni i bardzo teraz dumni ze „swego pana". Ale Golding nie wyobraził ich sobie w społeczeństwie, gdzie temperuje nas obyczaj, szkoła, prasa i prawa – lecz na bezludnej wyspie, gdzie w s z y s t k o w o l n o. I wtedy zobaczył w nich tego samego człowieka, którego Conrad poznał w Afryce i opisał potem w „Jądrze ciemności" jako istotę skażoną, z której zawsze może opaść pozłotka cywilizacji i kultury, jeśli świadomie, z wysiłkiem nie będzie się strzec.

Takich morałów słucha się raz dobrze, raz źle, zależnie od mody i koniunktury. Jak jest fajnie, jak krzywa rośnie – to źle. Bronisława Bałutowa w pracy o powieści angielskiej XX wieku pisze o fluktuacjach krytycznego odbioru „Władcy Much". Zmieniało się to co dekadę. Zrazu mówiło się, że powieść jest nieprzyzwoicie symboliczna i oderwana od rzeczywistości. Potem rozwodzono się nad jej subtelnością i głębią. Następnie rzecz była znów zbyt realistyczna i płytka. Angielski badacz robił nawet zestawienie kontrastowych opinii, wychodzących w różnym czasie spod piór tych samych krytyków.

Ciekawa metoda badania – ale czego? Raczej Ducha Czasu niż książek, raczej kultury niż literatury. Samotnicy jak Golding nie robiący sobie nic z mód i nowinek, nie ukrywający wiary i moralizatorskich zamiarów – wprawiają w zakłopotanie świecką, migotliwą i zmienną kulturę. Czasem dostają Nobla lub inne nagrody. Czasem nie. Nie ma tu reguł. Dla nich i dla ich czytelników, których zawsze znajdą, ważne jest jedno. Wśród ludzi, którzy przemyśleli przerażającą przygodę Prosiaczka, Ralfa, Jacka i pozostałych możemy się czuć w miarę bezpieczeni. Oni już wiedzą, zostali ostrzeżeni.

Ale inni?

Maciej Parowski

William Golding: *Władca Much*. Tłumaczył W. Niepokólczycki. Czytelnik, Warszawa 1986. Cena 250 zł.

„MORSKA" FANTASTYKA WELLSA

W nie nazwanej serii Wydawnictwa Morskiego poświęconej „morskim" drobiazgom literackim klasyków światowego piśmiennictwa ukazały się dwa opowiadania jednego z ojców współczesnej fantastyki naukowej – Herberta George'a Wellsa. Oba pochodzą z wydanego w 1897 r. zbioru „The Plattner Story and Others" i oba zrodzone są z niepokoju i strachu, jaki w ludziach przełomu wieku wzbudzały głębiny oceaniczne. Wells, biolog z wykształcenia i wieloletni recenzent książek naukowych posiadał rozległą wiedzę na temat stanu badań życia oceanów. Andrzej Zgorzelski w obszernym eseju poprzedzającym nowelki autora „Wojny światów" wskazuje nawet, które z recenzowanych przez Wellsa na łamach „Pall Mall Gazette" utworów były bezpośrednią inspiracją obu opowiadań.

Zgorzelski w swym kompetentnym wstępie, który nosi tytuł „Dwie głębie, dwie otchłanie..." pokazuje twórczość Wellsa na rozległym tle ówczesnej literatury i nastrojów, jakie ogarnęły ludzi u schyłku wieku, w przededniu – jak się spodziewano – jakiejś istotnej przemiany cywilizacyjnej. Pokazuje, w jaki sposób nowele Wellsa powiązane są ze stanem współczesnej autorowi wiedzy. Zwraca uwagę na to w jaki sposób występujące w obu tekstach wątki i pomysły przekształcały się w twórczości samego Wellsa, jak oddziałały na innych autorów powieści i opowiadań fantastycznych. Wskazuje wreszcie Zgorzelski na mistrzostwo, z jakim autor „Wehikułu czasu" prowadzi narrację w obu utworach, jak różnicuje pisarskie techniki w zależności od zamierzonego efektu.

Opowiadanie pierwsze, obszerniejsze objętościowo, nosi tytuł „W otchłani" i opisuje wyprawę na dno oceanu podjętą przez młodego człowieka w sposób raczej niefrasobliwy, co zresztą narrator wyraźnie zaznacza. Nie wiadomo nawet jaki jest cel tej wyprawy. W każdym razie na dnie oceanu napotyka podwodną cywilizację, która czci jego batyskaf grożąc tym samym życiu zamkniętego w nim człowieka (zapas tlenu!). Za pierwszym razem wszystko kończy się dobrze, za drugim – nie. Narrator nie wyjaśnia motywów powtórnej wyprawy, opowiadanie celowo zawiera wiele niedopowiedzeń, by wzbudzić w czytelniku niepokój, by intrygować go swą tajemniczością. Rzecz zbadana i wyjaśniona nie niepokoi. Podobnie dzieje się w drugim opowiadaniu – „Atak z głębiny". Nosi ono cechy szkicu, nie „ogrywa" pomysłu do końca: oto z morskich głębin wypływają tajemnicze głowonogi, które w płytkich zatokach i na plażach Kornwalii atakują ludzi. Ci staczają z nimi walkę i potwory znikają. Koniec. Niebezpieczeństwo czyha wszędzie, może pojawić się w najmniej spodziewanym miejscu i zniknąć równie niespodziewanie, jak się pojawiło. Pozostaje niepokój, strach i tajemnica.

Wells porusza się w tych tekstach na pograniczu obszarów, które szczególnie intrygowały opinię publiczną: uświadomiono sobie, że właściwie nie zbadano jeszcze tylko kilku miejsc na kuli ziemskiej i na nie zwrócono uwagę. Do dzisiaj zresztą ten psychologiczny mechanizm występuje: to, co tajemnicze nadal intryguje, zmieniają się tylko obszary okryte tajemnicą. Kosmos w miarę jak trwają jego badania też traci swą aurę tajemniczości. Coraz częściej straszymy się samymi sobą, tym, co tkwi w człowieku. A w ogóle, to w fantastyce – na szczęście – można sobie pozwolić na wiele, również na współczesne fantazjowanie „morskie".

Leszek Bugajski

Herbert George Wells: *Atak z głębiny*. Przełożył Adam Kaska. Wstępem opatrzył Andrzej Zgorzelski. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1986. Cena 95 zł.

Fot. Zbigniew Latała

Juliusz K. Palczewski (ur. w Wilnie w 1932 r.) jest adiunktem w Instytucie Filologii Angielskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Historyk, teoretyk i krytyk literacki. W roku 1967 otrzymał stopień doktora na podstawie rozprawy „H. G. Wells jako historyk przyszłości" pisanej pod kierunkiem prof. dr Margaret Schlauch. Autor wielu monografii, rozpraw krytycznych poświęconych powieści anglosaskiej, twórczości Jamesa, Conrada, Galsworthy'ego, a przede wszystkim H. G. Wellsa.

W roku 1976 w 110 rocznicę urodzin i 30 rocznicę śmierci pisarza ukazała się monografia książkowa Palczewskiego: „Utopista bez złudzeń: H. G. Wells" (SW „Czytelnik"; nagroda Ministra Szkolnictwa Wyższego). W roku 1978 wydawnictwo „Ossolineum" w ramach „Biblioteki Narodowej" opublikowało jego edycję „Historii świata" – Wellsa; zaś w 1985, w tej samej serii, opracowanie „Wehikułu czasu" (nagroda literacka „Fantastyki" w dziedzinie krytyki). W roku 1982 „Czytelnik" wydał jego monografię „John Galsworthy".

Artykuły i eseje drukował Palczewski na łamach „Twórczości", „Odry", „Miesięcznika Literackiego", „Przeglądu Humanistycznego", „Kwartalnika Neofilologicznego", „Życia Literackiego", „Kultury", „Tygodnika Kulturalnego".

Esej tu zamieszczony został przygotowany na seminarium krytyczne, które odbyło się na Uniwersytecie Warszawskim w czasie ubiegłorocznych Dni Fantastyki.
(an)

Juliusz K. Palczewski

XIX-wieczne koneksje nowoczesnej SF

(Wells i Verne)

Herbert George Wells na arenie literackiej pojawił się ze swoją fantastyką naukową pod koniec wieku XIX. Była to fantastyka zasadniczo odmienna od tej, jaką w tym samym stuleciu uprawiał jego wielki poprzednik we Francji, Jules Verne.

Francuz usiłował w maksymalnym stopniu wszystko doprowadzić, dopowiedzieć, wyjaśnić do końca, lubował się w triumfalistycznych, tłustych kropkach nad „i". Anglik zatrzymywał się u progu tego co nieodkryte, nieodgadnione, nieznane i z pokorą kreślił skromne, choć intrygujące znaki zapytania. Dlatego to od niego właśnie bierze swój rodowód prawdziwie nowoczesna science fiction.

Wells zadebiutował w 1895 r. krótką, ale iście genialną powieścią fantastyczno-naukową „Wehikuł czasu", wizją ludzkości roku 802 701 (zwróćmy uwagę na opadający ciąg liczbowy oznaczający progresję spadkową, chylącą się, kurczącą; zasadnicza tendencja utworu zostaje przeto zaznaczona już w samej materii cyfrowej; znamienne to szczególnie w dobie dzisiejszej dominacji znaku w sferze artykulacji literackiej) przenoszącą, rzutującą w daleką przyszłość współczesne zjawiska i tendencje społeczne. W przyszłości tej dokonuje się podział na życie nad i pod powierzchnią ziemską, szczególny w swej drastycznej wymowie akt sprawiedliwości społecznej, kiedy to dalecy potomkowie klas pracujących (Morlokowie) żywią się mięsem potomków klas uprzywilejowanych (Elojów). Ukazana tu dychotomia życia nie ogranicza się do sfery społecznej, jawi się natomiast w aurze pogłębionej, kompleksowej symboliki jako wielostronny i wielopłaszczyznowy cykl antynomiczny, gdzie człowiek z jego pękniętą naturą chybotliwie sytuuje się między sferą światła i sferą cienia. Podobnie szeroki zakres tematyczny oraz kanwę ma druga powieść science fiction Wellsa – „Wyspa dr. Moreau" (1896), w alegorycznym skrócie, metaforycznym błysku przedstawiająca wieloaspektową problematykę procesu ewolucyjnego człowieka jako gatunku, rodzenie się państwowości, więzi społecznych, kultu sakralnego, uściślającego zasady i normy współżycia porządku prawnego. Następny utwór, „Niewidzialny człowiek" (1897) podejmuje kluczowe dla całej naszej współczesności zagadnienie odkrywczości i wynalazczości naukowej, koncentrując się na aspekcie moralnym sprawy, sytuacji uczonego stojącego przed zasadniczym wyborem – w niniejszym wypadku świadomie go dokonującego i godzącego się na zbrodnię. Słynna, modelowa powieść science fiction „Wojna światów" (1898) za parawanem najazdu Marsjan na Ziemię, który kończy się totalną klęską ludzkości, całkowitym zdruzgotaniem materialnych podstaw jej bytowania – staje się wielką metaforą ogólnego, wszechosaczającego zagrożenia wynikającego z aktualnej struktury, z istniejącego systemu więzi społecznych i cywilizacyjnych. „Gdy śpiący się budzi" (1899) jest znowu wzorcową antyutopią albo utopią negatywną, w sposób zasadniczy określającą i kształtującą współczesny rozwój tego gatunku od E.M. Forstera przez Aldousa Huxleya po Kurta Vonneguta i Ursulę Le Guin. Rzecz stanowi przerażającą wizję kumulującej się w miastach-mrowiskach, zredukowanej do nagich wyznaczników i norm, skoszarowanej cywilizacji przyszłości, z rygorystycznymi podziałami klasowymi, laboratoryjnym wychowem płodu ludzkiego, całkowitym odizolowaniem się od przyrody, przecięciem więzów z przeszłością i tradycją. Przedłużeniem niejako, a jednocześnie modyfikacją tej wizji jest powieść „Pierwsi ludzie na Księżycu" (1901). Zaznacza się tu ściślejsze jeszcze zachowanie rygorów podziału w zależności od wykonywanej funkcji społecznej, całkowite zniwelowanie i zniweczenie osobowości, indywidualności, jakichkolwiek wyodrębniających przymiotów i cech jednostkowych – w przeciwieństwie przeto do klasycznej fantastyki n a u k o w e j Verne'a, koncentrującej swą uwagę na szczególe technicznym – w przypadku Wellsa mówić raczej należy o kompleksowej, pogłębionej fantastyce c y w i l i z a c y j n e j, a nawet cywilizacyjno-kulturowej, w szczególny sposób, z poszerzonej i wydłużonej perspektywy dokonującej oglądu spraw ludzkich. Idzie tu nie tyle o szczegół naukowy, ile o jego najszerzej rozumiane implikacje i konsekwencje, o sprzężone widzenie biologicznej ewolucji rodzaju ludzkiego, dokonujących się procesów społecznych i rozwoju naukowo-technicznego. Stawiając zagadnienie na innej znów płaszczyźnie – antropologicznej – można by stwierdzić, że mamy tu do czynienia ze zmetaforyzowanym traktatem o ludzkiej naturze. Dziś przyznajemy przecież, iż niedoceniana niegdyś fantastyka naukowa Wellsa stanowi najbardziej ważki i najoryginalniejszy jego wkład tak do literatury jak do historii myśli współczesnej.

Omawiając utwory science fiction pisarza nieraz posługujemy się określeniem „metaforyczny". Mają one bowiem z pewnością niejednoznaczną wymowę, nacechowaną wielostopniową, wieloaspektową symboliką, gdzie akcja płynie różnymi, to oddalającymi się, to znów zbiegającymi lub przecinającymi nurtami, na wielu płaszczyznach nachylonych ku sobie albo krzyżujących się z zaskakującą zmiennością. Jest Wells przy tym zresztą inicjatorem i pionierem wszystkich zasadniczych kategorii literackich współczesnej fantastyki naukowej: najsłynniejszego bodaj w całej literaturze opisu podróży w czasie („Wehikuł czasu"), przypowieści alegoryczno-symbolicznej („Wyspa dr. Moreau"), nowoczesnej baśni („Niewidzialny człowiek"), tysiąckrotnie naśladowanej i powielanej opowieści o najeździe z kosmosu („Wojna światów"), wreszcie modelowej antyutopii („Gdy śpiący się budzi", „Pierwsi ludzie na Księżycu").

Podkreślmy raz jeszcze, że to właśnie science fiction Wellsa, bardziej niż wiążące się z późniejszym stadium twórczości pisarza próby kształtowania świadomości globalnej, stanowi jego główny tytuł do sławy, do rehabilitacji przebiegającej z tak ogromnym powodzeniem i w tak przekonywający sposób począwszy od lat sześćdziesiątych. ■

1976 (ciąg dalszy)

1105. MALINOWSKI K[rzysztof] W[iesław]: *U wrót Wszechświata.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 161, nlb. 3. 20 000 egz.
NOWE oblicze biologii. [zawiera też opowiadania SF] – zob. MS.
1106. PĄKCIŃSKI Marek: *Owadzia planeta.* Warszawa. Czytelnik. 32° ss. 193, nlb. 3. 10 000 egz. – ASF/U/W.
1107. PETECKI Bohdan: *„Rubin" przerywa milczenie.* Katowice. Wyd. „Śląsk". 16° ss. 169, nlb. 3. 20 000 egz.
POLSKA nowela fantastyczna. – zob. AF.
1108. *ROBOT nr 3.* Aut.: Janusz A[ndrzej] Zajdel [i in.]. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 58, nlb. 6. – Stało się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór szósty. – Brak nazw. red.
SEGHERS A.: *Niezwykłe...* – zob. AF.
1109. TWAROGOWSKI Tadeusz: *Klęska dyktatora. Tajemnice zaginionego lądu. Typ spod ciemnej gwiazdy.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 67, nlb. 5. 30 000 egz. – Stało się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór piąty.
1110. WELLS Herbert George: *Opowieści fantastyczne.* T. I-II. Wybór Władysław Kopaliński. Tłum. [z ang.] Eugenia Żmijewska [i in.]. Posłowie Krystyna Stamirowska. Wyd. II popr. Kraków. Wyd. Literackie. 16° T. I ss. 255, nlb. 4; T. II ss. 273, nlb. 2. 50 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej.
1111. *WOŁANIE na Mlecznej Drodze.* Aut.: Zbigniew Dworak [i in.]. Red., Wstęp i noty o autorach Zbigniew Przyrowski. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 192, nlb. 4. 20 000 egz.
1112. ZAJDEL Janusz A[ndrzej]: *Iluzyt.* Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 205, nlb. 3. 30 000 egz.
1113. ZEGALSKI Witold: *Wyspa Petersena.* Wyd. II rozsz. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 248, nlb. 4. 20 000 ezg. – SF.
1114. ŻWIKIEWICZ Wiktor: *Zerwane ogniwo. Marzenie. Kłamstwo, Podpalacze nieba.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 71, nlb. 5. 30 000 egz. – Stało Się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór ósmy. – Na okł. tyt. *Podpalacze nieba.*

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

ALFA. – zob. ASF.
1115. HERLINGER J[uliusz] J[erzy]: *Mister Hopkins, wnuk Sherlocka.* wyd. III. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 250, nlb. 2. 20 000 egz.
KUCZYŃSKI M.: *Katastrofa.* – zob. ASF.
1116. MINKOWSKI Aleksander: *Nasturcja i Lew.* Wyd. III. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 232, nlb. 4. 30 000 ezg. – Klub Siedmiu Przygód.
1117. TOMASZEWSKA Marta: *Tapatiki kontra Mandiable.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 125, nlb. 3. 40 000 ezg. – Stanowi t. III cyklu, t. I poz. 947/74.
1118. TOMASZEWSKA Marta: *Tapatiki na Ziemi.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 129. nlb. 3. 50 000 egz. – Stanowi t. II cyklu, t. I poz. 947/74.
1119. VERNE [Jules]: *Wyprawa do wnętrza Ziemi.* Tłum. [z franc.] Ludmiła Duninowska. Wyd. III. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 274, nlb. 2. 50 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.

Utopia (U):

AFANASJEW J.: *Radosna...* zob. AF.
1120. APULEIUS Lucius Madaurensis]: *Metamorfozy albo Złoty osioł.* Tłum. [z łac.] Edwin Jędrkiewicz. Wyd. III. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 267, nlb. 5. 20 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej. – Na k. tyt. aut.: Apulejusz. – U/AF.
1121. BRATNY Roman: *Wybór opowiadań.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 280, nlb. 4. 15 000 egz. Zawiera m.in.: *Poprawianie Pana Boga.* (U/AF) s. 120–154 i *Odjazd w niezbadane.* (ASF/U) s. 208-237.
1122. [BRŪSOV Walērij]: *Rea Silvia i inne opowiadania.* Wybór. tłum. [z ros.] i przedm. René Śliwowski. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 297, nlb. 3. 10 000 ezg. – Na k. tyt. aut.: Walery Briusow. – 18 opowiadań, w tym 9 fantast. – U/W/AF.
DRZEŻDŻON J.: *Oczy...* – zob. AF.
1123. KARINTHY Ferenc: *Epepe.* Tłum. [z węg.] Krystyna Pisarska. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 167, nlb. 1. 5 000 egz.
PĄKCIŃSKI M.: *Owadzia...* – zob. ASF.
1124. PARNICKI Teodor: *Sam wyjdę bezbronny.* Powieść fantastyczno-historyczna. Posłowie Andrzej Polkowski. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 8° ss. 688, nlb. 2. 5 000 egz.
1125. POTOCKI Jan: *Rękopis znaleziony w Saragossie.* [Tłum. z franc. Edmund Chojecki]. Oprac. i koment. Leszek Kukulski. Wyd. IV powoj. T. I–II. Warszawa. Czytelnik. 16° T. I ss. 444, nlb. 4; T. II ss. 422, nlb. 4. 30 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej.
WOLF C.: *Kota...* – zob. AF.
1126. WU-CZ' ENG-EN: *Małpi bunt.* Tłum. z chińskiego i wstęp Tadeusz Żbikowski. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 212, nlb. 4. 20 000 egz. – U/AF.
1127. ŻYLIŃSKA Jadwiga: *Gospoda samobójców.* Opowiadania. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 168, nlb. 2. 20 000 egz.

Fantazja dla dorosłych (AF):

1128. AFANASJEW Jerzy: *Chimery.* Opowiadania wybrane [z poprzednich zbiorów]. Wstęp Marek Grześciak. Gdańsk Wyd. Morskie. 16° ss. 175, nlb. 1. 10 000 egz.
1129. AFANASJEW Jerzy: *Radosna twórczość.* Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 139, nlb. 5. 50 000 egz. – AF/U.
1130. APOLLINAIRE Guillaume: *Poeta zamordowany.* Tłum. [z franc.] Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki. Posłowie Artur Międzyrzecki. Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 192. nlb. 3. 10 000 egz.
APULEIUS L.: *Metamorfozy...* – zob. U.
1131. BOSCO Henri: *Portalek.* Tłum. [z franc.] Izabella i Julian Rogozińscy. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 121, nlb. 2. 10 000 egz. – Elementy fantast.
BRATNY R.: *Wybór...* – zob. U.
BRŪSOV V.: *Rea...* – zob. U.

cdn.
Przygotował Jacek Izworski

Polska fantastyka w RFN

W roku 1986 w RFN ukazały się, poza przekładami dzieł Stanisława Lema, także tłumaczenia książek innych polskich autorów fantastyki. Wydawnictwo Suhrkamp Verlag we Frankfurcie nad Menem opublikowało w serii kieszonkowej „Phantastische Bibliothek" „Dwa końce świata" Antoniego Słonimskiego z roku 1937. Wcześniej ukazała się w tej samej serii inna książka tego autora – „Torpeda czasu". Przekładu dokonała znana tłumaczka Edda Werfel. Niemieckie wydanie „Dwóch końców świata" (Zweimal Weltuntergang) zawiera także posłowie Stanisława Lema, przetłumaczone przez Hannę Rottensteiner. W tej samej serii wydano w dwóch tomach znaną antologię Juliana Tuwima „Polska nowela fantastyczna", pod niemieckimi tytułami „Das namenlose Grabmal" oraz „Beherrscher der Zeit".

★

Hanna Rottensteiner ukończyła przekład „Paroksyzmu numer minus jeden" Ryszarda Głowackiego. Nowela ta ma ukazać się w 1987 r. nakładem wydawnictwa Wilhelm Heyne Verlag w Monachium, prawdopodobnie w ramach międzynarodowej antologii SF.

SF w RFN

Zachodnioniemieckie wydawnictwo Moewig Verlag, które w ostatnim czasie zawiesiło liczne serie science fiction (niedawno „Terra Fantasy" oraz „Andre Norton"), jak również zeszytową serię grozy „Dämonenkiller" – rozstało się „ze względów finansowych" ze swoim edytorem SF, Hansem Joachimem Alpersem. Alpers jest współautorem kilku opracowań literatury SF, wśród nich „Leksykonu literatury science fiction" (Heyne) oraz „Przewodnika po SF" (SF-Führer – Reclam).

★

Wolfgang E. Hohlbein, najpopularniejszy (po Michaelu Endem) autor fantasy niemieckiego obszaru językowego, opublikował ostatnio w wydawnictwie Ueberreuter kolejną powieść „Hagen von Tronje", opartą na znanej „Sadze o Nibelungach".

Nagroda im. Johna Campbella

„John Campbell Memorial Award" za najlepszą powieść roku 1985 otrzymał David Brin, autor książki „The Postman". Nagrodę wręczył laureatowi przewodniczący międzynarodowego jury James Gunn, dziewiętnastego lipca 1986 r. podczas poświęconej Campbellowi konferencji na Uniwersytecie w Lawrence (Kansas). W skład jury wchodzili ponadto: Sam Lundvall, Kingsley Amis, T.A. Shippey, Walter E. Meyers, Elizabeth Anne Hull i Algis Budrys. Drugą nagrodę przyznano Kurtowi Vonnegutowi, autorowi powieści „Galapagos", a trzecią Gregowi Bearowi („Blood Music") wspólnie z Keithem Robertsem („Kiteworld").

Plany Douglasa Adamsa

Douglas Adams, popularny brytyjski autor serii „Hitchiker's Guide to the Galaxy", rozpoczyna nową serię, którą nazwał „romantyczno-komediowym eposem grozy o upiorach, detektywach i podróżach w czasie". Prawa brytyjskie zakupiły za 575 000 funtów szterlingów wydawnictwa Heinemann (wydanie oprawne) oraz Pan (pocketbook); prawa amerykańskie za 2 225 000 dolarów – Simon and Schuster. Pierwsza część, „Dirk Gently's Holistic Detective Agency", ma ukazać się wiosną 1987 r. Cztery wcześniejsze książki Douglasa Adamsa z serii „Hitchiker" osiągnęły już w USA łączny nakład 4,5 miliona egzemplarzy.

Boom na science fiction w USA

Od początku lat osiemdziesiątych literatura science fiction w USA przeżywa rozkwit. W roku 1985 fantastyka stanowiła 10% ogólnej sprzedaży beletrystyki, przy czym wydaje się ją już nie tylko w formie „kieszonkowców", ale także w oprawie twardej.

Jedno spojrzenie na listę bestsellerów amerykańskiego czasopisma branżowego „Publishers Weekly" przekonuje o silnej ofensywie literatury science fiction: Anne McCaffrey („Nerilka's Story"), Terry Brooks („Magic Kingdom for Sale – Sold!") i Arthur C. Clarke („The Songs of Distant Earth") zajmują miejsca od ósmego do dziesiątego. Cała trójka to uznani pisarze SF, cieszący się wielką sławą również u nas. Pierwszoplanową postacią tego gatunku jest jednak obecnie ktoś inny, a mianowicie 75-letni dziś Ron L. Hubbard, który robi furorę w USA swoją zaplanowaną na dziesięć tomów kroniką „Mission – Earth". Pierwsze trzy części tego cyklu znalazły się na liście bestsellerów potentata księgarskiego B. Daltona na miejscach 5, 7 i 9.

Nawet eksperci nie są zgodni co do przyczyn tak żywego wzrostu zainteresowania, fantastyką, na ogół uważa się jednak, że literatura SF stała się poważniejsza i sięgnęła wyższego poziomu literackiego. Coraz rzadziej centrum uwagi zajmują tam krwiożercze potwory i roboty, ustępując miejsca poważnym konfliktom między człowiekiem i techniką.

Popyt wzrósł odczuwalnie przede wszystkim po 1982 roku, kiedy wielkie firmy księgarskie USA zaczęły bardziej interesować się literaturą science fiction. Wiodący na rynku księgarskim Waldenbooks potroił wówczas swoje zamówienia na książki tego gatunku, natomiast w roku 1983 założył klub science fiction „Other Worlds", liczący dziś 400 000 członków.

Pouczających danych na temat rynku księgarskiego i jego klientów dostarczyła ankieta Instytutu Badania Opinii Publicznej Gallupa, która pomiędzy styczniem i grudniem 1985 objęła niemal 12 000 Amerykanów w wieku powyżej 18 lat. Z ankiety tej wynikało, że klienci nabywają 70% wszystkich książek SF, oferowanych w księgarniach amerykańskich (liczba ta przekracza znacznie przeciętną sprzedaż całkowitej produkcji wydawniczej w USA, która wynosi zaledwie 55%). 83% obrotu uzyskanego z literatury science fiction stanowią nadal serie kieszonkowe (wobec 68% produkcji ogólnej), obserwuje się jednak wyraźną tendencję zwyżkową na korzyść książek w oprawie twardej.

Ankieta Gallupa ukazała też wizerunek typowego czytelnika literatury science fiction (w nawiasach dla porównania liczby dotyczące wszystkich gatunków literackich razem):

– 65% czytelników SF to mężczyźni (44%),
– 57% ma od 18 do 34 lat (43%),
– 64% ma co najmniej średnie wykształcenie (59%),
– 77% zakupiło w ciągu ostatnich trzech miesięcy przynajmniej pięć książek (65%).

Franz Rottensteiner

Na pytanie, kto odkrył Amerykę niektórzy specjaliści problemu odpowiadają: *„Nie wiadomo kto był pierwszy, ale wiadomo, kto był ostatni: Krzysztof Kolumb"*. Odpowiedź ta odzwierciedla w jakimś sensie obecny stan wiedzy, nie tyle może o tym kto pierwszy postawił nogę na nowym lądzie, ile o pojawieniu się w Ameryce pierwszego człowieka i w ogóle o zaludnieniu zachodniej półkuli. A są to problemy dotyczące dziejów ludzkości, znacznie dawniejszych niż te, o których dotarły do nas jakieś znaczące przekazy.

Mezoamerykańskie zagadki

Arnold Mostowicz

Przypominam, że obowiązuje dzisiaj (choć jak się przekonamy, coraz bardziej jest podawana w wątpliwość) teoria Alesa Hrdlicki głosząca, że pierwotna ludność Ameryki przedostała się do niej z Azji, przez dzisiejszą Cieśninę Beringa (przed dwunastoma tysiącami lat cieśnina ta była jeszcze szerokim pasmem lądu, łączącym kontynent azjatycki z amerykańskim). Dodajmy przy okazji, że teoria Hrdlicki (sprzed lat kilkudziesięciu) jest nową wersją hipotezy wysuniętej jeszcze w 1583 r. przez niejakiego Jose de Acosta.

Zgodnie z tą teorią, w ciągu tysiące lat trwających wędrówek przybysze rozproszyli się po wszystkich trzech częściach nowego kontynentu. Inaczej mówiąc, teoria Hrdlicki zakłada jednolitość rasową całej pierwotnej ludności, która zamieszkiwała Amerykę przed Kolumbem i przed konkwistadorami.

Pierwsi wystąpili przeciwko temu antropologowie. Nawet bez specjalistycznych badań naukowych, można się przekonać, że tacy, na przykład, Tehuelchowie z Patagonii liczą sobie przeciętnie 180 cm wzrostu, podczas gdy wzrost Indian brazylijskich czy kolumbijskich nie przekracza 150 cm. Liczne, ogłaszane przez antropologów prace mówiące o różnicach rasowych między poszczególnymi grupami Indian spowodowały, że obok teorii Hrdlicki pojawiły się nowe. Żadna z nich jednak nie uwzględniała całokształtu tego niezwykłego fenomenu, jakim się okazała pierwotna ludność Ameryki.

Najdotkliwszy jednak cios koncepcjom jednolitości rasowej Indian, a więc i teorii Hrdlicki, zadał w latach sześćdziesiątych Aleksander von Wuthenau, profesor historii sztuki na Uniwersytecie w Meksyku.

Aleksander von Wuthenau zebrał w ciągu piętnastu lat mozolnych poszukiwań 350 starych posążków glinianych, które stanowią dzisiaj jedną z najniezwyklejszych galerii portretów ludności amerykańskiej sprzed konkwisty. Galeria ta obrazuje olbrzymią różnorodność rasową dawnych mieszkańców Ameryki, a przede wszystkim tej części kontynentu, którą objęły badania von Wuthenaua. Chodzi o Mezoamerykę, Amerykę Środkową rozciągającą się od południowych granic Stanów Zjednoczonych na północy, do Hondurasu i Salwadoru na południu.

Czegóż i kogóż to posążki te nie przedstawiają! Są w tej kolekcji twarze reprezentujące typ azjatycki, są wyraźnie negroidalne, są wreszcie o rysach bez wątpliwości europejskich, a także brodate twarze o profilu zdecydowanie semickim. Wszystko oddane jest z takim realizmem, że nie może być wątpliwości kogo nieznani artyści zamierzali przedstawić.

Dodajmy od razu, że posążki te nie mają żadnego charakteru religijnego, nie przedstawiają więc żadnych dobrych ani złych bogów, żadnych demonów, ani nie personifikują sił natury. Posążki te przedstawiają ludzi, z którymi artyści spotykali się na każdym kroku. Jak byśmy dzisiaj powiedzieli – są to portrety prostych, szarych ludzi, „z ulicy", gdyby ulice wówczas istniały – przeciętnych Majów czy Tolteków. Oto matka z dzieckiem na ręku, oto muzyk grający na flecie, oto wojownik, nosiwoda, kupiec, piękna dziewczyna... Wiele pięknych dziewcząt.

Są to prawdziwe dzieła sztuki. Najstarsze pochodzi sprzed ok. 5000 lat, a najmłodsze – tuż sprzed najazdu Hiszpanów. Inaczej mówiąc zebrał von Wuthenau dzieła rzeźbiarskiej sztuki portretowej, które powstały na przestrzeni około czterdziestu pięciu wieków.

Zarówno w Ameryce, jak i niektórych krajach europejskich ukazały się obszerne albumy poświęcone tej niezwykłej kolekcji. Właściwie już na podstawie zbiorów von Wuthenaua należałoby dokonać rewizji większości teorii dotyczących pochodzenia ludności amerykańskiej. Wydaje się jednak, że rewizja taka byłaby zbyt bolesna i dlatego zebrane przez von Wuthenaua dzieła artystów sprzed tysięcy lat, nie stały się jeszcze takim argumentem, jakim stać się powinny.

Zresztą... Gdyby do tej rewizji przystąpić, należałoby uwzględnić nie tylko kolekcję von Wuthenaua, ale wiele innych, nie mniej rewelacyjnych faktów. Pozostając w dziedzinie antropologii przypomnieć warto odkryte w Paracas (Peru) mumie białych mieszkańców tych terenów sprzed wielu wieków. Należałoby uwzględnić także „białych Indian" z Paragwaju, których przodkami byli, zdaniem specjalistów, Wikingowie. Wikingowie pojawili się tutaj mniej więcej w dziesiątym wieku.

Również i etnografia miałaby w tej sprawie coś do powiedzenia. Nie można przecież pominąć legend i mitów, jak też współczesnych obrządków i obyczajów Indian zarówno z północy, jak i z południa, Indian, wiążących swoje pochodzenie z

jakimś lądem, który miał pogrążyć się w falach Pacyfiku. Należałoby odpowiedzieć także na niepokojące pytanie, dlaczego, jeśli pierwotni mieszkańcy Ameryki przedostali się tutaj z Azji i przybyli na teren kontynentu przez „Most Beringa" – najwspanialsze cywilizacje utworzyli w najmniej sprzyjających osiedleniu warunkach, Środkowej i Południowej Ameryki (Andy!), a nie na żyznych, o łagodnym klimacie, terenach Ameryki Północnej?

Wróćmy jeszcze na chwilę do terakotowych posążków von Wuthenaua. Użyłem określenia „posążki terakotowe", ale dodać trzeba, że z braku odpowiednich przyrządów garncarskich figurki te były modelowane różnymi sposobami ze zwykłej gliny. Przygotowywanie samego surowca, następnie kolorowanie i suszenie końcowego produktu przebiegało różnie w różnych epokach i na różnych terenach. Von Wuthenau cytuje przykłady świadczące, że Indianie doszli w tej sztuce do niezwykłej czasami perfekcji.

Jak wiadomo, liczne legendy dawnych Indian mówią o białych bogach, których tradycja prekolumbijska zna bądź pod imieniem Kon Tiki, bądź Wirakocza, bądź Kukulkan, bądź Bochica czy Quetzalkoatl. Aż do pojawienie się w Ameryce Hiszpanów pamięć o nowych białych bogach była bardzo żywa. Jest rzeczą niezwykłą, że figurki wyobrażające twarze przedstawicieli rasy białej posiadają (choć nie zawsze) liczne rasy semickie. Już po ukazaniu się albumu von Wuthenaua, zarówno on, jak i jego współpracownicy dokonali dalszych odkryć i to prawie wyłącznie figurek wyobrażających twarze semickie. Czy chodzi tu o Fenicjan, których dalekie wyprawy mogły dotrzeć niegdyś do Ameryki? Przypomnijmy, że w 1580 r. dominikanin, ojciec Diego Duran wspomniał w swojej kronice, że wśród ludności indiańskiej spotyka się osobników o rysach wybitnie żydowskich.

Jeśli idzie o przedstawicieli rasy białej, to w kolekcji von Wuthenaua znaleźć można posążki przedstawiające – poza semitami – twarze Hityтów, Persów, Kreteńczyków... Ciekawe, że te właśnie posążki zalicza von Wuthenau do najstarszych. A wśród tych najstarszych są jeszcze typy wyraźnie... sumeryjskie.

Wspomniałem też, że wiele posążków przedstawia twarze typowo negroidalne. Inaczej mówiąc, niewolnicy murzyńscy nie byli pierwszymi przedstawicielami czarnej rasy na kontynencie amerykańskim. Zresztą ceramiki negroidalne odnaleziono w Argentynie i to w bardzo głębokich pokładach, co świadczy o ich starości. W Brazylii już dawno odkopano szkielety osobników należących z całą pewnością do rasy czarnej. Posążki von Wuthenaua świadczą, że obecność murzynów w Ameryce była dość częsta.

Sporo też w kolekcji von Wuthenaua twarzy zdecydowanie chińskich. W Meksyku takie posążki o twarzach specyficznie chińskich noszą nazwę „chinescos". Von Wuthenau uważa, że właśnie tego rodzaju posążki charakteryzują się niezwykłą wprost nowoczesnością i wysokim poziomem artystycznym. Inne natomiast zwracają uwagę tym, że przypominają styl rzeźb wykonywanych przez Ainów. (Ainowie to nieznanego pochodzenia lud zamieszkujący jedną z wysp japońskich – Honsiu; charakteryzują się dużym zarostem i rysami przypominającymi rasę białą). Te „ainowskie" statuetki są najstarsze i pochodzą sprzed ok. 5000 lat. Podkreślam ten fakt dlatego, że liczne obrzędy, wierzenia i legendy Indian północnoamerykańskich, głównie plemienia Hopi, są indentyczne z obrzędami i legendami Ainów. Zarówno jedni, jak i drudzy wywodzą swoje pochodzenie z lądu, który istniec miał na Pacyfiku. Identyczność tych wierzeń i mitów jest tak daleko idąca, że po ukazaniu się w Japonii, tłumaczonej z angielskiego książki o Indianach Hopi, przedstawiciele Ainów udali się do Ameryki, by tam przyjrzeć się obyczajom szczepu, z którym łączy ich prawdopodobnie wspólne pochodzenie i wspólna, oparta na tym pochodzeniu, tradycja.

Na marginesie tego azjatyckiego „działu" kolekcji von Wuthenaua warto przypomnieć inny jeszcze fakt. Otóż w 1865 r. odkryto w Peru posążek z epoki przedkolumbijskiej przedstawiający ludzką postać siedzącą na żółwiu otoczonym przez węże. Postać ta trzyma w rękach dwie tablice pokryte jakimiś znakami. Posążek był pokazany na kongresie amerykanistów w Brukseli w 1879 r. Napis zaś na tablicach został odczytany przez sinologa, doktora Denisa lu. Skreślony znakami chińskimi napis oznacza Wu Tang Szan, czyli „góra Wu Tang". Góra taka rzeczywiście istnieje, znajduje się w Chinach w prowincji Hopej, a związanych jest z nią mnóstwo legend. Jedna z tych legend mówi o bogu Czen Wu, który urodził się ze związku żółwia z wężem. Bóg ten panował nad północą i deszczem. Niezwykłe to znalezisko nigdy nie było dotychczas skomentowane. A skłania, jeśli już nie do zdziwienia, to przynajmniej do zadumy...

*

Trudno nam sobie dzisiaj wyobrazić, jaki mętlik w głowach Europejczyków wywołało pod koniec XV wieku odkrycie Ameryki. Zgodnie bowiem z świadomością wpajaną przez Biblię, mieszkańcy nowego kontynentu nie mogli być uznani za ludzi. Dopiero bulla Pawła III z 1537 r. uznała Indian za istoty rozumne, czyli za takie same co ludzie biali. Tylko, że bulla bullą, a jak postępowano z Indianami w następnych wiekach (a szczególnie w szesnastym) – wiadomo...

Później przyszedł czas na roztrząsania bardziej naukowe. Jedna hipoteza goniła drugą. Niejaki Florentino Ameghino doszedł do wniosku, że w ogóle pierwszy człowiek przyszedł na świat właśnie w Ameryce i pochodził od istoty o nazwie Homunculus Patagonicus i że to z Ameryki przybyły pierwsze istoty ludzkie do Europy.

O teorii Hrdlicki była już mowa. Jest ta teoria zbyt prosta, powiedziałbym zbyt gładka, chociażby z punktu widzenia antropologii. Nic więc dziwnego, że powstało niemało hipotez odmiennych, tym bardziej że możliwości są tu nieograniczone...

W 1924 r. uczony francuski Paul Rivet wykazał istnienie silnych związków między Oceanią a Ameryką. Uznał, że związki te są rezultatem migracji Melano-Polinezyjczyków, a także – uwaga! – Australijczyków na kontynent amerykański. Jedni mieli osiągnąć Amerykę drogą wodną przez ocean, drudzy zaś, przez Antarktydę, która 8–9 tysięcy lat temu miała prawdopodobnie klimat znacznie łagodniejszy od dzisiejszego. Obydwie te migracje nastąpiły przed migracją przez „most" Beringa. Oddzielna grupa nomadów mongoloidalnych miała przybyć jeszcze później, dając początek ludowi Eskimosów.

Uznając hipotezę Riveta w zasadzie za słuszną, ale zbyt wąską i ograniczoną, prof. Imbelline z Buenos Aires twierdzi, że Amerykę zaludniało siedem (!) kolejnych migracji. Najstarszą miała być migracja Aborigenów z Tasmanii. I ta teoria jest interesująca, tylko, że i ona, jak żadna z poprzednich nie daje odpowiedzi na pytanie skąd się w Ameryce wzięli przedstawiciele rasy białej i jeszcze do tego typu semickiego?

Tymczasem prowadzone stale badania archeologiczne nakazywały cofnąć coraz bardziej datę pojawienia się na terenie Ameryki przedstawicieli naszego gatunku. Znaleziono w Ameryce ślady człowieka sprzed 40 000 czy 50 000 lat, a nawet sprzed 120 000 lat! Tyle bowiem lat liczyć sobie mają odkryte na wschód od Los Angeles resztki ludzkie.

Z późniejszych teorii dotyczących pojawienia się pierwszych ludzi w Ameryce warto wspomnieć o teorii prof. Salvadore Canlas Fraua, również z Buenos Aires. Jest ona ostatniej daty, a wydaje się ciekawa, zwłaszcza dlatego, że i ona uznaje Amerykę Południową za zaludnioną dzięki migracji z wysp Polinezji. Jest to coś zupełnie przeciwnego niż twierdzi znany podróżnik norweski Thor Heyerdahl, usiłujący udowodnić, że to właśnie ludność amerykańska zaludniała te wyspy.

Oprócz tego, że żadna z tych teorii, jak powiadam, nie wyjaśnia skąd się wzięli w Ameryce przedstawiciele rasy białej (poza wiadomą genealogią białych Indian z Paragwaju), żadna też nie wyjaśnia nagłych narodzin, rozwiniętych, jak się wydaje, od pierwszych chwil swego istnienia, cywilizacji Mezoameryki i Ameryki Południowej. Ludność, która w wyniku wspomnianych migracji osiedliła się w Ameryce stała na nader niskim szczeblu rozwoju, a wspomniane cywilizacje charakteryzują się zupełnie swoistymi cechami, jak na przykład umiejętnością wypalania naczyń i dzieł sztuki z gliny, czy też umiejętnością wznoszenia monumentalnych budowli o wyszukanej architekturze. Te cywilizacje nie mają nic wspólnego z bezpośrednio je poprzedzającymi cywilizacjami przedhistorycznymi, zarówno w Ameryce Środkowej, jak i w Peru.

Może należałoby więc uwzględnić także możliwość migracji z Sumeru czy z Egiptu? A może możliwość kolonizowania Ameryki przez Fenicjan? (Chociaż Heyerdahl uważa, że żeglowanie na prymitywnych łodziach nie było możliwe z zachodu na wschód). No i przecież nie do odrzucenia jest ewentualność istnienia jakiejś obejmującej całą planetę cywilizacji megalitycznej (patrz „Fantastyka" nr 3/87, str. 60), co zresztą przez każdego szanującego się uczonego zostanie natychmiast uznane za nonsens i fantazję...

Rzeczywiście... Można w ogóle nad wszystkimi tymi zagadkami przejść do porządku dziennego, a dowody rzeczowe w postaci 350 figurek von Wuthenaua potraktować tak, jak potraktował tę kolekcję podczas Kongresu Amerykanistów w Barcelonie (1964!) jeden z wybitnych antropologów amerykańskich. Uczony ten uznał, że reprezentowane w kolekcji von Wuthenaua różne rasy mogą być po prostu „wynikiem fantazji artystów"...

Niezwykły argument! Jakby nie było rzeczą oczywistą, że skoro przedkolumbijscy artyści z taką wiernością przedstawiali cechy charakterystyczne dla każdej z ras, to dlatego, że takie właśnie typy ludzkie mieli jako wzór, w postaci modeli. Można wprawdzie uznać, że wyobraźnia Juliusza Verne'a potrafiła z niezwykłą przenikliwością przewidzieć rozwój technologii i nauki, ale jak można wyobrazić sobie, przepraszam, jak można wynaleźć jakąś rasę, o której nie wie się, że egzystuje i przedstawić ją tak dokładnie? To tak, jak byśmy postanowili wyobrazić sobie cechy mieszkańców jakiejś planety odległej od nas o tysiące lat świetlnych i gdybyśmy naszą wyobraźnią trafili w dziesiątkę... Ostatni argument nie jest mój, ale publicysty francuskiego Patricka Ferryna, który o tej sprawie przed kilku laty pisał.

Wszystko zresztą wskazuje, że w dziedzinie badań nad pierwotną kolonizacją Ameryki czeka jeszcze naukę niejedno zdumiewające odkrycie. Odkrycie, które może całkowicie zmienić kierunek badań nad przeszłością ludności pierwotnej, Ameryki i nad rozwojem jej przedkolumbijskich cywilizacji. Tym bardziej że coraz częściej i poważniej mówi się o możliwości istnienia przed tysiącami lat jakiegoś kontynentu na Oceanie Spokojnym. A czy hipoteza mówiąca o istnieniu jakiejś obejmującej cały glob cywilizacji nie nabiera coraz bardziej realnego i racjonalnego charakteru jeśli uwzględni się chociażby nowe prastare mapy z kolekcji profesora Hapgooda, o których kilkakrotnie pisałem? Tych niepokojących kolekcji zaczyna być coraz więcej. Hapgooda, von Wuthenaua, a dlaczegóż by nie Cabrery i jego kamieni z Ica? ■

Nowojorskie drapacze chmur sterczą z oceanu, niby potężne skały. Woda pochłonęła już San Francisco i Nowy Jork, Hamburg i Hongkong, Londyn i Kair, Kopenhagę i Rzym (...). Anglia, Szkocja i Walia stały się małymi wyspami (...). Belgia, Holandia, Dania, a także na przykład Bangladesz już nie istnieją. Zapalane są rozległe obszary nadmorskie Stanów Zjednoczonych, Chin, Europy Północnej (...) Wokół Morza Śródziemnego panuje natomiast mordercza susza (...), cała roślinność ginie, wysychają studnie, powstaje pustynia. W strefie podzwrotnikowej upał stał się jeszcze bardziej przytłaczający (...). Burzom o niespotykanej dotąd gwałtowności towarzyszą katastrofalne deszcze. Pędzone sztormami fale morskie pustoszą lasy i pola, paraliżują żeglugę (...). Obszary, niegdyś najbardziej na Ziemi urodzajne wyschły i przekształciły się w suchy step.

Z tamtej strony lustra

Maciej Iłowiecki

MIŁA ZABAWA W CIEPLARNIĘ

Nowy potop, czas Wielkiej Zagłady, wyczarowany na kartkach powieści SF? Początek scenariusza filmu grozy? Nie – to po prostu dziennikarska wizja tego, co nastąpi, jeśli spełnią się przewidywania klimatologów. Przytoczony fragment pochodzi z zachodnioniemieckiego pisma „Der Spiegel" z roku 1986. Dziennikarze lubią przesadzać, ale „Der Spiegel" powołuje się na opinie wielu wybitnych ekspertów z wielu poważnych ośrodków naukowych świata. Właściwie nie chodzi tu już o wizję, która może być bardziej lub mniej katastroficzna. Chodzi o pewność, że na Ziemi zmienia się klimat, a kierunek tych zmian jest bardzo niekorzystny. „*Staramy się uzmysłowić ludziom* – powiedział J.S. Hoffman, dyrektor naukowy Agencji Ochrony Środowiska w USA – *że zmiany klimatu nastąpią wcześniej, niż się spodziewano. Wyraźne zmiany dadzą o sobie znać między rokiem 1990 a 2000...*"

No cóż, tyle już znamy scenariuszy grozy i tak się wciąż nas wszystkim straszy, że uodporniliśmy się na strachy przyszłości. Wprawdzie wiemy już także, iż staropolskie pocieszenie „jakoś to będzie" nie warte jest – jak to się mówi – funta kłaków, ale mimo wszystko, przypuszczam, mało kto tak naprawdę przejmuje się wizjami czekających ludzkość katastrof. Dosyć mamy swoich małych katastrof na co dzień.

Zatem po prostu przyjrzyjmy się spokojnie, co i dlaczego w najbliższym czasie zacznie się wyrabiać z klimatem na tej planecie, z której przecież i tak uciec nie możemy. O tym, że w historii Ziemi jej klimat zmieniał się wielokrotnie, wie – czy powinien wiedzieć – każdy uczeń. Mniej więcej od miliona lat wstecz zmiany te są nieźle poznane i wiadomo, że na przemian występowało ochłodzenie i ocieplenie, z tym, że zimno trwało zawsze długo (przeciętnie – 100 tysięcy lat), a ciepło krótko (zwykle około 10 tysięcy lat). Były kiedyś czasy, kiedy na przykład Anglię zamieszkiwały hipopotamy i lwy, ale przez większość czasu, w którym żył i mnożył się gatunek *Homo sapiens* panowały, zwłaszcza w Europie, straszliwe mrozy. Ostatnia epoka lodowa zaczęła się 25 tysięcy lat temu, ale trwała niespodziewanie krótko, bo ocieplać zaczęło się już przed mniej więcej dwunastoma tysiącami lat, era lodów skończyła się przed 10 tysiącami lat. I chociaż to szybkie ocieplenie znowu osłabło przed 6 tysiącami lat, warto zdać sobie sprawę, że właściwy rozwój cywilizacji ludzkiej (ostatnie 10 tysięcy lat) przypadł na okres względnego CIEPŁA i zapewne nie jest to przypadek – dla naszego gatunku najlepsze jest umiarkowane ciepło!

Wielkie cykle klimatyczne spowodowane są różnymi czynnikami, wśród tych czynników ważną rolę odgrywają – właśnie cyklicznie zmienne – kształt orbity ruchu Ziemi wokół Słońca (cykl 95 tys. lat), nachylenie osi Ziemi (cykl 41 tys. lat), tzw. precesja biegunów Ziemi (cykl 25 800 lat) i inne. Występują też znacznie bardziej krótkotrwałe i zależne od innych czynników wahania klimatu. Na przykład stosunkowo cieplej było w Europie od czasu Karola Wielkiego po czasy naszego Władysława Łokietka. W czasach odkrywania i podboju Ameryki zimy stawały się wyjątkowo mroźne, a lata deszczowe (bywało, że nawet śniegi padały w lecie!) – i tak trwało mniej więcej do połowy XIX wieku. W latach 1920–1950 notowano najwyższe średnie temperatury w ostatnim tysiącleciu i zdawało się, że będzie coraz przyjemniej (przynajmniej pod względem klimatycznym). Tymczasem po II wojnie światowej zaczęło się oziębiać, do tego stopnia, iż z powodu krótszej wegetacji i niższej temperatury zbiory zbóż w samej Europie bywały czasem mniejsze aż o 20% (np. w 1972 r.). Wahania klimatyczne stały się jakby skrajniejsze i częstsze niż dawniej; być może zresztą teraz po prostu uważniej i dokładniej obserwowano te zmiany, było już przecież narzędzie tak wspaniałe, jak satelity meteorologiczne. W każdym razie jeszcze w początkach lat siedemdziesiątych wśród ekspertów od klimatu przeważał pogląd, że wkraczamy właśnie w coś w rodzaju małej epoki lodowcowej. W końcu nic dziwnego, tyle przecież czasu trwał już okres międzylodowcowy, a ilość nietopniejących lodów i śniegów w okolicach podbiegunowych zaczęła właśnie rosnąć.

Zatem naturalne cykle wskazywały na początek oziębiania się planety. Różnie oceniano wpływ tego zimna na rozwój cywilizacji i możliwości wyżywienia rosnącej liczby ludzi, przeważał jednak pogląd, iż powolne oziębianie jest lepsze od nagłego, na przykład, ocieplenia. Ale obserwatorom i znawcom przemian klimatycznych nie dawał spokoju nowy czynnik, który wyraźnie już zaczął wpływać na delikatną równowagę klimatyczną. Tym czynnikiem jest właśnie cywilizacyjna działalność ludzi.

Zwrócono uwagę, że w ziemskiej atmosferze, pełniącej wobec planety rolę swoistego płaszcza ochronnego, coraz więcej znajduje się cząsteczek dwutlenku węgla. CO_2 – gaz pospolity, powstaje przy spalaniu węgla (i substancji, zawierających węgiel, więc wszystkich paliw poza jądrowymi). Zużywa się na Ziemi coraz więcej węgla i ropy naftowej – i coraz więcej dwutlenku węgla dostaje się do atmosfery. Gaz ten powoduje tak zwany efekt cieplarni (albo „efekt szklarni") – to znaczy zatrzymuje ciepło wypromieniowywane przez nagrzewaną promieniami Słońca Ziemię. Gdyby się kto dziwił, dlaczego CO_2 najpierw przepuszcza ciepło (od Słońca), potem zaś je zatrzymuje (od Ziemi), wyjaśniam, że energia słoneczna dochodzi do Ziemi głównie w postaci widzialnego światła. To światło przenika bez przeszkód przez warstwy dwutlenku węgla i innych gazów i ogrzewa wszystko. Ale nocą w czasie ochładzania się, planeta oddaje ciepło w postaci niewidzialnych promieni podczerwonych, one zaś skutecznie są zatrzymywane zwłaszcza właśnie przez cząsteczki CO_2. Równowaga między ogrzewaniem a chłodzeniem (czerpaniem energii a jej utratą) jest bardzo delikatna i nietrwała. Działają tu liczne sprzężenia, nadto wchodzą w grę inne także czynniki – m.in. zmiany w ilości pary wodnej, pyłów i różnych „brudów" w powietrzu – i wszystko to oznacza, że wystarczą niewielkie „wahnięcia", by równowaga się skończyła, a tym samym zaczęły się szybkie zmiany średnich temperatur i w ogóle klimatu. Trudno uwierzyć, jak małe ilości CO_2 mogą zmienić równowagę w gigantycznych masach atmosfery Ziemi, otaczającej glob płaszczem około 50-kilometrowej grubości... Wedle obecnych ocen – wystarczy jedna cząsteczka dwutlenku węgla na milion cząsteczek innych gazów, by średnia temperatura na Ziemi wzrosła o 0,01°C. Działają wprawdzie procesy przeciwne wzrostowi temperatury, ale...

Wyliczono zatem na komputerach, że wystarczy zmiana proporcji zaledwie o 100–200 cząsteczek dwutlenku węgla na milion cząsteczek gazów atmosfery, aby cały klimat na Ziemi poważnie się zmienił. Sto wobec miliona to zaledwie jedna setna procenta... więc wystarczy zmiana ilości CO_2 o jedną setną procenta!

Można teraz przewidzieć zmiany, trzeba tylko obliczyć, o ile przybywa lub ubywa dwutlenku węgla w atmosferze. Z różnych ocen wiadomo, że przed setkami milionów lat w atmosferze ziemskiej było z przyczyn naturalnych znacznie więcej dwutlenku węgla niż dziś, więc (choć nie tylko z tego powodu) było też znacznie cieplej – dinozaury mogły się pławić w ciepłych wodach, a gigantyczne dżungle porastały całą planetę. Potem stężenie CO_2 w powietrzu powoli malało. Od mniej więcej miliona lat oceny stają się dokładniejsze (można np. mierzyć zawartość CO_2 w pęcherzykach powietrza, zamkniętych na stałe w lodzie, którego wiek jest znany; są też inne metody). Wiadomo zatem, że w ciągu ostatniego miliona lat zawartość CO_2 była już stosunkowo mała i wahała się od 200 cząsteczek na milion – i wtedy panowały epoki lodowe – do 270 cząsteczek na milion – i wtedy na dość krótko powracały ciepłe stulecia... Jest to – widać – niezwykle mała różnica!

Przełom kolejny zaczął się w połowie XIX wieku naszej ery – oto w 1850 r. w atmosferze było już około 280 cząsteczek CO_2 na milion cząsteczek innych gazów. W ten sposób dawała o sobie znać zaczynająca się epoka uprzemysłowienia i energetyki. Wszystko, co pchało cywilizację techniczną naprzód – niszczyło jednocześnie delikatną równowagę geofizyczno-biologiczną na planecie. Oto ciekawy problem głębszej natury – czy zawsze tak być musi? Czy przyczyny tego stanu rzeczy można usunąć, nie zatrzymując postępu, czy też jesteśmy skazani na stałe miotanie się między wymogami cywilizacji i ograniczeniami naszej biologicznej egzystencji?

W każdym razie w 1900 r. pomiar wskazywał już 300 cząsteczek CO_2 na milion cząsteczek gazów powietrza. W 1958 r. – 316 cząsteczek na milion, w 1980 r. – 338, w 1986 – około 350 cząsteczek (warstwy CO_2 nie układają się jednak nad planetą równomiernie). Średnia temperatura nie rosła – na szczęście – z tym samym przyśpieszeniem. Jak wspomniałem, działają tu różne

czynniki, niektóre przeciw wzrostowi temperatury (na przykład emisje pyłów wulkanicznych, ostatnio częste i potężne).

Jednakże nie ulega wątpliwości, że tempo wzrostu stężenia CO_2 w powietrzu stale ostatnio rośnie. Pewnym stężeniem granicznym ma być 400 cząsteczek na milion – i eksperci toczą spór, kiedy to nastąpi. Wówczas, ich zdaniem, atmosfera Ziemi stanie się taka, jaką była przed milionem lat, a temperatura wzrośnie o kilka stopni Celsjusza. Wystarczy to w zupełności, by stopniały lody Ziemi i wobec tego poziom oceanów w końcu podniósł się – wedle niektórych ocen – aż o 68 metrów! Byłby to rzeczywiście gigantyczny potop, zalanie lądów planety. No, ale nie jest pewne, jakie jeszcze mogą wystąpić czynniki zwalniające lub przyspieszające, zatem prognoza jest w ogóle niepewna, tym bardziej zaś nie można dokładnie ustalić terminu tych wydarzeń ani czasu ich trwania. Być może, jeśli w ogóle dojdzie do globalnego potopu, dojdzie do tego za tyle lat i wszystko potrwa tak długo, że ludzkość zdąży jednak przenieść się na inne planety albo do kolonii w przestrzeni pozaziemskiej, albo... wymyślić coś innego.

No tak, ale zapominamy, że nie musi być globalnego potopu i podniesienia poziomu wód aż o kilkadziesiąt metrów. Do wykończenia naszej kruchej cywilizacji wystarczy dziś wzrost poziomu oceanów o 1–2 metry (wtedy właśnie reportaż, którego fragment przytoczyłem na początku, przestanie być fantazją).

W XX stuleciu wody unoszą się co roku o 10 milimetrów, niby nic... Ten niewielki wzrost poziomu spowodowany jest nie przez topnienie się lodów, bo n a r a z i e intensywniejsze parowanie oceanów zwiększa opady śniegu, a te nawet powiększają rozmiary czap lodowych. W XX wieku bardzo powolne podnoszenie się wód spowodowane jest przez inne czynniki. Ale w pewnej chwili – w miarę coraz większego ocieplania – w grę wejdzie nowy czynnik, znacznie gwałtowniejszy. Będzie to właśnie początek topnienia czap lodowych na biegunach. Wystarczy tylko nadtopnienie, by poziom wód wzrósł NAGLE o metr, może dwa. Zdaniem większości ekspertów, moment ten teraz się zbliża i nastąpi w samym końcu naszego wieku. Po prostu stężenie CO_2 wzrośnie w powietrzu wystarczająco dużo, by wzrosły wystarczająco również średnie temperatury. No, a wtedy ZACZNIE SIĘ!

Trzeba dodać, że coraz większe masy dwutlenku węgla dostają się do atmosfery nie tylko dlatego że coraz więcej spala się węgla i ropy (same Chiny, które w 1975 r. dostarczały 25% „światowego" CO_2, w 2025 r. dostarczą go już 50%, nie mówiąc o tzw. Trzecim Świecie, który też przecież gwałtownie się uprzemysławia). Ogromne ilości CO_2 powstają przy wypalaniu dżungli, zwłaszcza w Brazylii – i jest to zbrodnią wobec świata, nie tylko zresztą z powodu powiększenia się ilości tego niby niegroźnego gazu... Wystarczy dodać, że wycięcie lasów w samej tylko Gujanie (na mapie to malutki skrawek lądu Ameryki Południowej), może zmienić średnie temperatury o 0,2°C i obniży ilość tlenu w atmosferze!

„Efekt cieplarni" potęgowany jest przez metan – a tysiące ton metanu, oprócz fabryk wydzielają co dzień do atmosfery setki milionów... przewodów pokarmowych zwierząt hodowlanych. Czy kto kiedykolwiek by pomyślał, że krowy, świnie i owce mogą także przyczynić się do zmiany klimatu na Ziemi?

Na pewno wszyscy słyszeli już także o rozciągającej się w stratosferze cienkiej warstewce ozonu (ozon jest formą występowania tlenu; zwykły tlen, którym oddychamy, występuje w formie dwuatomowej – O_2; ozon – to po prostu tlen trójatomowy, czyli O_3). Nie jest teraz istotne, jak tworzy się ozon (m.in. w czasie wyładowań elektrycznych, stąd charakterystyczny zapach powietrza w czasie burzy lub w pobliżu łuku elektrycznego). Ważne – i to bardzo ważne – że tarcza ozonowa wokół Ziemi zatrzymuje 95% śmiercionośnego dla życia ultrafioletowego promieniowania Słońca. Dziś już nie ulega wątpliwości, że nawet owe 5% ultrafioletu, docierając do Ziemi, wywołuje u ludzi wiele nowotworów skóry (dlatego opalanie się jest niestety niebezpieczne). Nadmiar promieniowania ultrafioletowego spowoduje wzrost zachorowań, jeszcze większy nadmiar może na przykład niszczyć mikroorganizmy, naruszyć równowagę ekologiczną i wywołać lawinę nieprzewidzianych i na pewno groźnych skutków.

Tymczasem ochronna, zbawcza warstwa ozonu robi się coraz cieńsza, ponieważ niszczą ją liczne gazy, wyrzucane z fabrycznych kominów, spaliny samochodowe, niszczy ją także uwalniany z milionów tzw. aerozoli (tych wspaniałych pojemniczków rozpryskujących płyny, zapachy i cokolwiek tam trzeba) gaz chlorofluorokarbon, zwany „mordercą ozonu".

Otóż zmniejszenie się naturalnej warstwy ozonu o jedną trzecią wystarczy także, by nagle wzrosła średnia temperatura Ziemi; jak widać nie trzeba czekać na dwutlenek węgla.

Jesienią 1986 r. ogłoszono, iż nad Antarktydą pojawia się corocznie w „tarczy ozonowej" ogromna dziura – wielkości... Ameryki Północnej. Dziura ta za każdym razem jest większa i nikt jej nie potrafi zaszyć.

Z jednej strony niknie w stratosferze zbawczy ozon. Z drugiej strony rośnie wokół Ziemi stężenie dwutlenku węgla. Tak czy inaczej już bardzo niedługo może stać się COŚ BARDZO NIEDOBREGO.

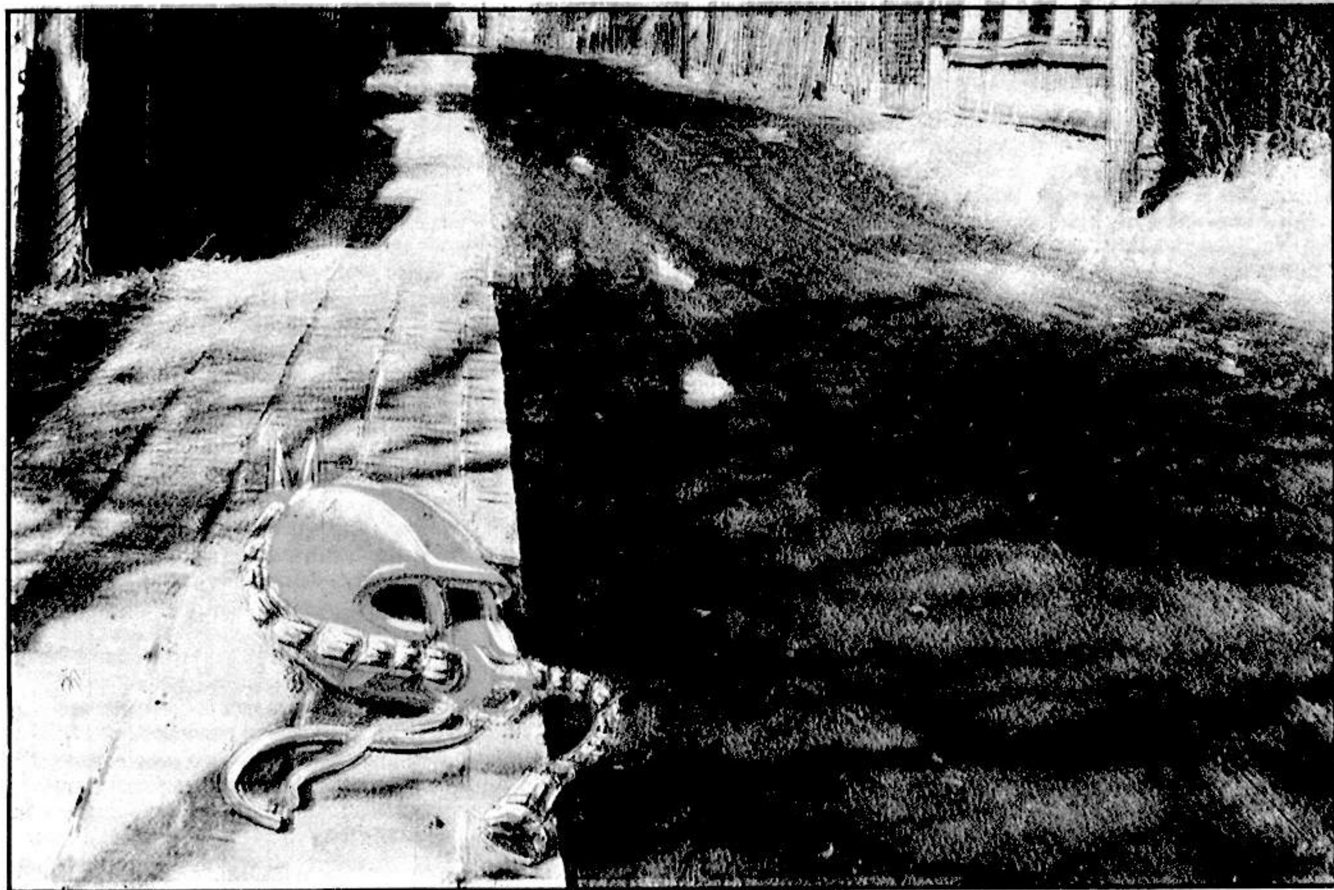
Naturalnie niebezpieczeństwu można przeciwdziałać. W zasięgu ludzkich możliwości leży zmniejszenie emisji CO_2 i gazów, niszczących ozon. Na razie rządy ograniczają się do gadania, że „coś trzeba zrobić", zaś instytucje naukowe przygotowują raporty z taką zwykle konkluzją: „*Nasze spostrzeżenia prowadzą do wniosku, że ocieplenie na Ziemi nie może być uznane za problem błahy lub odległy w czasie*" (jest to wniosek z raportu wspomnianej wcześniej amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska).

Można nie ufać straszącym ekspertom i zaufać wyłącznie optymistom. Jest ich wprawdzie bardzo mało wśród klimatologów, ale ta nikła mniejszość uważa, że „efekt cieplarni" zostanie zahamowany innymi efektami o kierunku przeciwnym, natomiast wzrost stężenia CO_2 w powietrzu wydatnie poprawi wydajność rolnictwa na Ziemi, będącego już u kresu wydajności podtrzymywanej metodami przemysłowymi. Lekkie ogrzanie atmosfery bardzo zresztą nam się przyda – powiadają niektórzy – lepsze to, niż kolejna epoka lodowa.

Pozostaje więc wiara optymistów. A w ogóle można też się pocieszać, że eksperci (zarówno pesymiści, jak optymiści) nie potrafią dobrze przewidzieć pogody na jutro, dlaczego więc mieliby trafnie przewidzieć, co stanie się za kilka lub kilkadziesiąt lat? Może więc nie warto przejmować się prognozami, zwłaszcza że do potopu na jednych lądach, a suszy na innych – zostało jeszcze trochę czasu.

Marek Krzysztof Zalejski





Beata Włodarczyk i Andrzej Brzezicki

BIBLIOTEKA FANTASTYKI

parada wydawców

Z satysfakcją informujemy, że redakcja naszego miesięcznika przystąpiła do współpracy z wydawnictwem „Książka i Wiedza", które w połowie br. uruchomi edycję książek pod nazwą **Biblioteka „Fantastyki"**.

W skład nowej serii wejdą zarówno powieści i opowiadania pisarzy polskich, jak i utwory klasyki światowej stanowiące rodzaj kanonu beletrystyki fantastycznej. Formuła serii jest otwarta – sprowadza się nie tylko do prezentacji gatunku science fiction, ale także – najogólniej biorąc – fantastyki w jej różnorodnych odmianach i postaciach. Podstawowym kryterium serii będzie taki dobór autorów, który ukaże rolę fantastyki w różnych epokach i okresach historycznych. Fantastyka stanowić będzie rodzaj eksperymentu myślowego wkraczającego do literatury tam, gdzie zawodzą realistyczne sposoby opisu świata, a kreacja niezwykłych wydarzeń ukaże istotne prawdy o człowieku, odkryje prawidłowości jego psychiki, skonfrontuje ze światem, w jakim przyszło mu żyć.

Edycja „Biblioteki" nie ograniczy się do wznowień, przypomnień, retrospekcji. Ukażemy także dzień dzisiejszy fantastyki stwarzającej alternatywne modele rzeczywistości, pobudzającej wyobraźnię, zachęcającej do refleksji nad losami świata. Przedstawimy bestsellery ostatnich lat, pozycje tłumaczone po raz pierwszy na język polski i – jako formę promocji – opowiadania pisarzy młodych, niekiedy debiutantów, ale ocenionych przychylnie przez wymagające grono recenzentów.

Pierwszą pozycją, która ukaże się w nowej serii będzie zbiór opowiadań Janusza Zajdla, autora cenionego zarówno przez czytelników, jak i krytyków; współtwórcy socjologicznego nurtu SF, laureata wielu nagród literackich (m.in. Ministra Kultury i Sztuki, „Fantastyki" i „Młodego Technika"). Zbiór opowiadań Janusza Zajdla „Dokąd jedzie ten tramwaj?", składający się z tekstów socjologicznych, wybranych z wieloletniego dorobku Autora, będzie dowodem jego nieustannej popularności, krótkim przeglądem jego spuścizny literackiej.

Jakich pozycji należy oczekiwać w następnej kolejności? Planujemy wznowienia klasyki polskiej, m.in. trylogii księżycowej Jerzego Żuławskiego („Na srebrnym globie", „Zwycięzca", „Stara Ziemia"), opowiadań Franciszka Mirandoli, tekstów Stefana Grabińskiego, Antoniego Słonimskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza, a z pisarzy współczesnych utworów Konrada Fiałkowskiego, Adama Hollanka, Edmunda Wnuka-Lipińskiego, Krzysztofa Borunia, Adama Wiśniewskiego-Snerga, Janusza Zajdla, Wiktora Żwikiewicza, Marka Oramusa, Mariana Promińskiego i Macieja Kuczyńskiego. Bestsellerami klasyki obcojęzycznej będą z pewnością powieści i opowiadania autorów zamieszczanych na łamach „Fantastyki": J.Tiptree, J. Varleya, P. Andersona, P. Pohla oraz K. Lasswitza i T. Mielkego. Wszystkie książki będą opatrzone komentarzem krytycznym – każdy obszar językowy będzie miał swojego konsultanta odpowiadającego za dobór najciekawszych pozycji beletrystycznych. Literaturą anglosaską opiekować się będzie długoletni tłumacz, edytor, redaktor almanachu „Kroki w nieznane", twórca czytelnikowskiej serii „Z kosmonautą" – Lech Jęczmyk oraz tłumacz i autor SF – Darosław Jerzy Toruń. Prozą rosyjską – tłumacz i krytyk Sławomir Kędzierski, niemiecką – tłumacz, redaktor krakowskiego „Pisma Literacko-Artystycznego" – Wawrzyniec Sawicki, iberoamerykańską – tłumaczka Barbara Siewak-Sojka, a literaturą polską – redaktorzy: Leszek Bugajski, Andrzej Niewiadowski i Maciej Parowski. Z prośbą o objęcie funkcji głównego konsultanta serii wydawnictwo „Książka i Wiedza" zwróciło się do redaktora Adama Hollanka. Na jego zastępcę zaproponowano Andrzeja Niewiadowskiego.

Biblioteka „Fantastyki" ukaże funkcję literatury fantastycznej w różnych epokach literackich. Będzie to możliwe dzięki realizacji kilku zbiorów historycznych: antologii epoki pozytywizmu, modernizmu i XX-lecia międzywojennego. Każda antologia zostanie opatrzona komentarzem krytycznym.

Największym zainteresowaniem cieszyć się będzie zapewne publikacja autorskich zbiorów opowiadań pisarzy polskich i obcojęzycznych (rodzaj „The Best of..."). Rozpoczniemy od twórczości Wiktora Żwikiewicza (zbiór, który ukaże się na początku 1988 roku obejmie teksty z lat siedemdziesiątych przeredagowane przez autora „Imago"). W dalszej kolejności pojawią się nazwiska Adama Hollanka, Marka Oramusa, Marka Pąkcińskiego, Marcina Wolskiego, Andrzeja Wolskiego, Andrzeja Zimniaka, Dariusza Filara, Jerzego Grundkowskiego, Andrzeja Trepki i Stefana Weinfelda.

Seria „KIW-u" obejmie również „antologie młodych" (zwłaszcza autorów debiutujących na łamach „Fantastyki"). Wyboru tekstów dokona Maciej Parowski.

Propozycja to – jak sądzimy – różnorodna. Wszystkie utwory będą miały czytelną, barwną, atrakcyjną okładkę, na której umieścimy hasło serii Biblioteka „Fantastyki" oraz informacje o najbliższych planach wydawniczych. Rocznie zamierzamy publikować dwie do trzech pozycji książkowych. Mamy świadomość, że przy rosnących brakach papieru i trudnościach poligraficznych nasze zamierzenie może być realizowane stopniowo w ciągu wielu lat. Prosimy zatem o wyrozumiałość i cierpliwość w oczekiwaniu na kolejne pozycje serii. ■

SPIRALA STRACHU

Groźba wojny atomowej to temat nienowy w twórczości filmowej SF. Sztuka często odzwierciedla współczesne lęki, a strach przed kataklizmem nuklearnym zapuścił już głębokie korzenie w naszej wyobraźni. Obrazów, w których problem ten występuje chociażby marginalnie jest coraz więcej. Aż dwa z opisywanych niedawno w „Fantastyce" mogą posłużyć za przykład. Świat Szalonego Maxa i Terminatora to światy po zagładzie atomowej.

W tego typu filmach przerażające jest oswajanie widza z możliwością wybuchu wojny jądrowej, którą przyjmuje się jako alternatywę ludzkich losów.

Jednym z najgłośniejszych ostatnio obrazów o tej tematyce był „The Day After" (Nazajutrz), nakręcony w 1983 r. przez Nicholasa Meyera. Obecnie wchodzi na ekrany DKF-ów radziecki film poświęcony w całości życiu, a właściwie umieraniu po wybuchu wojny atomowej.

„Listy Martwego Człowieka" w reżyserii Konstantina Łopuszańskiego otrzymały na zeszłorocznym, XXXV Międzynarodowym Tygodniu Filmowym w Mannheim Wielką Nagrodę Miasta Mannheim oraz Nagrodę FIPRESCI. Są uważane za najciekawszy radziecki film zrealizowany w ostatnich latach. Są również inne niż te, które dotąd kręcili filmowcy radzieccy. Poruszają po raz pierwszy, i to w sposób niezwykle realistyczny, temat wojny jądrowej i co może ważniejsze, starają się stawiać pytania nie sugerując odpowiedzi. Wskazują różne drogi wyboru, różne postawy, ale nie oceniają, która z nich jest słuszna. Dlatego mogą być porównywane do eseju filozoficznego. I choć kładą nacisk na postawę głównego bohatera, ten – wierząc w swoją ideę – nie narzuca jej innym, akceptując różne drogi wyboru.

Film rozpoczyna się sceną w schronie atomowym pod ruinami muzeum. Kilkoro znajdujących się tam ludzi, w tym również główny bohater, pedałuje na elektrycznych generatorach, żeby otrzymać pełgające światło. Pokazana rzeczywistość jest tak wyprana z kolorów, że nie potrzeba barwy, żeby ją odmalować – filmowana jest w tonacji ciemnej sepii. Jedynie sekwencja przedstawiająca moment wybuchu jest kolorowa. Ostatnia nasycona barwą chwila na Ziemi – to zalewający wszystko ogień, który pozostawia po sobie świat różnych odcieni szarości. Ciała ludzkie porozrzucane wśród ruin, porozbijane pojazdy, ulice zalane wodą i wiatr wiejący bez końca.

Odtwórcą głównej roli jest Rolan Bykow kreujący postać naukowca, laureata Nagrody Nobla, który do końca nie chce uwierzyć, że świat uległ zagładzie. Wciąż pracuje, oblicza nową dobę (ponieważ podział na dni i noce przestał już mieć znaczenie). Pisze też listy do syna, z którego śmiercią również nie chce się pogodzić. Choć jego wiara wydawać się może naiwna lub szalona, twórcy filmu najwyraźniej ją podzielają, ponieważ nie pokazują nic, co by jej przeczyło. Bohater filmu nie znajduje, mimo usilnych poszukiwań, swego dziecka. Pisze więc do niego tytułowe listy, które wbrew otaczającemu go koszmarowi są pogodne i pełne wiary w przyszłość.

Postacie dzieci odgrywają w tym filmie bardzo ważną rolę. Pokazanie ich w obliczu śmierci i cierpienia to najprostszy i zawsze przemawiający do widza sposób. Ale tu grupa dzieci z sierocińca stanowi także symboliczne zarzewie przyszłego życia. Opiekujący się nimi naukowiec przekazuje im swoją wiarę, że życie gdzieś jeszcze przetrwało. I one wyruszą, żeby go szukać. Warto przypomnieć, że ten sam motyw dzieci, dzięki którym powstanie przyszłe społeczeństwo, pojawił się w trzeciej części „Mad Maxa".

Pierwsza część filmu pokazuje świat, w którym przyszło żyć ludziom po zagładzie. Jego mieszkańcy musieli zejść do podziemi. Obowiązuje godzina policyjna, po której strzela się bez uprzedzenia do pozostających na ulicach. Kwitnie czarny rynek, pojawiający się zawsze tam, gdzie brak jest jakichś dóbr – w tym przypadku żywności i lekarstw.

Sceneria, w jakiej rozgrywa się akcja filmu przypomina technikę stosowaną przez Szulkina. Łopuszański wykorzystał jednak brud, gruzy i bunkry w sposób niezwykle naturalny, podczas gdy u naszego reżysera bliższe są one raczej scenie teatralnej, aniżeli autentycznemu życiu. Świetny jest epizod, kiedy główny bohater wraz ze swoim przyjacielem brodzą w wodzie zalewającej ulicę, otoczeni ruinami i dyskutują o problemach życia, z maskami gazowymi na twarzach.

Zastanawiające, dlaczego tak często jako element życia społecznego po katastrofie atomowej pokazywany jest hazard. – W „Listach..." ruletka jest tak samo zabroniona i tak samo prosperuje jak czarny rynek. W „Mad Maxie" koło fortuny staje się narzędziem prawa. A najbardziej jaskrawym przykładem jest „Quintet" Altmana: tytułowy quintet jest grą, na której opiera się całe życie postatomowego społeczeństwa.

Ekstremalna sytuacja, w jakiej zostali postawieni, zmusza ludzi do działania według zupełnie nowej logiki. Muszą oni podejmować decyzje, które w normalnym świecie byłyby nie do pomyślenia. Jaskrawym przykładem może być postać lekarza, badającego ludzi po to, żeby ocenić, czy są zdolni do przetrwania w bunkrze centralnym, w którym będą musieli spędzić kilkadziesiąt lat. Ponieważ liczba miejsc jest ograniczona, brak skierowania wydawanego przez lekarza jest równoznaczny z wyrokiem śmierci.

Inną postawę prezentuje dyrektor muzeum, uświadamiając sobie, że stworzone przez człowieka piękno, któremu poświęcił swoje życie, nie mogło zapobiec pogromowi nuklearnemu, spowodowanemu przez drugorzędny błąd komputera, i wobec tego wybiera śmierć.

Film nie precyzuje, gdzie rozgrywa się akcja. Puszki z napisami w różnych językach czy obecność murzyńskiego dziecka wskazują, że reżyser celowo chciał pokazać, iż mogło się to zdarzyć gdziekolwiek.

Mimo że ostatnia scena „Listów Martwego Człowieka" stara się ocalić nadzieję, cały film rozbudza u widzów strach. Choć film jest projekcją lęków, jakie odczuwamy, reżyser, który był równocześnie współscenarzystą, rejestrując je stworzył dzieło, które potęguje uczucia, będące jego genezą.



Być może utwory o realnych zagrożeniach bytu nie powinny być tak dobre (?).

Dorota Malinowska

LISTY MARTWEGO CZŁOWIEKA. Scenariusz: Konstantin Łopuszański przy współpracy Wiaczesława Rybakowa i Borysa Strugackiego. Reżyseria: Konstantin Łopuszański. Zdjęcia: Nikołaj Prokopcew. Muzyka: Aleksander Szurbin. Wykonawcy: Rolan Bykow, Josif Ryklin, Wiktor Michajłow, Aleksander Sabinin, Wacław Dworzecki, Swietłana Smirnowa i inni. ZSRR, 1986.